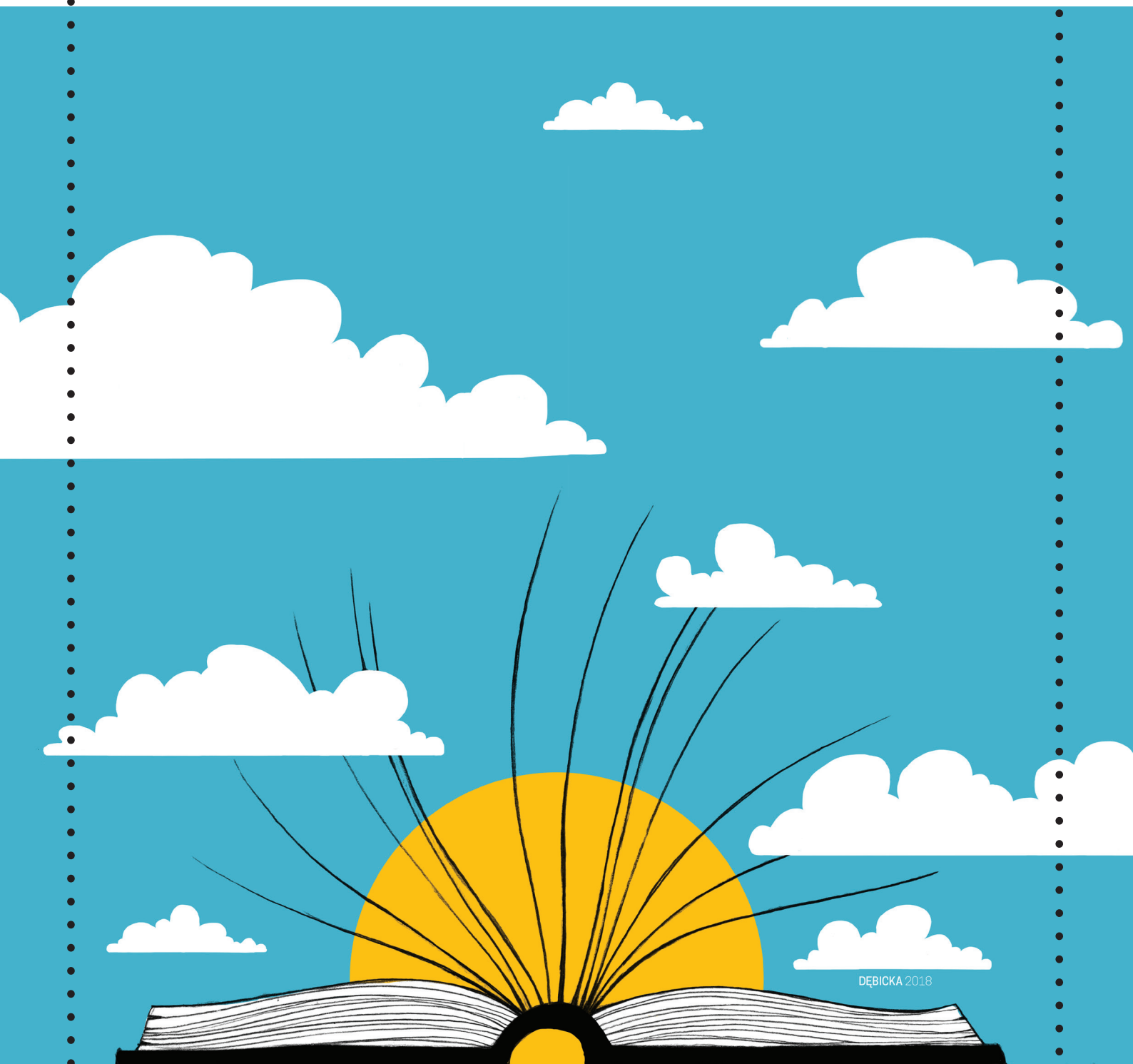


nr 1 | 2018 | Kraków
cena 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN 2544-8447
www.czasliteratury.pl

CZAS LITERATURY



DEBICKA 2018

PIOTRUŚ PAN | WIRA **WOWK** | JERZY PIETRKIEWICZ W PRZEKŁADZIE JACKA DEHNELA
JACEK **BOCHEŃSKI** | **GRECJA** | KAZIMIERZ **ORŁOŚ** | RYSZARD **KOZIOŁEK** | **KALLIMACH**
BEATA **SZYMAŃSKA** | JANUSZ **GŁOWACKI** | **PISARZ W PRACY** | **NOWA POEZJA POLSKA**



Wydawnictwo Czarne
poleca

RYSZARD KOZIOŁEK DOBRZE SIĘ MYŚLI LITERATURĄ

Nie mam żadnych wątpliwości: nikt nie czyta dziś w Polsce literatury tak wnikliwie i tak namiętnie jak Ryszard Koziołek. Prowokujący erudyta, zadziorny eseista, zaskakujący intelektualista. Píše, jak mało kto. Trochę przesadza z tym pozytywizmem, ale „nobody's perfect”.
Michał Paweł Markowski

ŚLĄSKI WAWRZYN
LITERACKI 2016

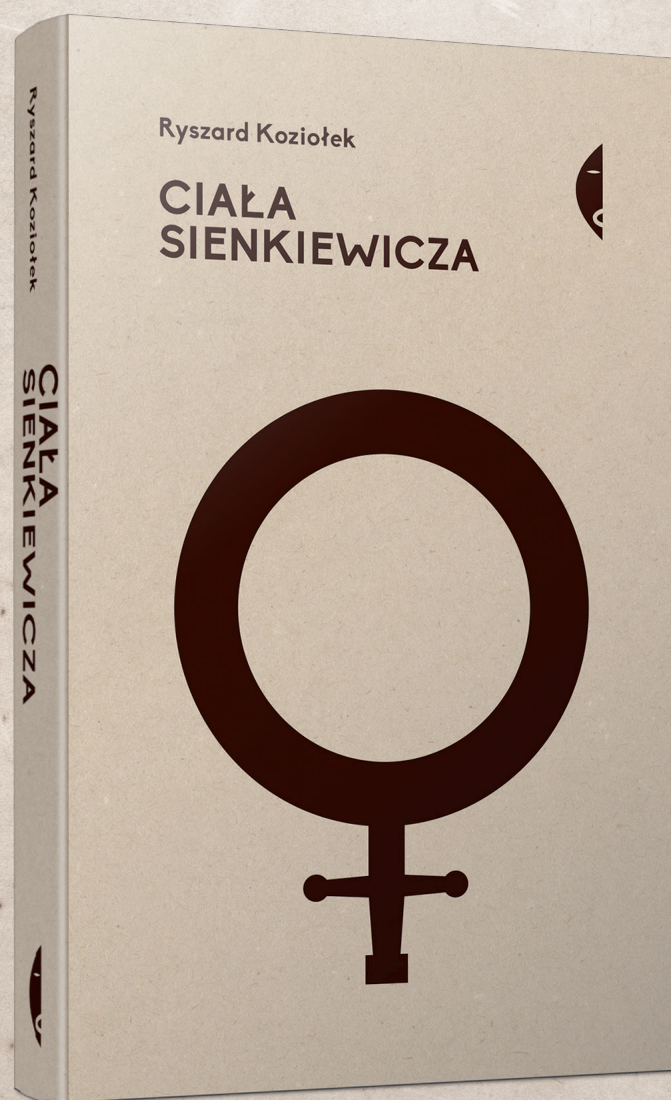


RYSZARD KOZIOŁEK CIAŁA SIENKIEWICZA

Lektura Koziołka dla jednych będzie intelektualnym safari przez stepy polskiej prozy, dla drugich haniebną próbą odbrązowienia największego wieszczą, dla innych niewygodną konfuzją, ale takie właśnie jest zadanie książek przełomowych, a że Ciała Sienkiewicza są przełomowe, nie mam wątpliwości.
Krzysztof Varga

NAGRODA LITERACKA
GDYNIA 2010 W KATEGORII
ESEISTYKA

CZARNE.COM.PL



..... W TYM CZASIE

CZŁOWIEK POTRZEBUJE SŁÓW

Ryszard Koziołek w rozmowie z Jackiem Hajdukiem | 2

PIOTRUŚ PAN W OGRODACH KENSINGTONSKICH

Aleksandra Wieczorkiewicz

Zima w Ogrodach Kensingtonskich | 4

James Matthew Barrie

Piotruś Pan w Ogrodach Kensingtonskich | 6

ESEJ

Jacek Bocheński Czy świat ma przyszłość? | 18

W KRĘGU POEZJI

Wiersze: Bronakowska, Ficek, Kopkiewicz, Kronhold,
Lebda, Marcinek, Sobol, Stempel, Zajączkowska | 24

PRZED WIERSZEM STAJESZ JAK NIEMOWLĘ

Ernest Bryll w rozmowie z Michałem Zabłockim | 28

Ernest Bryll – wiersze | 30

ZDOBYCZ I WIERNOŚĆ

Katarzyna Cieplińska Loot and Loyalty | 32

Jerzy Pietrkiewicz Zdobycz i wierność | 35

PROZA I ŻYCIE

Mieczysław Machnicki Ruch jest wszystkim | 42

Kazimierz Orłowski Tworci | 43

Andrzej Dybczak Źródło | 47

Henryk Waniek Allahu Akbar | 50

Jacek Moskwa Horror vacui | 51

GRECJA

Grecy i Polacy w podróży: Kazantzakis,
Lisowski, Bzinkowski, Nowakowska, Ouranis | 55

Współczesna literatura grecka: Markopoulos,
Mastoraki, Manousakis | 60

UTAJONE POD POWIERZCHNIĄ RZECZY

Wojciech Ligęza O poezji Beaty Szymańskiej | 64

Beata Szymańska – wiersze | 69

PISARZ W PRACY

Jerzy Franczak | WARIACJE

Na dobry początek | 70

Maciej Miłkowski | ANATOMIA OPOWIADANIA

Fatalizm gramatyki. Jak skonstruowana jest

„Aura” Carlosa Fuentes? | 72

Anna Nasiłowska | SPRAWY

Czego nauczyłam się od Skandynawów? | 75

JANUSZ GŁOWACKI

Anna Frajlich O Januszu Głowackim w Nowym Jorku | 77

Joanna Rostropowicz-Clark Backup of Głowa | 79

WSCHODY

Zofia Bluszczyńska Internat

i Miało być wieczne, póki się nie skończyło | 81

Ostap Nożak

Barwny świat Wiry Wowk | 83

Wira Wowk – wiersze | 84

ŹRÓDŁA KULTURY

Emilia Żybert-Pruchnicka

Żywa Biblioteka – Kallimach z Kyreny | 85

Kallimach – fragmenty poetyckie | 86

WIERSZY NA MURACH | 93

O KSIĄŻKACH

Anna Marchewka

Cały świat z Oddziału Drugiego

Zapiski z domu wariatów | 94

Dyspozycyjność nie równa się wolność

Zapach mężczyzny | 95

Czas Literatury

nr 1 | marzec 2018 | Kraków | cena 10 zł (w tym 5% VAT)

www.czasliteratury.pl

Rada redakcyjna: Stanisław Dziedzic, Szymon Kloska,
Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Janusz Paluch,
Michał Zabłocki

Redaktor naczelny: Jacek Hajduk

Sekretarz redakcji: Jan Burnatowski

Opracowanie graficzne, ilustracje i skład: Agata Dębicka

Korekta: Katarzyna Pawlik

Adres redakcji: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3,
31-154 Kraków, e-mail: czas.literatury@biblioteka.krakow.pl

Wydawca: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

Druk: Drukarnia KOLUMB ul. Kaliny 7, 41-506 Chorzów

www.drukarniakolumb.pl

ISSN 2544-8447

Partner:



Redakcja nie odpowiada za poglądy autorów i zastrzega sobie prawo do publikowania artykułów, z których treścią się nie zgadza, oraz do skracania i redagowania nadsyłanych materiałów, także bez konsultacji z autorami. Ponadto informuje, że dokłada wszelkich starań, by żadne prawa, w tym prawa autorskie, nie zostały nadużyte. W razie jakichkolwiek pytań, wątpliwości bądź sugestii prosimy uprzejmie o kontakt mailowy.

z Ryszardem Koziółkiem
rozmawia Jacek Hajduk

Człowiek potrzebuje słów

Ryszard Koziółek | ur. 1966. Literaturoznawca, eseista.
Profesor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Laureat Nagrody Literackiej
Gdynia za książkę *Ciała Sienkiewicza* (2010) oraz Nagrody im. K. Wyki (2017).

Jacek Hajduk: Zastanawiam się, gdzie istnieje literatura, a co za tym idzie: jaki jest jej status ontologiczny. Dla mnie jest to sprawa bardzo niejasna. Czy np. wiersze Osipa Mandelsztama istniały, gdy jedyną ich kopię nosiła w pamięci jego małżonka, ucząc się ich, by potem zapisać z powrotem? Czy gdyby spalić wszystkie egzemplarze *Pana Tadeusza*, epos ten istniałby czyby nie istniał? Czy jeśli poeta napisał wiersz, przeczytał w gronie przyjaciół, a potem go spalił – wiersz zaistniał, gdzieś jest? Czy dzieła, które przepadły na wieki, ale inspirowały inne – gdzieś są? Dodatkowo sprawę tę komplikuje, choć może właśnie ułatwia, Internet, nośniki elektroniczne...

Ryszard Koziółek: Literatura jest wszędzie tam, gdzie jest ludzka mowa. Jej rdzenne postacie – metafora i narracja – są czymś więcej niż formami języka; to dyspozycje gatunkowe człowieka. Dzięki nim próbujemy sprostać nadmiarowi rzeczy i doświadczeń. Słów jest za mało, a świata za dużo, więc trzeba kombinować słowa w metafory. Narracja jest nam równie niezbędna – pozwala opowiedzieć ludzkie doświadczenie czasu, przedstawić przeszłość i przyszłość. Wszyscy muszą to robić, także ci, którzy nie przeczytają w życiu żadnej książki. Czytając, zrobili to jednak lepiej.

J.H.: Jak to jest z czytaniem w języku ojczystym, a jak z czytaniem przekładu. Co rozgrywa się pomiędzy autorem, tłumaczem a czytelnikiem? Obraz czy rzeźba jest obrazem czy rzeźbą niezależnie od tego, czy ktoś go lub ją podziwia – a powieść? Przecież bez czytelnika to tylko litery... Gdy wizualizuję sobie Annę Kareninę, żywi moją lekturę wyobrażenia Tołstoja, Iłłakowiczówny czy moja własna? Zdaje się, Iwaszkiewicz mówił, że gotowi byłibyśmy przysiąc, iż widząc bohaterów Tołstoja, rozpoznalibyśmy ich na ulicy... Ja też mam takie wrażenie, ale ja czytałem przekład, nie wiem: może to nie Tołstoj, może to tłumaczka?

R.K.: Dla większości czytelników to bez znaczenia – nigdy nie sprawdzą, jak jest w oryginale. Siła wielkiej literatury sprawia, że czuje się ona u siebie w każdym języku. Czytając po raz pierwszy *Don Kichota* czy *Mistrza i Małgorzatę*, nie myślałem, a chyba i nie wierzyłem, że powstały w innym języku niż polski. Niedawno znów miałem takie poczucie, czytając prozę Sebalda, która zjawiała się w postaci polszczyzny Małgorzaty Łukasiewicz. Jesteśmy beneficjentami lub ofiarami odwiecznych walk tłumaczy o ekwiwalent doskonały. Walczą dla nas i zamiast nas, ale choć pierwsze zdanie *Anny Kareniny* („Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, ale każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”) można przełożyć na wiele sposobów, to jego olśniewająca treść przeniknie otulinę nawet gorszego przekładu.

Czytając po raz pierwszy „Don Kichota” czy „Mistrza i Małgorzatę”, nie myślałem, a chyba i nie wierzyłem, że powstały w innym języku niż polski.

J.H.: A kwestia przeciwna: nieczytanie? Zanikanie literatury? Napisał Pan kiedyś, że jeśli literatura przejdzie we władanie historyków literatury, to będzie jej koniec. I to się właśnie stało u nas z literaturą np. antyczną. Czytają ją de facto tylko filolodzy klasyczni, więc jest martwa. Żeby poczuć trochę z jej autentycznej siły, trzeba wyjść poza środowisko i próbować tam. Ale nie widać – prócz sentymentów tych, co mieli w szkole facinę, i ich raczej płytkiej tęsknoty – specjalnego zainteresowania głębszym poznaniem i zrozumieniem dzieł antycznych. Tymczasem w USA pisma takie jak np. „The New Yorker” czy

„The New York Times” są obecnie ważnym forum nowej, żywej lektury Greków i Rzymian. Tam się to teraz czyta, tłumaczy, omawia, komentuje. W nowym przekładzie anglojęzycznym Homera *Odys* (gr. *polytropos*) to nie jakiś „Mąż Obrotny”, ale „Człowiek Skomplikowany”, i to daje zupełnie nowe rozumienie klasycznego eposu... Czy dawna literatura u nas zanika?

R.K.: Ależ nic podobnego. Wszędzie literatura dawna pasożytuje na literaturze nowoczesnej. Tacyt na Sienkiewiczu, Homer na Joysie, Pasek na Gombrowiczu, itp. Utwory wybitne to silne osobniki, które wyrwywają się z objęć historii oraz implementują się w kulturach literackich przyszłości. Świetny nowy przekład Katullusa dokonany przez Grzegorza Franczaka jest przykładem tego procesu, który niebawem zaowocuje pewnie jakimś neoklasycznym nurtem współczesnej poezji. Jeśli natomiast byłyby te wiersze wyłącznie przedmiotem zainteresowania historyków literatury, wówczas można mówić nie tyle o zamiaraniu klasyków starożytności, co raczej o ich czasowej hibernacji, z której może nastąpić nagłe przebudzenie, jak to już było z Lukrecjuszem, *Eddą poetycką*, *Beowulfem* czy *Gilgameszem*. W historii literatury nie ma postępu, ale synergia arcydzieł.

Świetny nowy przekład Katullusa dokonany przez Grzegorza Franczaka jest przykładem tego procesu, który niebawem zaowocuje pewnie jakimś neoklasycznym nurtem współczesnej poezji.

Jacek Hajduk | ur. 1982. Redaktor naczelny „Czasu Literatury”.

... a słowa potrzebują „Czasu Literatury”

Ostatnio uczeni dowiedli, że najtrwalszym nośnikiem danych, zdolnym w odpowiednich warunkach przechowywania przetrwać tysiące lat, jest nie płyta CD, nie dysk czy chmura, ale papier. Zatem, by ubiec pytanie: dlaczego w czasach Internetu rusza drukowany „Czas Literatury”?, odpowiadam: dlatego, że literatura to trwanie. Dlaczego rusza w Krakowie? Bo to właśnie tutaj, w Królewskim Mieście Literatury, narodził się pomysł, by rynek czasopiśmienniczy wzbogacić o pismo literackie nie tylko z nazwy, ale także z ducha. 100% literatury w literaturze – tego chcemy. Jako redaktor naczelny wdzięczny jestem szczególnie trzem osobom: śp. Bogdanowi Rogatko, który zwrócił uwagę na taką potrzebę, Michałowi Zabłockiemu, który jego inicjatywę podjął i zaprosił mnie do współtworzenia tego dzieła, a także Andrzejowi Kuligowi, Zastępcy Prezydenta Miasta Krakowa ds. Polityki Społecznej, Kultury i Promocji Miasta, bez którego przychylności pismo nie mogłoby się ukazać. A do zrobienia jest dużo. Jak to u kresu starożytności powiedział do swoich skrybów Kasjodor: „Dziś weźcie nowe zwoje, bracia. Zaczynamy od początku!”

Jacek Hajduk
Redaktor naczelny „Czasu Literatury”

Aleksandra
Wieczorkiewicz

Zima

w Ogrodach Kensingtonskich

Zima. Styczniowy śnieg zasypał Ogrody Kensingtonskie, przykrył zeschnięte liście, które umknęły jesiennym porządkom, zaścielił puste trawniki, wymościł ślady stóp, pozostawione przez ostatnich przechodniów. Nagie gałęzie drzew trwają zupełnie nieruchomo, rysują się wyraźnie na tle niskich chmur – szkice piórkiem, krajobraz w czerni i bieli. Kończy się krótki, zimowy dzień. Bramy królewskiego parku zamykają się o zmierzchu, i w miarę, jak znikają z niego ludzie, zaczyna tu pulsować utajone życie. Spóźnione sikorki otrząsają śnieg z gałęzi, nad na wpół zamrożonym Okrągłym Stawem drzemią śnieżnobiałe łabędzie, wtulone w swoje pióra odpoczywają kaczki. Stąd niedaleko już do Serpentyzny i położonej na niej wyspy, z której kiedyś – jeśli wierzyć opowieści – odpłynął Piotruś Pan w swoim Gnieździe Drozda, by dostać się do Ogródów Kensingtonskich. Dziś w miejscu, gdzie jego łódeczka przybiła do brzegu, stoi niewielka statua z brązu, przedstawiająca Chłopca, Który Nie Chciał Dorosnąć; zimą śnieg zatrzymuje się w zagłębieniach ściętego pnia, na którym stoi chłopiec, przykrywa jego stopy, otula rękę trzymającą zakrzywioną fletnię, bieli skrzydła wrózek i futerka królików przysłuchujących się niemej melodii.

Być może czasem Piotrusia zawsze była zima – zima, kiedy dni są krótkie, a noce długie, bo przecież Piotrusiowi wolno przebywać w Ogrodach Kensingtonskich dopiero wtedy, gdy bramy zostają zamknięte. Być może zresztą wszystko zaczęło się zimą i właściwym początkiem tej opowieści jest pewien dzień w styczniu 1867 r., gdy James Matthew Barrie, późniejszy autor książek o Piotrusiu Panu, miał prawie siedem lat. Zima była tego roku mroźna, więc dzieci mieszkające w małej wiosce Kirriemuir w południowo-wschodniej Szkocji jeździły na łyżwach na pobliskiej rzeczce i polnych ślizgawkach. Razem z innymi chłopcami jeździł również David, starszy brat Jamesa, który za kilka dni miał skończyć czternaście lat. Nie dane mu było jednak obchodzić urodzin – tych ani żadnych następnych. Nieszcześnieśliwy upadek na lodzie zakończył życie chłopca, porgrążając jego rodziców i rodzeństwo w żałobie. Ze śmiercią ukochanego syna najdłużej nie mogła pogodzić się jego matka, Margaret Ogilvy, która po tragicznym wypadku wycofała

się na wiele tygodni z życia rodzinnego. Ponure, zimowe dni w cichym i jakby umarłym domu jawią się we wspomnieniach Barriego jako okres ciężkiej próby, w której beztroskę dzieciństwa pokrył szron smutku i wątpienia:

[S]pędzałem wiele czasu u jej wezgiłowia, próbując sprawić, by o nim zapomniała [...]. Z początku – jak mi opowiadano – byłem zazdrosny, przerywałem jej czułe wspomnienia płaczem: „A czy ja nic dla ciebie nie znaczę?”, ale to nie trwało długo. Miejsce zazdrości zajęło silne pragnienie [...], by stać się do niego tak podobnym, żeby nawet ona nie mogła dostrzec różnicy¹.

David stał się dla Barriego pierwowzorem chłopca, który – choćby nawet chciał – nie mógł dorosnąć. Dla Margaret Ogilvy ukojeniem były wspomnienia chłopięcych zachowań syna, który w jej pamięci na zawsze pozostał trzynastolatkiem, a Jimmy, który starał się wejść w rolę brata – przebijając się w jego ubrania i naśladowując sposób bycia, żeby pocieszyć matkę – nauczył się cenić dziecięcość (chłopięcość) jako najwyższą wartość. Jego niechęć wobec dorosłości, kończącej szczęśliwy czas dzieciństwa, zaczyna się być może właśnie tutaj, w ciemnym pokoju matki, u którego okien po wielu latach pojawi się Piotruś Pan – jedyny chłopiec, który potrafi oprzeć się upływającemu czasowi, a co za tym idzie – także i śmierci.

Pamięć o Davidzie towarzyszyła Barriemu do końca życia. Jego imię nosi dziecięcy bohater pierwszej londyńskiej – pod względem charakteru i miejsca akcji – powieści pisarza, zatytułowanej *The Little White Bird Or Adventures in Kensington Gardens*. Również ostatnia sztuka teatralna Barriego – *Boy David* – napisana na rok przed śmiercią, powraca do wspomnień o bracie, któremu los nie pozwolił dorosnąć. Jego częśćkę zawiera w sobie zapewne także sama hybrydyczna, niejednorodna postać Piotrusia Pana, który bywa nazywany

1 J.M. Barrie, Margaret Ogilvy, by Her Son, J. M. Barrie, Londyn 1897: <http://www.gutenberg.org/files/342/342-h/342-h.htm> (data dostępu: 16 listopada 2017).

**Być może czasem Piotrusia
zawsze była zima – zima, kiedy
dni są krótkie, a noce długie,
bo przecież Piotrusiowi wolno
przebywać w Ogrodach
Kensingtonskich dopiero wtedy,
gdy bramy zostają zamknięte.**

„chłopcem, który umarł młodo”². O Piotrusiu pisze również Barrie, że „choć urodził się tak dawno temu, nigdy jeszcze nie obchodził urodzin i nie ma też większych szans na to, żeby kiedykolwiek zaczął je obchodzić”³. Jednak David nie był jedynym chłopcem, który „złożył się” na Piotrusia. W 1897 r. podczas jednej z codziennych przechadzek po Ogrodach, Barrie poznał trzech synów Llewelyn Davies: czteroletniego George’a, trzyletniego Jacka oraz kilkuniesięczonego Petera, który spacerował na razie w wózku popychanym przez nianię. Losy chłopców Llewelyn Davies miały odtąd spleść się nierozłącznie z losami pisarza i z jego twórczością – to oni byli iskrą, z której narodził się Piotruś Pan, oni też byli pierwszymi słuchaczami (i współtwórcami) opowieści o nim.

„Tajemniczy i kapryśny” utwór *The Little White Bird Or Adventures in Kensington Gardens* (1902), będący pewnym sensie zapisem i przetworzeniem pierwszych lat przyjaźni Barriego z chłopcami Llewelyn Davies, został napisany jako książka dla dorosłych, jednak to właśnie w nim po raz pierwszy pojawia się opowieść o Piotrusiu Panu i jego przygodach w królewskim parku Londynu. Dwa lata później z kart tej powieści Wieczny Chłopiec lekko i zwinnie przeskakuje do sztuki teatralnej, by 27 grudnia 1904 r. (a więc znów zimą) pojawić się na deskach londyńskiego Duke of York’s Theatre w słynnym przedstawieniu *Peter Pan Or the Boy Who Would Not Grow Up*, które zgromadziło dzieci i dorosłych długo oczekujących na gwiazdkową premierę. Niedługo po spektaklu Barriego zasypały prośby zachwyconych widzów i krytyków, którzy domagali się spisanej wersji utworu – jednak Barrie nie myślał zamykać wiecznie niedorośłego chłopca w jednej, niezmiennej formie literackiej; przez wiele lat przerabiał tekst sztuki, dopisując i skreślając jej fragmenty, jakby chciał uniknąć postawienia kończącej wszystko kropki.

2 Tak James Barrie opisuje Piotrusia w notce do programu sztuki teatralnej, sporządzonej na potrzeby przedstawienia w Paryżu w 1908 r.: „Z Piotrusiem możecie zrobić, co wam się podoba – możliwe, że był on chłopcem, który umarł młodo, a opowieść ukazuje, jak autor widzi jego późniejsze przygody. Lub być może był dzieckiem, które wcale się nie urodziło – dzieckiem, którego pewni ludzie gorąco pragnęli, lecz ono nigdy się nie pojawiło”. Cyt. za: K. McGavock, *The Riddle of His Being. An Exploration of Peter Pan’s Perpetually Altering State*, [w:] *Peter Pan In and Out of Time. A Children’s Classic At 100*, pod red. D.R. White i C.A. Tarr, Lunham-Toronto-Oksford 2006, s. 204.

3 J. M. Barrie, *Piotruś Pan w Ogrodach Kensingtonskich*, przeł. A. Wieczorkiewicz, il. M. Minor, Poznań 2018.

Pisarz nie pozostał jednak niewzruszony na błagania czytelników – choć na wydanie tekstu sztuki teatralnej trzeba było poczekać dwadzieścia cztery lata⁴, to w 1911 r. powstała przecież historia o przygodach na Nibylandii: *Peter Pan and Wendy*. Zima jest czasem również tej opowieści, która zaczyna się w pewien mroźny wieczór, gdy państwo Darling wybierają się na przyjęcie, a za oknem pokoju dziecięcego pojawia się Piotruś poszukujący swojego cienia:

Dom pod numerem 27 nie był bardzo oddalony, ale właśnie spadł lekki śnieg i państwo Darlingowie szli ostrożnie, żeby nie pobrudzić obuwia. Ulica była zupełnie pusta, tylko gwiazdy na nich patrzyły. Gwiazdy są piękne, ale nie mogą brać w niczym udziału. [...] Nic więc dziwnego, że gdy tylko państwo Darlingowie znikli za drzwiami domu pod numerem 27, na niebie zrobiło się poruszenie, a najmniejsza z gwiazd Drogi Mlecznej krzyknęła: – Piotrusiu, teraz!⁵

Jednakże wcześniej jeszcze, zanim dojrzała w nim decyzja napisania *Piotrusia Pana i Wendy*, Barrie zdecydował się na publikację pierwowzoru opowieści o Wiecznym Chłopcu. Nie chcąc jeszcze nadawać ostatecznego kształtu Nibylandii, postanowił wydać tekst już napisany, lecz nieznanym dotychczas dzieciom. I tak zakochani w Piotrusiu widzowie mogli stać się czytelnikami historii jego przeszłości i „życia przed wyspą Nigdy” – „pre-Piotruś”, istniejący dotychczas jedynie w sześciu rozdziałach dorosłej powieści *The Little White Bird*, w 1906 r. został wydany przez londyńską oficynę Hodder & Stoughton jako *Peter Pan in Kensington Gardens*. Książka została przygotowana na święta Bożego Narodzenia, a wydanie było zaiste przepiękne: staranne i bogato ilustrowane ręką samego Arthura Rackhama⁶, którego Barrie osobiście wyznaczył do tego zadania. Nakład rozszedł się w mgnieniu oka i już wkrótce *Piotruś Pan w Ogrodach Kensingtonskich* stał się najbardziej poszukiwanym prezentem świątecznym Gwiazdki 1906 r. Był (i jest) książką piękną, lecz trudną i ekscentryczną, umieszczającą prowincję magii w sercu rzeczywistości; ci, którzy pragną zgłębić „tajemnicę istnienia Piotrusia”, odnajdą w niej raczej więcej jeszcze zagadek. Jednakże „droga do Nibylandii wiedzie wprost przez

4 Tekst sztuki teatralnej wydał Barrie dopiero w 1928 r. pod pełnym tytułem *Pan Or the Boy Who Would Not Grow Up*, dotychczas do niego dedykację skierowaną do synów Llewelyn Davies. Polski przekład utworu autorstwa Aleksandra Brzózki pt. *Piotruś Pan, czyli chłopiec, który nie chciał dorosnąć* został wydany w 2010 r.

5 J.M. Barrie, *Piotruś Pan i Wendy*, przeł. A. Polkowski, Poznań 2015, s. 20.

6 O ilustracjach do *Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich* krytycy pisali: „Arthur Rackham spadł, zdaje się, wprost z baśniowej krainy Mr Barriego, a Opatrzność zesała go po to, by stworzył obrazki odpowiednie dla tajemniczego geniuszu autora *Piotrusia Pana*”. Wyobraźnia Rackhama zdawała się rzeczywiście wpadać w akord z przestrzenią kensingtonskiej opowieści – spacerujący po parku przechodnie często zauważali szczerłą postać artysty, skupionego na obserwacji i tworzeniu szkiców. O ile jednak był urzeczony tajemniczą, baśniową atmosferą *Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich*, o tyle nie dbał zupełnie o Nibylandię – w jednym z listów pisał: „Nibylandie są tylko pretensjonalnymi substytutami Gór Ratskill i Kensingtonu. Jakąż siłę ma umiejscowienie mitu”. M. Tatar: *Arthur Rackham and „Peter Pan in Kensington Gardens”*. A Biography of the Artist, [w:] J.M. Barrie: *The Annotated Peter Pan. The Continental Edition*, red. M. Tatar, wst. i kom. M. Tatar, Nowy Jork 2011, s. 229–235.

Ogrody Kensingtonskie⁷ i kto dalej pragnie podążać tropem Wiecznego Chłopca, musi przestąpić bramy królewskiego parku.

Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich otwiera mapa, która wprowadza w topografię tekstowej przestrzeni. Naszkicowany cienkim, czarnym piórkiem Arthura Rackhama plan parku poprzedza historię chłopca, który nie chciał dorosnąć, a pierwsze zdanie pierwszego rozdziału oznajmia wyraźnie: „bardzo trudno byłoby wam słuchać opowieści o przygodach Piotrusia Pana, gdybyście nie poznali najpierw dokładnie Ogródów Kensingtonskich”. Na mapie Kensingtonu, podobnie jak w samej opowieści, fantazja miesza się z rzeczywistością, nazwy fikcyjne zagnieżdżają się wśród tych realnych: obok Okrągłego Stawu [*the Round Pond*], Serpentyńy [*the Serpentine*] czy Szerokiej Alei [*the Broad Walk*] pojawia się Aleja Małeństw [*the Baby's Walk*], Pałac Zimowy Królowej Wrózek [*Fairies Winter Palace*] czy Kokosy [*the Figs*], które znajdują się w miejscu dzisiejszego placu zabaw. Pierwszy rozdział opowieści, zatytułowany *Wielka przechadzka po Ogrodach*, wprowadza nas w przestrzeń królewskiego parku i oprowadza po miejscach, z którymi wiążą się historie dzieci bawiących się całymi dniami w Ogrodach: Drzewo Czekka Hewletta, Brama Panienki Mabel Grey, Domek Marmaduka Perry’ego to tylko niektóre przykłady pomników dziecięcych przygód. Mali ludzie opanowują w pewnym sensie „przestrzeń symboliczną” parku, zasiedlając ją i oswajając – za dnia, gdy bramy stoją otworem, Ogrody Kensingtonskie są dziecięcą krainą rozkoszy i zabaw, rozbrzmiewają gwarem i okrzykami, podporządkowują się w pełni jurysdykcji człowieka, który panuje również nad przyrodą: na rabatkach rosną rzędami rośliny zasadzone dłońmi ogrodników, młode drzewka stoją przywiązane do drewnianych palików. Jednak nie wszystko w Ogrodach Kensingtonskich pragnie poddać się człowiekowi. Pośród wypiełgowanych rabatki i trawników przemykają się istoty, które z ludźmi nie chcą mieć nic wspólnego, a napisy na tablicach obwieszających godziny zamknięcia parku nieraz zmieniają się w tajemniczy sposób. Prócz „Ogródów dziennych” (ludzkich) istnieją bowiem także „Ogrody nocne”, które w świetle słońca żyją tylko ukrytym, przyczajonym życiem. Gdy zapada zmierzch i zbliża się noc (niepodległa człowiekowi, rządzona żywiołem fantazji i baśni), Ogrody Kensingtonskie stają się dziedziną magii, czarów i niesamowitości. Panuje nad nimi niepodzielnie Królowa Mab, mieszkająca w pałacu położonym „pomiędzy siedmioma hiszpańskimi kasztanowcami”, a *Czas Po Zamknięciu Bram* [*Lock-Out Time*] – taki tytuł nosi czwarty rozdział *Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich* – jest już czasem podporządkowanym żywiołom nie-ludzkim: to wtedy w Ogrodach odbywają się bale wrózek i elfów, a zmęczone całodziennym bezruchem drzewa i krzewy wybierają się na przechadzki po wyludnionych alejkach:

Gdybyśmy tylko mogli w taki wieczór pozostać niezauważeni w Ogrodach, tak jak to robiła kiedyś słynna Maimie Mannering, ujrzelibyśmy z pewnością precudowne widoki: setki wrózek i elfów spieszących na bal – mężatki przepasane w talii ślubnymi obrączkami, eleganckich panów, ubranych w odświętne stroje i podtrzymujących treny u sukien wytwornych dam, oraz służących, biegnących przed nimi z gałzkami miechunki, które są lampionami wrózek i elfów, rozświetlającymi im drogę; szatnię, gdzie wkładają na nogi srebrne pantofelki i dostają numerki za pozostawione płaszcze i szale.

Również Piotruś Pan zjawia się po raz pierwszy w Ogrodach Kensingtonskich, gdy bramy są już zamknięte, a po alejach uwijają się maleńkie *fairies* – łamie tym samym prawo, które zabrania ludzkom istotom przebywać w parku po zmroku, gdy znajduje się on we władaniu sił magii i przyrody. Piotruś nie jest jednak zwykłym dzieckiem, lecz uciekinierem ze świata ludzi, dobrowolnie porzucającym człowieczeństwo – „ucieka od bycia człowiekiem”:

A zatem Piotruś Pan wydostał się przez okno, w którym nie było żelaznej kraty. Stojąc na parapecie, widział w oddali wierzchołki drzew i nie wątpił, że rosną one w Ogrodach Kensingtonskich. Z chwilą, kiedy je zobaczył, zupełnie zapomniał, że jest teraz małym chłopcem w piżamce, i poszybował nad dachami Londynu wprost do Ogródów.

W prywatnej mitologii Barriego Ogród Kensingtonski, a przede wszystkim Wyspa Ptaków położona na Serpentyńie, stanowi miejsce, gdzie życie zostaje zapoczątkowane – na wyspie „rodzą się wszystkie ptaki, mające stać się potem małymi chłopcami i dziewczynkami”. Mały Piotruś, posiadający jeszcze umiejętność lotu, powraca więc do Ogródów tak, jak powraca się do domu. Jednak powrót przynosi rozczarowanie – nie da się bowiem cofnąć czasu. Piotruś, odrzuciwszy to, co ludzkie, nie potrafi w pełni powrócić do świata prapoczątków: wprawdzie wiara dodaje mu skrzydeł, ale Ogrody nie są już jego domem, a on sam nie jest ptakiem, choć nie jest już także człowiekiem. Ucieczka ze świata ludzi (świata cierpienia, bólu i śmierci; świata, w którym się dorasta) decyduje o niepewnym statusie ontologicznym Piotrusia Pana: Salomon, mądry król ptaków, nazywa go „biednym małym Pół-na-Pół” i „Między-i-Pomiędzy”. Wiecznego Chłopca, który „nie jest prawdziwym chłopcem”, nie może dotknąć czasu – zostaje on wpisany w mityczny porządek Ogródów Kensingtonskich: żyje na pograniczu sfery realnej i fantastycznej, ludzkiej i ptasiej, nocnej i dziennej, a do parku ma przystęp jedynie po zmroku, gdy jego bramy są już zamknięte przed ludźmi.

Również Maimie Mannering, czteroletnia bohaterka dwóch ostatnich rozdziałów opowieści, w przedziwny sposób związana jest porą nocną. Jest ona również pierwszą dziewczynką, której udaje się zostać w Ogrodach Kensingtonskich Po Zamknięciu Bram i oglądać zimowy bal wrózek i elfów. To dla niej zbudowany zostaje uroczy Mały Domek – pierwowzór tego, który Zagubieni Chłopcy wraz ze swoim przywódcą wybudują dla zemdlonej Wendy na Wyspie Nigdy. Ścieżki wiodące przez zimowe Ogrody Kensingtonskie prowadzą nas zatem wprost

ku Nibylandii. Maimie jest więc w pewnym sensie „dziewczynką sprzed Wendy”⁸: pierwsza zajmuje miejsce obok Piotrusia Pana i z pewnością nie ustępuje jej urokiem osobistym. Maimie jest także pierwszą miłością Piotrusia, niedotykalnego chłopca, który później na Nibylandii zdaje się istnieć poza wszelkim ludzkim przywiązaniem i nie pamięta, nie wie nawet, czym jest miłość („[Tygrysia Lilia] chce być dla mnie czymś, ale mówi, że nie moją matką”⁹). Maimie poznaje Piotrusia w czasach, gdy ten nie zapominał jeszcze zupełnie swojej człowieczej natury i zdaje się bardziej wrażliwy na ludzkie uczucia. Z tym „romantycznym” (romansowym) wątkiem *Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich* wiąże się także słynna scena „wręczania narparstka (pocałunku)”, która później zawędrowała do powieści *Piotruś Pan i Wendy*.

Choć Maimie łamie prawo Ogródów zabraniające człowiekowi przebywać w nich po zmroku, udaje jej się przeżyć mroźną noc. Wróżki i elfy, wdzięczne za jej dobroć i odwagę, wznoszą nad uśpioną w śniegach dziewczynką Mały Domek, który ochrania ją przed zimnem i ciemnością: słodki zapach róż kołysze ją do snu, a mrok rozjaśnia świetlikowa lampka nocna. Jednak w opowieści o Piotrusiu Panu w Ogrodach Kensingtonskich słodycz i gorycz mieszają się, są tuż obok siebie; są tak blisko, jak ciepły policzek śpiącego dziecka i chłód śniegu. Mały Domek, bezpieczne schronienie dzieciństwa – podobnie jak dzieciństwo samo w sobie – istnieje bowiem tylko przez chwilę; byle co płoszy jego czar, a konieczność przebudzenia (dorastania) skazuje na utratę. Nie zawsze też to, co niewinne, dziecięce i dobre, zdolne jest przetrzymać grozę nocy i uchronić się przed trzaskającym mrozem, który niczego nie oszczędza – zakończenie *Piotrusia Pana w Ogrodach Kensingtonskich* nie ma nic wspólnego z „wesołością”, wiele w nim za to gorzkiej powagi. A zatem: czy to „książka dla dzieci”? Czy może raczej „książka dla dorosłych”? Arcydzieła nie udzielają łatwych odpowiedzi, być może nawet nie udzielają ich wcale. Po prostu są, a my musimy „zrobić z nimi, co nam się podoba”.

Muszę przyznać, że myśl o Małym Domku z Ogródów Kensingtonskich towarzyszyła mi podczas tworzenia nowego przekładu¹⁰ tego nieco zapomnianego arcydzieła Jamesa Barriego, którego fragment święci swoją prapremierę na niniejszych kartach. Komin i dym z komina, skrobaczka do butów i świetlikowa lampka nocna, becza

na deszczówkę, klamka w drzwiach, ogródek warzywny i kwiatowy, róże i powoje pnące się po ścianach – tak wróżki, jak i elfy budowały domek dla Maimie, przekonane, że ciągle jeszcze znajdzie się coś, co wymaga udoskonalenia i wykończenia, czemu trzeba by przydać ostatecznych szlifów. Z tłumaczeniem Piotrusia było podobnie: choć wielokrotnie całość wydawała się gotowa, zawsze znajdowało się jeszcze miejsce na „mnóstwo ostatnich poprawek”, a potem „jeszcze więcej, jeszcze bardziej ostatecznych i najbardziej ostatnich ze wszystkich” – by tylko nie myśleć, że to już naprawdę koniec, że trzeba będzie odejść i zostawić za sobą małe okienka wielkości książek z obrazkami, przesyłając tylko domkowi (Piotrusiowi) ostatni, pożegnalny pocałunek (naparstek).

W *Piotrusiu Panu w Ogrodach Kensingtonskich* – bo o inny tytuł pokusić się niepodobna – starałam się o zachowanie oryginalnego charakteru przestrzeni Ogródów oraz specyfiki czasów, w których powstawała opowieść: Maimie mierzy zatem w pasie czterdzieści cali z ogonkiem (a nie około metra), a ciemnoskóra niania Tony’ego i jego siostry nazywana jest przez swoich podopiecznych *ayah*, jak w czasach współczesnych Barriemu nazywane były piastunki pochodzące ze skolonizowanych przez Anglików Indii Wschodnich. Jeśli chodzi o magiczny świat Ogródów Po Zamknięciu Bram, to został on – w mojej wyobraźni i przekładzie – zaludniony przez „wróżki i elfy”. Nie tylko przez te pierwsze, ponieważ oznaczałoby to, że w Ogrodach mieszkają wyłącznie panie i dziewczęta, a zarówno w oryginalnej powieści *Peter Pan in Kensington Gardens*, jak i na ilustracjach Arthura Rackhama nie brakuje przecież panów, którzy zostali w tłumaczeniu nazwani elfami – wszyscy razem tworzą „mały ludek”, społeczność Ogródów dość zabawną, trochę groźną, a trochę uroczą, przepadającą za tańcami, zabawą i śmiechem. Zimowe Ogrody Kensingtonskie skrzą się zresztą różnymi odcieniami humoru i groteski: przykładem groteskowe, lecz jakże zabawne przedstawienie niezdolnego do miłości Księcia Bożonarodzeniowych Stokrotek, w końcu, ku radości wszystkich, zakochującego się w ulicznej śpiewaczce Brownie, której imię – pozostawione w przekładzie w oryginale, podobnie jak imiona dziecięcych bohaterów opowieści – niesie w sobie mnóstwo interesujących dla tłumacza znaczeń.

Ale o tym kiedy indziej. Przed nami otworzą się za chwilę zimowe Ogrody Kensingtonskie, w których drzewa – poruszone mroźnym wiatrem – zdają się ożywać i rozmawiać. Czy to możliwe, że gdzieś w oddali, wśród bezlistnych zarośli, migają maleńkie światelka – jarzące się pomarańczowo gałzki miechunki (*winter cherries*), które są latarniami wrózek i elfów? A może to świetlik w oknie Małego Domku rozprasza cienie, żeby śpiące w środku ludzkie dziecko nie bało się ciemności? Nie wiadomo. W Ogrodach Kensingtonskich króluje zimowa noc, która ścieli świat ciszą. W tej chwili wszystko jest możliwe.

⁷ M. Tatar, *An Introduction to Arthur Rackham's Illustrations for „Peter Pan in Kensington Gardens”*, [w:] J. M. Barrie, *The Annotated Peter Pan...*, s. 237.

⁸ Postać Maimie zdradza także podobieństwo do tytułowej bohaterki z *Alicji w Krainie Czarów* (choć jest to podobieństwo subtelne i nienarzucające się czytelnikowi): Ogrody Kensingtonskie, w których dziewczynka znajduje się Po Zamknięciu Bram, przypominają fantastyczną Krainę Czarów, a dialogi Maimie z ożywionymi drzewami i krzewami wydają się szczególnie bliskie rozmowom Alicji z mieszkańcami Wonderlandu. Zdecydowanie Carrollowski jest również moment przebudzenia Maimie w Małym Domku, z którego wychodzi niczym Alicja z domku Białego Królika, uchylając dach „jak wieczko od pudełka”. Za inny kontekst dla opowieści można by uznać *Podróżę Guliwera* Jonathana Swifta – takie przypuszczenie nasuwa scena królewskich podziękowań wygłoszonych na śpiącej Maimie, która przypomina pierwsze spotkanie kapitana Guliwera z mieszkańcami Krainy Liliputów.

James Matthew Barrie
przeł. Aleksandra Wieczorkiewicz
il. Arthur Rackham

Piotruś Pan

w Ogrodach Kensingtonskich

(fragment)

.....

James Matthew Barrie | ur. 1860, zm. 1937. Szkocki dramaturg i powieściopisarz. Twórca postaci Piotrusia Pana.

Każdy słyszał zapewne o Małym Domku w Ogrodach Kensingtonskich – jedynym na świecie domku, który wróżki i elfy zbudowały dla ludzi. Nikt jednak tak naprawdę go nie widział, no, może poza trzema lub czterema osobami, natomiast one nie tylko go widziały, ale nawet w nim spały – ponieważ, żebyście w ogóle mogli zobaczyć Mały Domek, musielibyście najpierw w nim spać. Dzieje się tak dlatego, że kiedy układacie się do snu, domku jeszcze nie ma, ale jest już, kiedy się budzicie i wychodzicie z niego na zewnątrz.

Właściwie, w pewnym sensie, każdy może go zobaczyć, chociaż to, co zobaczy, nie będzie samym domkiem, a tylko światełkami w jego oknach. Widzicie czasami te światełka Po Zamknięciu Bram. David, na przykład, widział je raz całkiem wyraźnie w oddali pomiędzy drzewami, gdy wracaliśmy do domu z pantomimy, a Oliver Bailey zobaczył je pewnego wieczoru, kiedy zabawił do późna w Temple (tak nazywa się biuro jego taty). Natomiast Angela Clare, która uwielbia wyrywanie zębów, bo potem rodzice zabierają ją na coś słodkiego, zauważyła kiedyś nie jedno, lecz tysiące światełek, a to oznacza, że musiała widzieć, jak wróżki i elfy budują Mały Domek. Robią to bowiem każdego wieczoru, zawsze w innej części Ogródów. Angela pomyślała sobie, że jedno światełko jest nieco większe od innych, ale nie była tego całkiem pewna, bo światełka przez cały czas podskakiwały i równie dobrze mogło być tak, że raz jedno wydawało się większe, a raz drugie. Ale jeśli Angela nie myliła się, jeśli jedno światełko było rzeczywiście większe od innych, było to światełko Piotrusia Pana. Mnóstwo dzieci widziało światełka, nie ma więc właściwie o czym mówić. Natomiast słynna Maimie Mannering była tym dzieckiem, dla którego wróżki i elfy zbudowały domek po raz pierwszy.

Maimie zawsze była trochę dziwną dziewczynką, a dziwna robiła się wieczorami. Miała cztery lata i w ciągu dnia zachowywała się zupełnie normalnie. Była uszczęśliwiona, gdy jej wspaniały brat Tony, sześciolatek zuch-chłopak, zwracał na nią uwagę, całkiem naturalnie darzyła go szczerym podziwem i na próżno starała się być taka jak on, a kiedy ją odpychał, nie czuła się zirytowana, ale raczej zaszczyczona. Zdarzało się również, że w czasie odbijania piłki zatrzymywała się nagle i chociaż piłka była w grze, pokazywała komuś, że ma dziś na nogach nowiutkie buciki. Sami więc widzicie: w ciągu dnia była całkiem zwyczajną dziewczynką.

Lecz gdy tylko cienie zmierzchu kładły się na ziemię, Tony, ten pyszałek, tracił całą pogardę dla Maimie i spoglądał na nią z przestachem. I słusznie, ponieważ wraz z nastaniem zmroku jej twarz przybierała wyraz, który mogą opisać tylko jako podejrzan. Był to także wyraz niezmaczenie spokojny i stanowił wielkie przeciwieństwo w porównaniu z rozbieganymi spojrzeniami Tony’ego. W takich chwilach Tony składał jej w darze swoje ulubione zabawki (które zabierał z powrotem następnego ranka), a ona przyjmowała je z niepokojącym uśmiechem. Powodem, dla którego Tony robił się nagle taki przymilny, a Maimie taka tajemnicza, było (w skrócie) to, że oboje wiedzieli, iż zbliża się moment, w którym zostaną wysłani do łóżek. A właśnie wtedy Maimie stawała się najokropniejsza. Tony błagał ją usilnie, żeby dziś wieczorem taka nie była, mama i ciemnoskóra niania ostrzegały ją surowo, ale ona w odpowiedzi zaledwie raczyła się uśmiechnąć swoim denerwującym uśmiechem, by już wkrótce, gdy tylko zostawali sami przy świetle nocnych lampek, zacząć wołać: „Psssst! Co to było?”. Tony zaklinał ją: „To nic nie było, proszę cię, Maimie, nie rób tak!” i w przerażeniu chował się pod kołdrę. „Nadchodzi!” – wołała dalej Maimie. „Och, Tony, zobacz! Maca twoje łóżko rogami! Wwierca się w nie, żeby się do ciebie dobrać! Ojej, Tony, och!” i nie przestawała, dopóki Tony w piżamce z wrzaskiem nie zbiegał ze schodów, żeby się poskarżyć. Ale gdy dorośli przychodzili na górę, żeby dać Maimie nauczkę, zastawali ją zazwyczaj pogrążoną w spokojnym śnie – i to wcale nie takim śnie na niby, lecz zupełnie naprawdę. Wyglądała przy tym jak najśłodszy mały aniołek, a to, moim zdaniem, było najgorsze ze wszystkiego.

Jednak do Ogródów nie chodzili przecież wieczorami, tylko w ciągu dnia, a wtedy to Tony był mocny w głębie. Z tego, co opowiadał, moglibyście łatwo wywnioskować, że jest naprawdę dzielnym chłopcem, a nikt oczywiście nie był z tego

bardziej dumny niż Maimie. Marzyła wprost o tym, żeby nosić na szyi tabliczkę z napisem: „Jestem jego siostrą”. Nigdy też nie podziwiała go tak bardzo, jak wtedy, gdy mówił jej – a robił to niezwykle często i z zachwycającą pewnością siebie – że pewnego dnia ma zamiar zostać w Ogrodach Po Zamknięciu Bram.

– O, Tony – mówiła wtedy Maimie z bezgranicznym uwielbieniem – przecież wróżki i elfy strasznie się na ciebie wściekną!
– No, ja myślę – niedbale odpowiadał Tony.
– A może Piotruś Pan pozwoli ci się przepłynąć swoją łódką? – pytała, drżąc z przejęcia.
– Zmuszę go do tego – kwitował Tony. Nic więc dziwnego, że Maimie pękała wprost z dumy.

Popełnili jednak ogromny błąd, rozmawiając o tym tak głośno. Raz podsłuchiwała ich bowiem pewna wróżka, która zbierała właśnie szkieleciki liści (ów mały ludek wyrabia z nich zasłonki okienne na lato) i od tego dnia Tony był napiętnowany. Gdy chciał usiąść na barierce, wróżki i elfy wykręcały śrubki i Tony zlatywał z barierki na łeb na szyję. Łapały go za sznurowadła, żeby się przewrócić, i przekupstwem skłaniały kaczki do zatapiania jego łódek. Niemal wszystkie nieprzyjemne wypadki, które spotykają was w Ogrodach Kensingtonskich, zdarzają się, ponieważ wróżki i elfy się na was zawzięły. Dlatego powinniście zawsze bardzo uważać na to, co o nich mówicie.

Maimie należała do osób, które lubią ustalić sobie dokładną datę na zrobienie czegoś, natomiast Tony wręcz przeciwnie, więc gdy pytała go, którego dnia zamierza zostać w Ogrodach Po Zamknięciu Bram, odpowiadał jedynie, że „po prostu któregoś dnia”. Tony był bowiem raczej niezdecydowany co do tego, kiedy właściwie chce to zrobić, oczywiście poza momentami, w których Maimie pytała go: „A czy to będzie dzisiaj?” – wtedy zawsze był całkowicie przekonany, że to na pewno nie będzie dzisiaj. Maimie zrozumiała zatem, że Tony czeka na jakąś naprawdę wyjątkową okazję.

To wszystko doprowadza nas w końcu do pewnego popołudnia, gdy Ogrody Kensingtonskie były białe od śniegu, a na Okrągłym Stawie lśniła krucha tafla lodu, wprawdzie na tyle cienka, że nie można było jeździć na łyżwach, ale dało się przynajmniej łamać ją cały dzień, ciskając w lód kamieniami, co oczywiście robiły z upodobaniem całe zastępy bystrzych dziewczynek i chłopców.

Gdy Tony i jego siostra przyszli tego popołudnia do Ogródów, chcieli – co rozumiałe – iść prosto nad Okrągły Staw, ale ich *ayah*, ciemnoskóra niania, oświadczyła, że muszą najpierw zażyć zdrowego spaceru. Mówiąc to, zerknęła na tablicę, żeby sprawdzić dzisiejszą godzinę zamknięcia Ogródów. Było napisane, że o wpół do szóstej. Biedna *ayah*! Miała w zwyczaju śmiać się nieustannie z tego, że na świecie jest aż tyle białych dzieci, ale tego dnia nie dane jej było śmiać się z niczego więcej.

Przeszli się więc tam i z powrotem Aleją Maleństw, a kiedy wrócili w pobliże tablicy, niania bardzo się zdziwiła, widząc, że teraz Ogrody zamykają się już o piątę, a nie o wpół do szóstej. Cóż, nie była po prostu zaznajomiona z oszukańczymi sztuczkami wróżek i elfów, więc nie zorientowała się wcale (w przeciwieństwie do Maimie i Tony’ego), że to one zmieniły napis na tablicy, ponieważ tego wieczoru odbywał się ich bal. Wobec tego niania stwierdziła, że teraz zostało im już tylko tyle czasu, żeby przejść się do Górki i z powrotem – rodzeństwo podążyło za nią truchcikiem, a ona ani przez chwilę nie domyślała się, że jest coś, co sprawia, iż jej podopieczni drżą z podniecenia. Wy rozumiecie oczywiście, że nadarzała się właśnie wspaniała sposobność, żeby zobaczyć bal wróżek i elfów. Tony poczuł, że przynigdy nie będzie mógł liczyć na lepszą okazję.

Musiał to poczuć, gdyż Maimie poczuła to bardzo wyraźnie za niego. W jej podekscytowanych spojrzeniach czało się pytanie: „Czy to będzie dzisiaj?”, a on odetchnął głęboko i skinął głową. Maimie wsunęła swoją gorącą rączkę w chłodną dłoń Tony’ego, a potem zrobiła bardzo ładną rzecz – zdjęła swój szalik i wręczyła go bratu. „Na wypadek, gdyby zrobiło ci się zimno” – wyszeptwała. Jej twarzyczka promieniała, Tony natomiast wyglądał bardzo ponuro.

Gdy znaleźli się na szczycie Górki, Tony szepnął do niej: „Obawiam się, że *ayah* mnie zobaczy, więc nie będę mógł tego zrobić”, a Maimie podziwiała go w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ Tony nie obawiał się niczego oprócz ich niani, podczas gdy dookoła czało się tyle nieznanых niebezpieczeństw. Odpowiedziała mu więc głośno: „Tony, ścigamy się z powrotem do bramy!”. A potem już szeptem dodała: „Wtedy będziesz się mógł schować”, i pobiegli przed siebie.

Tony wyprzedzał ją zawsze z łatwością, ale Maimie nigdy jeszcze nie widziała, żeby pędził tak szybko, jak teraz, więc od razu pomyślała, że bardzo się spieszy, żeby mieć więcej czasu na znalezienie kryjówki. „Jaki dzielny! Jaki dzielny!” zdawały się wołać jej oczy, wpatrzone w niego z bezgranicznym uwielbieniem, gdy nagle doznała okropnego wstrząsu: zamiast się schować, jej bohater wyleciał pędem przez bramę. W obliczu tak strasznego widoku Maimie stanęła jak wryta, czując się tak, jakby wszystkie najdroższe skarby, niesione pieczołowicie w fartuszkach, rozsypały się nagle na ziemię. Pogarda wysuszyła łzy napływające jej do oczu. W przypiętych bezdennej obrzydzenia wobec wszystkich rozmazganych tchórzów pobiegła w stronę Źródła św. Gowora i schowała się tam zamiast brata.

Gdy *ayah* dotarła wreszcie do bramy i zobaczyła Tony’ego daleko przed sobą, pomyślała, że jego siostra jest na pewno razem z nim, wyszła więc na ulicę. Zmierzch zakradał się powoli do Ogródów, mnóstwo ludzi spieszyło do bram i wychodziło na zewnątrz, nie wyłączając późnialszych, którzy zawsze muszą podbiec, żeby zdążyć przed zamknięciem. Ale Maimie ich nie widziała: jej powieki były mocno zaciśnięte i sklezione gorącymi łzami. Kiedy otworzyła oczy, coś bardzo zimnego zaczęło pełzać po jej rękach i nogach, a potem dotknęło serca. Tym czymś była cisza panująca w Ogrodach. W następnej chwili Maimie usłyszała donośne trzask, potem z innej strony trzask, i w końcu trzask, trzask gdzieś z oddali. Było to Zamknięcie Bram.

Jeszcze zanim ucichły ostatnie dźwięki zamykania bram, Maimie usłyszała wyraźnie, jak jakiś głos mówi: „No, nareszcie będzie można się odprężyć”. Głos miał drewniane brzmienie i zdawał się dobiegać z góry; Maimie zadarła więc głowę i zrobiła to w samą porę, żeby zobaczyć, jak rosnący obok wiąz przeciąga się i potężnie ziewa. Już chciała powiedzieć: „Nie miałam zielonego pojęcia, że pan umie mówić!”, gdy znów usłyszała jakiś głos, tym razem metaliczny, który dobiegał od strony źródłanego



czerpaka i zwracał się do wiazu z pytaniem: „Tam u góry pewnie dziś zimnawo?“, na co wiąz odrzekł: „Nieszczególnie, ale można naprawdę zdrętwieć, kiedy tak długo stoi się na jednej nodze“, po czym zaczął wymachiwać energicznie ramionami, dokładnie tak jak wymachuje dorożkarz przed odjazdem. Maimie była całkowicie zaskoczona, widząc, że mnóstwo innych wielkich drzew zachowuje się podobnie, więc szybko wymknęła się na Aleję Maleństw i bacznie wszystko obserwując, przycupnęła pod ostrokrzewem kanaryjskim, który wprawdzie wrzuszył ramionami, ale poza tym nie zwracał na nią szczególnej uwagi.

Nie było jej ani trochę zimno, ponieważ ubrana była w rudobrunatną pelisę obszytą futerkiem, a głowę schowała pod kapturem, spod którego wyglądała tylko jej drobna buzia i kilka wymykających się loków. Cała reszta jej osobki była natomiast ukryta głęboko w środku, pod tak wieloma warstwami ciepłej odzieży, że Maimie w kształcie bardzo przypominała piłkę. Wyobraźcie sobie, w pasie mierzyła czterdzieści cali z ogonkiem.

Tymczasem w Alei Maleństw działo się mnóstwo ciekawych rzeczy: Maimie zdążyła przybiec tam w samą porę, by zobaczyć, jak magnolia i bez perski przeskakują przez barierkę i wybierają się żwawym krokiem na elegancką przechadzkę. Poruszały się wprawdzie dość pokracznie, a to dlatego, że podierały się laskami. Sędziwy krzew czarnego bzu przekuśtykał w poprzek drogi, a potem zatrzymał się, żeby pogawędzić z jakimiś młodymi pigwami – Maimie zauważyła, że również one podpierają się laskami. Owe laski były to paliki, do których przywiązuje się młode drzewa i krzewy, a choć Maimie znała je bardzo dobrze, aż do tego wieczoru nie wiedziała, do czego właściwie służą.

Wyjrzała znowu na Aleję Maleństw i zobaczyła swojego pierwszego elfa. Był to mały ulicznik, który biegł wzdłuż alei i zamykał wierzby płaczące. Robił to w następujący sposób: naciskał sprężynę w pniach, a drzewa zamykały się jak parasolki, zasypując śniegiem drobne roślinki rosnące pod spodem. Widząc to, Maimie krzyknęła na elfa z oburzeniem: „Ty wstrętny, wstrętny łobuziel!“, gdyż wiedziała aż za dobrze, jakie to uczucie, gdy ktoś zamyka ci nad głową ociekający wodą parasol.

Na szczęście mały psotnik był już tak daleko, że nie mógł jej usłyszeć. Usłyszała ją za to chryzantema i zawołała: „Patrzcie państwo, a to co?“ tonem tak znaczącym, że Maimie musiała wyjść z ukrycia i pokazać się wszystkim, czym wprawiła całe królestwo roślin w niemałe zakłopotanie.

– Oczywiście, to nie nasza sprawa – zwrócił się do niej krzew trzmieliny, gdy dookoła ucichły już nerwowe szepty – ale na pewno doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie powinnaś się tu znajdować. I być może naszym obowiązkiem jest teraz donieść wróżkom i elfom o twojej obecności w Ogrodach. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że nie powinniście tego robić – odparła Maimie, a jej odpowiedź wprawiła drzewa i krzewy w taką konsternację, że natychmiast stwierdziły, iż nie ma sensu dłużej z nią dyskutować. – Nie prosiłabym was o to – zapewniła Maimie – gdybym nie była przekonana, że nie robię nic złego.

Po tym oświadczeniu drzewa i krzewy nie mogły już tak po prostu donieść wróżkom i elfom o jej obecności w Ogrodach. Rozległy się więc okrzyki: „Olaboga!“ i „Takie jest życie!“, ponieważ rośliny potrafią być przerażająco uszczypliwe. Ale Maimie zrobiło się żal tych, które nie miały lasek, więc zwróciła się do nich bardzo uprzejmie:

– Zanim pójdę na bal wrózek i elfów, z przyjemnością przespaceruję się z każdym z was po kolei – będziecie się wtedy mogły na mnie oprzeć.

Na te słowa drzewa i krzewy klasnęły z zachwytu, a Maimie przespacerowała się z każdym z nich po kolei, wzdłuż Alei Maleństw i z powrotem, otaczając ramieniem lub obejmując palcem najkruchsze okazy, prostując ich chód, gdy stawał się zbyt koślawy, a egzotyczne odmiany traktując z taką samą kurtuazją jak angielskie, choć nie rozumiała ani słowa z tego, co do niej mówiły.

Wszystkie rośliny zachowywały się na ogół jak należy, choć niektóre marudziły pod nosem, że nie zabrała ich tak daleko, jak Nancy, Grace czy Dorothy, inne zaś kłuły ją kolcami, oczywiście zupełnie przypadkowo, lecz Maimie miała w sobie zbyt wiele z damy, by się na to uskarżać. Długi spacer zmęczył ją, więc z niecierpliwością myślała o tym, by w końcu wybrać się na bal, a strach, jaki dręczył ją wcześniej, zniknął zupełnie. Powodem, dla którego nie czuła już lęku, było to, że zapadł zmierzch, a w ciemności, jak pamiętacie, Maimie stawiała się trochę dziwna.

Tymczasem drzewa i krzewy wcale nie miały ochoty jej puścić i gderały: „Jeśli wróżki i elfy cię zauważą, na pewno się na ciebie zawezmą: pokłują cię na śmierć albo rozkażą ci niańczyć swoje dzieci, albo zamienią cię w coś strasznie nudnego, jak na przykład zimozielony dąb“. Mówiąc to, z udawanym współczuciem spoglądały na zimozielony dąb, ponieważ w nim wszystkie rośliny są o zimozieloność okropnie zazdrosne.

– Phi! – odparł dąb kąśliwie. – Jakże rozkosznie i przytulnie jest stać tutaj zapiętym pod szyję i spoglądać na was, biedne, nagie, trzęsące się z zimna istotki!

To wprawiło je w naprawdę zły humor, choć właściwie same były sobie winne: zaczęły więc roztaczać przed Maimie ponure wizje niebezpieczeństw, z którymi przyjdzie jej się zmierzyć, jeśli nadal pozostanie przy tym, żeby pójść na bal wrózek i elfów.

Od leszczyny purpurowej dowiedziała się, że atmosfera na królewskim dworze nie jest obecnie tak radosna, jak zawsze, a przyczyną tego jest cierpiące męki miłosego niespełnienia serce Księcia Bożonarodzeniowych Stokrotek. Książę był elfem pochodzącym z Orientu, który zapadł na okropną chorobę, a mianowicie był zupełnie niezdolny do odczuwania miłości. I choć próbował wyleczyć się z tego przy pomocy wielu pięknych dam z tysiąca różnych krajów, kuracja nie przynosiła żadnych efektów – po prostu nie mógł się zakochać w żadnej z nich. Królowa Mab, miłościwie panująca w Ogrodach Kensingtonskich, była najzupełniej przeświadczona, że jedna z jej dwórek oczaruje Księcia, lecz niestety! Jego serce, jak stwierdził doktor, pozostawało całkiem zimne. Ów raczej irytujący łapiduch, który był nadwornym medykiem Księcia, przykładał dłoń do jego serca zawsze po tym, gdy tylko jakaś dama została zaprezentowana, a potem kręcił łusą łepetyną i mruczał pod nosem: „Zimne, całkiem zimne“. Rzecz jasna, Królowa Mab czuła się tym dotknięta do żywego, więc najpierw rozkazała dworzanom pogrążyć się w otchłani rozpacz

na dokładnie dziewięć minut, a następnie za winne wszystkiemu uznała Kupidyunki i wydała rozporządzenie skazujące je na noszenie błazeńskich czapeczek do czasu, aż nie uda im się roztopić zamarzniętego książęcego serca.

– Ale bym chciała zobaczyć Kupidyunki w ich ślicznych, błazeńskich czapeczkach! – zawołała Maimie i popędziła, żeby ich poszukać, zupełnie nierozważnie zresztą, ponieważ Kupidyunki nie cierpią, kiedy ktoś się z nich naśmiewa.

Bardzo łatwo odkryć, gdzie odbywa się bal, ponieważ ze wszystkich zamieszkanych przez wróżki i elfy części Ogrodów prowadzą do tego miejsca rozwinięte wstążki, po których zaproszeni goście mogą całkiem wygodnie przybyć na tańce, nie mocząc sobie pantofelków. Tego wieczoru wstążki były czerwone i wyglądały przepięknie na śniegu.

Maimie wędrowała przez jakiś czas wzdłuż jednej z nich, nie spotkawszy żywego ducha, w końcu jednak zobaczyła zbliżający się orszak wrózek i elfów. Ku jej zaskoczeniu wyglądały one, jakby wracały z balu i ledwie zdążyła się przed nimi ukryć, zginając kolana i wyciągając ręce tak, żeby przypominać fotel ogrodowy. Sześciu konnych jechało stępą na przedzie oraz z tyłu orszaku, po środku zaś kroczyła dostojna dama, ciągnąc za sobą długi tren podtrzymywany przez dwóch paziów. Na trenie, jak w lektyce, spoczywała wygodnie prześliczna panienka. W ten właśnie sposób arystokracja wrózek i elfów podróżuje najchętniej. Panienka ubrana była w złotokap, ale najbardziej godna zazdrości była jej szyja: błękitna w kolorze, aksamitna w dotyku, i oczywiście uwydatniająca jej diamentowy naszyjnik tak doskonale, że żadna, nawet najbielsza szyja, nie mogłaby tego zrobić lepiej. Wysoko urodzone wróżki osiągają ten zachwycający efekt, nakłuwając delikatnie skórę i pozwalając, by błękitna krew zabarwiła ją na niebiesko. Nie jesteście w stanie wyobrazić sobie czegoś równie oszałamiającego, o ile nie widzieliście popiersi prezentujących biżuterię w sklepie jubilerskim.

Maimie zauważyła, że cały orszak wydawał się niezmiernie wzburzony: wszyscy zadzierałi nosy niebezpiecznie wysoko, nawet jak na wróżki i elfy, więc doszła do wniosku, że ma przed sobą kolejny przypadek, o którym doktor książęcy orzekł: „Zimne, całkiem zimne”.

Cóż, podążyła dalej za czerwoną wstążką aż do miejsca, w którym tworzyła ona niewielki mostek, zawieszony pomiędzy dwoma brzegami wyschniętej kałuży, do której wpadła właśnie jakaś wróżka i nie mogła się z niej wygrzebać. Maimie niezwykle uprzejmie pospieszyła jej z pomocą. Drobną dziewczeczką zlekła się najpierw, ale już po chwili wygodnie usadowiła się w zagłębieniu jej dłoni, szczebiocąc wesoło i wyjaśniając, że na imię jej Brownie i choć jest tylko biedną uliczną śpiewaczką, wybiera się właśnie na bal, by się przekonać, czy Księżę Bożonarodzeniowych Stokrotek nie zechce jej za żonę.

– Ma się rozumieć – dodała – że jestem raczej dość zwyczajna.

Te słowa sprawiły, że Maimie poczuła się trochę zakłopotana, ponieważ ta mała, prosta istotka wydała się jej rzeczywiście niemal zbyt zwyczajna jak na wróżkę.

Bardzo trudno było jej wymyślić jakąś dobrą odpowiedź.

– Więc sądzisz, że nie mam żadnych szans? – zapytała ją słabnącym głosem Brownie.

– Nic takiego nie powiedziałam – odparła Maimie uprzejmie. – Rzeczywiście, twoja buzia jest może odrobinę zbyt bezpretensjonalna, ale...

Cała ta sytuacja stawała się dla niej naprawdę krępująca.

Na szczęście Maimie przypomniała sobie w porę historię taty i kiermaszu. Pewnego dnia jej tata poszedł na kiermasz dobroczynny, gdzie można było zobaczyć najpiękniejsze panie z całego Londynu – drugiego dnia za jedyne pół korony. Kiedy tata wrócił do domu, zamiast być niezadowolonym z wyglądu mamy, powiedział do niej: „Nie masz pojęcia, kochanie, jaka to ulga zobaczyć znowu jakąś miłą, bezpretensjonalną twarz”.

Maimie opowiedziała tę historię Brownie, która poczuła się od razu niezwykle podniesiona na duchu, a ściślej mówiąc, nie miała już najmniejszych wątpliwości, że Księżę wybierze właśnie ją. Pomknęła więc przed siebie po wstążkowym dywanie, ale zdążyła się jeszcze odwrócić do Maimie i ostrzec, by za nią nie biegła, gdyż w przeciwnym razie Królowa na pewno się na nią zawezmie.

Lecz przemożna ciekawość pchała Maimie ciągle naprzód, aż pomiędzy siedmioma hiszpańskimi kasztanowcami zauważyła jakieś cudowne światło. Podkraśniała się więc jeszcze kawałeczek, a gdy znalazła się już wystarczająco blisko, wyjrzała ostrożnie zza drzewa.

Światło zawieszone było ponad ziemią mniej więcej na wysokości jej głowy, a pochodziło od miriadów świetlików skupionych razem i tworzących migotliwy baldachim nad kręgiem wrózek. Dookoła stało tysiące wrózek i elfów przyglądających się widowisku, lecz ginęły one w cieniu, a poza tym były całkowicie bezbarwne w porównaniu ze wspaniałymi istotami, które stały w środku świetlistego kręgu. Były one tak olśniewające, że Maimie musiała mrużyć oczy za każdym razem, gdy się im przypatrywała.

Dziwiło ją, a nawet irytowało, że serce Księcia Bożonarodzeniowych Stokrotek może choć przez chwilę pozostawać zimne wobec tylu cudów: a jednak, Jego Śniadolica Mość wciąż wydawał się daleki od zakochania, co można było łatwo poznać po zawstydzonych spojrzeniach Królowej i całego dworu (choć oczywiście wszyscy udawali, że wcale ich to nie obchodzi), po sposobie, w jaki nadobne damy przyprawdazane przed jego oblicze zalewały się łzami, gdy kazano im przechodzić dalej, oraz po posępnej minie samego Księcia.

Maimie dostrzegła także nadętego medyka badającego książęce serce i usłyszała jego papuzie wrzaski, najbardziej jednak współczuła Kupidyńkom, które kuliły się w swoich błazeńskich czapeczkach w najciemniejszym kącie, a za każdym razem, gdy słyszały okrzyk: „Zimne, całkiem zimne”, zwieszały małe, okryte wstydem główki.

Była trochę zawiedziona, że nigdzie nie było widać Piotrusia Pana, ale ja mogę wam bardzo prosto wyjaśnić, dlaczego Piotruś spóźnił się tego wieczoru. Wszystko przez to, że jego łódka utknęła wśród kier lodowych, pływających po Serpentyń, między którymi musiał utorować sobie niepewny szlak za pomocą wiernego wiosła.



Jednakże wróżki i elfy nie tęskniły za nim dotychczas jakoś specjalnie, ponieważ tak czy inaczej nie mogłyby tańczyć z powodu ciężaru przyniatającego ich serca. Kiedy są smutne, zapominają zupełnie podstawowych kroków i przypominają je sobie dopiero, gdy znów są radosne. David opowiadał mi kiedyś, że gdy wróżki i elfy są szczęśliwe, nie mówią nigdy: „Jesteśmy wniebowzięte”, tylko „Jesteśmy wtaniecwzięte”.

Cóż, w tej chwili rzeczywiście nie wyglądały na wtaniecwzięte, aż nagle wśród zgromadzonych dało się słyszeć salwy śmiechu. Ich przyczyną była Brownie, która właśnie przybyła i stanowczo nalegała, by jej również wolno było przedstawić się Księżciu.

Maimie natychmiast wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć, jak radzi sobie jej przyjaciółka, choć tak naprawdę nie miała co do niej wielkich nadziei. Zdawało się, że nikt nie ma właściwie nadziei, prócz samej Brownie; ona natomiast zachowywała się z ogromną pewnością siebie. Poprowadzono ją przed oblicze Jego Wysokości, a doktor niedbale położył palec na księżęcym sercu (które – przez wzgląd na obyczajność – nie było wystawione na widok publiczny, lecz schowane pod maleńką kieszonką w jego diamentowej koszuli) i już zaczynał wygłaszać swoją rutynową formułkę: „Zimne, całk...”, gdy nagle urwał w połowie słowa.

– Co to ma znaczyć? – zawołał, a następnie potrząsnął księżęcym sercem jak zepsutym zegarkiem i przyłożył do niego ucho. – Na mą duszę! – wykrzyknął po chwili. Napięcie wśród zgromadzonych sięgnęło zenitu, wróżki mdały na prawo i lewo.

Wszyscy, wstrzymując oddech, wpatrywali się w Księcia, który był okropnie spłoszony i wyglądał tak, jakby miał zamiar uciekać gdzie pieprz rośnie. „Dobry Boże!” – rozległo się znowu mruczenie doktora, i stało się teraz najzupełniej jasne, że serce Księcia zapłonęło uczuciem, ponieważ doktor oderwał od niego poparzone palce i wsadził je sobie do ust. Napięcie było wprost nie do zniesienia.

W następnej chwili, kłaniając się nisko i z wyraźnym uniesieniem, medyk przemówił do Księcia donośnym głosem: „Wasza Książęca Mość, mam zaszczyt obwieścić Waszej Wysokości, że Wasza Łaskawość jest zakochany”.

Nie jesteście w stanie wyobrazić sobie, jakie wrażenie wywarły te słowa. Brownie wyciągnęła ramiona do Księcia, a on rzucił się w jej objęcia. Królowa skoczyła w ramiona Lorda Szambelana, a wszystkie damy skoczyły w ramiona swoich kawalerów, ponieważ etykieta stanowi, by we wszystkim podążać za przykładem monarchini. W tym samym momencie zostało więc zawartych około pięćdziesięciu małżeństw, ponieważ u wrózek i elfów rzucenie się komuś w ramiona jest równoznaczne z poślubieniem tego kogoś. Oczywiście, musi być przy tym obecny duchowny.

Jakże ten tłum wiwatował i szalał! Zagrały trąbki, na niebie ukazał się księżyc, a tysiąc par uchwyciło się jego srebrzystych promieni, jak chwytą się kolorowe wstęgi w majowym tańcu, i zaczęło wirować w rytmie szalonego walca dookoła kręgu wrózek. Najradośniejszy widok przedstawiały jednak Kupidynki, które zerwały z głów znieenawidzone błazeńskie czapeczki i podrzucały je wysoko w powietrze. Lecz wtedy właśnie pojawiła się Maimie i wszystko zepsuła.

Nie mogła się po prostu powstrzymać: radość z powodu szczęścia małej przyjaciółki uderzyła jej do głowy i Maimie podbiegła kilka kroków naprzód, krzycząc w uniesieniu: „Och, Brownie! Ależ to wspaniale!”.

Tańczące pary zastygły w bezruchu, muzyka ucichła, zgasły światła, a wszystko to stało się w czasie krótszym, niż zdążylibyście zawołać „ojej!”. Maimie ogarnęło mrozące krew w żyłach poczucie zagrożenia – zbyt późno przypomniała sobie, że jest tylko zagubionym dzieckiem w świecie, w którym żadnemu człowiekowi nie wolno przebywać pomiędzy Zamknięciem a Otwarciem Bram. Słyszała groźne pomruki tłumu i ujrzała błysk tysiąca mieczy, wyciągających się, by utoczyć jej krwi. Wydała okrzyk zgrozy i rzuciła się do ucieczki.

Och, jak szybko biegła! A chociaż wiele razy upadała na ziemię, od razu zrywała się na równe nogi i niezmordowanie biegła dalej. Jej oczy zrobiły się wielkie ze strachu, a w jej małej głowie roilo się od tyłu myśli pełnych przerażenia, że zapomniała zupełnie, iż znajduje się w Ogrodach. Jediną rzeczą, która wydawała jej się pewna, było to, że nie może się zatrzymać ani na chwilę, więc jeszcze na długo po tym, jak przewróciła się w pobliżu Kokosów i zapadła w sen, sądziła, że nadal biegnie. Myślała, że płatki śniegu opadające jej na twarz są pocałunkami mamy, która przyszła powiedzieć jej „dobranoc”. Myślała też, że otulający ją śniegowy puch jest ciepłą pierzynką i próbowała naciągnąć go sobie wyżej na głowę. A gdy przez sen usłyszała czyjeś głosy, pomyślała, że to mama przyprowadziła tatę do drzwi pokoju dziecinnego, aby popatrzeć na swoją uśpioną córeczkę. Lecz tak naprawdę były to głosy wrózek i elfów.

Na szczęście mogę was uspokoić, że nie miały już wrogich zamiarów wobec Maimie. Co innego w momencie, gdy uciekła – wtedy w ciemności podniosły się okrzyki: „Zabić ją!”, „Zamienić w coś okropnie strasznego!” i temu podobne, ale ich zapał osłabł podczas narady wojennej, gdy dyskutowano nad tym, kto ma kroczyć w pierwszych szeregach natarcia. To z kolei dało czas Księżnej Brownie, żeby upaść przed Królową na kolana i zażądać, by spełniła jej ślubne życzenie.

Każda panna młoda ma prawo do jednego ślubnego życzenia: Brownie zażyczyła sobie, żeby Maimie pozostała przy życiu. „Wszystko, tylko nie to!” – odparła Królowa stanowczo, a wszystkie wróżki i elfy powtórzyły za nią jak echo: „Wszystko, tylko nie to!”. Jednak gdy dowiedziały się, jak Maimie zaprzyjaźniła się z Brownie, jak ta pomogła jej dostać się na bal – ku ich wielkiej sławie i chwale – wzniosły trzykrotny okrzyk: „Hurra!” na cześć małego człowieczka i jak jeden mąż wyruszyły, by jej podziękować: na czele kroczył dwór królewski, a baldachim świetlików dotrzymywał mu kroku. Bardzo łatwo odnaleźli Maimie, podążając po prostu po jej śladach na śniegu.

Choć znaleźli ją w Kokosach, zagrzebaną głęboko w białym puchu, wszelkie podziękowania wydawały się niemożliwe, ponieważ nie mogły jej obudzić. Wymyśliły wprawdzie sposób, w jaki chcą wyrazić jej swoją wdzięczność – odbyło się to w gruncie rzeczy tak, że nowy Król stanął na Maimie i przeczytał skierowaną do niej długą mowę dziękczynną, z której nie usłyszała oczywiście ani słowa. Wróżki i elfy odgarnęły śnieg, który ją przykrywał, ale nie na wiele się to zdało, ponieważ już wkrótce otuliła ją nowa warstwa puchu. Widząc to, wróżki i elfy zrozumiwały, że Maimie może zamarznąć na śmierć.

– Zamieńmy ją w coś, co się nie boi zimna – poradził doktor, a jego propozycja wydała się wszystkim całkiem dobra. Niestety, gdy próbowali wymyślić coś, co nie boi się zimna, jedyną rzeczą, która przychodziła im do głowy, był płatek śniegu.

– A on bardzo łatwo może się roztopić – zauważyła Królowa, więc pomysł ten został zarzucony.

Następnie, z tytanicznym wprost wysiłkiem, wróżki i elfy próbowały przenieść Maimie w jakieś osłonięte miejsce, lecz choć było ich tak wiele, dziewczynka okazała się dla nich zdecydowanie za ciężka. Wszystkie damy zaczęły już szlochać, chowając twarze w chusteczkach, gdy Kupidynki wpadły na genialny pomysł.

– Zbudujmy dom wokół niej! – zawołały i natychmiast wszyscy poczuli, że to właśnie należało zrobić od samego początku.

W mgnieniu oka setka maleńkich cieśli piłowała już gałęzie, architekci biegali dookoła Maimie, dokonując pomiarów, u jej stóp wzniesiono cegielnię, siedemdziesięciu pięciu murarzy pospiesznie przyniosło kamień węgielny, Królowa uroczyście go położyła, zatrudniono nadzorców, by trzymali małych chłopców z daleka od budowy, wzniesiono rusztowania, powietrze wypełniło się stukaniem młotków, dłut i tokarek, a już po chwili kładziono dach i szklarze wstawiali okna.

Dom był dokładnie tej samej wielkości co Maimie i wyglądał naprawdę uroczo. Przez chwilę niemałym wyzwaniem dla budowniczych było jej wyciągnięte ramię, lecz bardzo szybko wymyślili, żeby zbudować nad nim werandę, prowadzącą do drzwi frontowych. Okna miały wielkość książek z kolorowymi obrazkami, a drzwi były nawet mniejsze, lecz wyjście z domku nie powinno sprawić Maimie trudności, ponieważ zawsze mogła uchylić dach. Wróżki i elfy, jak to mają w zwyczaju, klasnęły w dłonie z podziwu nad swoją przemysłowością, i zakochały się w Małym Domku tak szaleńczo, że wprost nie mogli znieść myśli, iż muszą go ukończyć. Zapinały więc wszystko na ostatni guzik, robiąc mnóstwo ostatnich poprawek, by potem zrobić jeszcze więcej poprawek, jeszcze bardziej ostatnich i najbardziej ostatecznych ze wszystkich. Dwóch budowniczych weszło na przykład na drabinę, żeby postawić komin.

– Obawiamy się, że teraz jest już zupełnie skończony – westchnęli.

Lecz nie, jeszcze nie, ponieważ dwaj kolejni wbiegli po drabinie i przyczepili do komina odrobinę dymu.

– No, teraz to już naprawdę koniec – powiedzieli niechętnie.

– Ależ skąd! – zawołał na to świetlik. – Kiedy się obudzi i nie zobaczy obok siebie nocnej lampki, może się wystraszyć. Ja będę jej nocną lampką.

– Zaczekaj chwilę – powiedział handlarz chińską porcelaną. – Dorobię ci klosz.

Teraz niestety domek był już całkowicie skończony.

O rety, jednak nie!

– A niech to! – wykrzyknął formierz mosiądzu. – Przecież nie ma jeszcze klamki w drzwiach! – I szybko dorobił klamkę.

Kupiec żelazny postawił przed drzwiami skrobaczkę do butów, a jakaś starsza pani pospieszyła z wycieraczką. Stolarze przybyli z beczką na deszczówkę, a malarze nalegali, żeby ją pomalować.

Nareszcie skończony!

– Skończony! Jak, do licha, może być skończony – zawołał pogardliwie hydraulik – skoro nie podłączyłem jeszcze ciepłej i zimnej wody? – Po czym natychmiast podłączył ciepłą i zimną wodę. Następnie nadszczępnęła armia ogrodników z wózkami, szpadlami, nasionami, cebulkami i inspektami, i już po chwili po prawej stronie werandy zielenił się ogród kwiatowy, po lewej warzywniak, a róże i powoje pięły się po ścianach domku. Nie minęło nawet pięć minut, a wszystkie te cuda znalazły się w pełnym rozkwicie.

Ach, jaki piękny był teraz Mały Domek! Ale był też nareszcie naprawdę skończony, a wróżki i elfy musiały go zostawić i wrócić do swojego tańca. Gdy odchodziły, przesyłały domkowi pocałunki, a ostatnia ze wszystkich odeszła Brownie. Została na końcu orszaku, żeby wrzucić przez komin cudowny sen dla Maimie.

Przez całą noc prześliczny Mały Domek stał w Kokosach, troszcząc się o nią, a ona nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Spała dopóty, dopóki starczyło cudownego snu od Brownie, a potem obudziła się, czując się rozkosznie przytulnie, dokładnie w momencie, gdy poranek wykluwał się ze skorupki, a potem o mało nie zasnęła znowu, a potem zawołała: „Tony!”, ponieważ wydało jej się, że jest w domu, w pokoju dziecinnym. Jednak Tony nie odpowiedział, więc usiadła, ale wtedy uderzyła głową w sufit, dach uchylił się jak wieczko od pudełka i ku swemu wielkiemu zdumieniu Maimie ujrzała dookoła zasypane śniegiem Ogrody Kensingtonskie. Skoro nie znajdowała się w pokoju dziecinnym, zaczęła rozmyślać, czy jest naprawdę sobą, więc uszczypnęła się w policzki i przekonała się, iż rzeczywiście jest sobą, a wtedy uświadomiła sobie, że właśnie znajduje się w samym sercu wielkiej przygody. Przypomniało jej się teraz wszystko, co przeżyła od momentu Zamknięcia Bram, aż do chwili, w której zaczęła uciekać przed wrózkami i elfami, ale jakim cudem – zadawała sobie pytanie – udało jej się dostać w to dziwaczne miejsce? Wyszła przez dach, przestąpiła przez ogród i w tym samym momencie ujrzała cudny domek, w którym spędziła noc. Domek oczarował ją do tego stopnia, że nie mogła myśleć absolutnie o niczym innym.

– O, ty najdroższy! O, ty najśłodszy! O, ty najukochańszy! – wołała.

Być może dźwięk ludzkiego głosu przestraszył Mały Domek, a być może po prostu zorientował się, że jego zadanie zostało wypełnione, gdyż nim jeszcze przebrzmiały okrzyki Maimie, zaczął się zmniejszać. Kurczył się tak powoli, że ledwie mogła uwierzyć, iż kurczy się naprawdę, lecz szybko dostrzegła, że teraz nie mógłby już jej pomieścić. Przez cały czas wszystko w nim pozostawało takie samo, robiło się tylko coraz mniejsze i mniejsze. Ogródek zniknął równocześnie z domkiem, a śnieg podpełzał coraz bliżej i bliżej, pokrywając miejsca, w których jeszcze niedawno kwitły kwiaty i wznosiły się ściany. Teraz domek był już tylko wielkości budy dla małego pieska, teraz zabawkowej Arki Noego, lecz wciąż można było dostrzec dym unoszący się z komina, klamkę i pnące się róże – nie brakowało niczego. Świetlikowa nocna lampka również zniknęła, ale ciągle tam była. „Najdroższy, najukochańszy,

nie odchodzi!” – błagała Maimie, upadając na kolana, ponieważ Mały Domek był teraz wielkości szpulki nici, choć wciąż pozostawał doskonale wykończony. Jednak gdy Maimie wyciągnęła do niego błagalnie ramiona, śnieg wdrapał się na ściany i zamknął ponad małym dachem, a tam, gdzie przed chwilą stał Mały Domek, rozpościerała się teraz tylko nietknięta połać śnieżna.

Maimie tupnęła nogą i już miała przycisnąć piąstki do oczu, gdy wtem usłyszała miły głos, mówiący do niej: „Nie płacz, śliczny człowieczku, nie płacz”. Odwróciła się i zobaczyła uroczego, zupełnie nagiego chłopczyka, który tęsknie się jej przyglądał. Od razu zorientowała się, że to właśnie musi być Piotruś Pan.

Maimie czuła się bardzo onieśmielona, ale Piotruś nie miał pojęcia, co to właściwie jest onieśmienie.

– Mam nadzieję, że dobrze spałeś? – zagadnął ją poważnie.

– Dziękuję, owszem – odparła Maimie. – Było mi bardzo ciepło i przytulnie. Ale czy tobie – dodała, patrząc z zakłopotaniem na jego gołe ciało – czy tobie nie jest ani odrobinę zimno?

Ponieważ zimno było kolejnym słowem, którego znaczenia Piotruś nie pamiętał, odpowiedział po prostu:

– Myślę, że nie, ale mogę się mylić. Sama rozumiesz, jestem troszkę niemądry. I właściwie to nie jestem prawdziwym chłopcem. Salomon mówi, że jestem Między- i-Pomiędzy.

– A więc tak to się nazywa – powiedziała Maimie z namysłem.

– Ale to nie jest moje imię – wyjaśnił. – Mam na imię Piotruś Pan.

– Ależ tak, oczywiście – odpowiedziała. – Wiem o tym. Wszyscy o tym wiedzą.

Nie macie pojęcia, jak Piotruś się ucieszył, gdy usłyszał, że wszyscy ludzie żyjący tam, poza bramami Ogrodów, wiedzą o nim. Błagał Maimie, żeby mu powiedziała, co wiedzą i co mówią, a ona chętnie spełniła jego prośbę. Usiedli na pniu zwalonego drzewa: Piotruś strzepnął śnieg w miejscu, w którym miała usiąść Maimie, ale sam usiadł na ośnieżonym kawałku.

– Przysuń się do mnie bliżej – powiedziała Maimie.

– A jak to się robi? – zapytał, więc Maimie pokazała mu, jak to się robi, a potem on się przysunął.

Gawędzili tak sobie i Piotruś dowiedział się, że ludzie wiedzą o nim mnóstwo rzeczy, ale nie wszystko – nie wiedzieli na przykład wcale, że wrócił do swojej mamy, ale w jej oknie zastał żelazne kraty. Nie wspomniał jednak o tym Maimie ani słowem, ponieważ nadal czuł się bardzo upokorzony tamtym wspomnieniem.

– A czy ludzie wiedzą, że bawię się w różne rzeczy dokładnie tak jak prawdziwi chłopcy? – zapytał, a z jego głosu przebijała wielka duma. – Och, Maimie, powiedz im o tym, proszę cię! – Lecz kiedy opowiedział jej, jak bawi się drewnianą obręczą, puszczając ją na Okrągłym Stawie, oraz o innych swoich zabawach, Maimie była po prostu przerażona.

– We wszystkie te zabawy – powiedziała, patrząc na niego swoimi wielkimi oczyma – bawisz się zupełnie, ale to zupełnie na opak. To nie ma nic wspólnego z tym, jak bawią się prawdziwi chłopcy!

Biedny Piotruś jęknął cichutko i zaczął płakać, po raz pierwszy od nie wiem jak dawna. Maimie zrobiło się go bardzo żal, więc pożyczyla mu swoją chusteczkę do nosa, ale Piotruś nie miał zielonego pojęcia, jak się jej używa, toteż Maimie pokazała mu, ocierając po prostu swoje oczy. Następnie wręczyła mu chusteczkę, mówiąc: „Teraz ty”, lecz on otarł jej oczy zamiast swoich, a ona uznała, że najlepiej będzie udawać, że właśnie o to jej chodziło.

Było jej tak bardzo żal Piotrusia, że powiedziała: „Jeśli chcesz, mogę ci dać całusa”, jednak on – chociaż kiedyś wiedział – teraz nie pamiętał już zupełnie, czym są pocałunki, więc odrzekł: „Owszem, poproszę” i wyciągnął rękę, myśląc, że Maimie ma zamiar coś mu wręczyć. Okropnie ją to zaskoczyło, ale czuła, że nie mogłaby mu wytłumaczyć pomyłki, nie zawstydzając go, więc z czarującą delikatnością wręczyła mu naparstek, który miała akurat w kieszeni, i udała, że to właśnie jest pocałunek. Biedny mały chłopiec! Całkowicie jej uwierzył i do dziś dnia nosi ów naparstek na palcu, choć na całym świecie nie ma chyba nikogo, komu naparstek byłby mniej potrzebny. Widzicie, chociaż nadal był malutkim dzieckiem, minęły już długie, długie lata od chwili, gdy po raz ostatni widział swoją mamę, i ośmielił się nawet stwierdzić, że chłopczyk, który wówczas zajął jego miejsce, dziś jest już dorosłym mężczyzną z bokobrodami.

Nie wolno wam jednak sądzić, że Piotruś Pan jest chłopcem, którego należy bardziej żałować, niż podziwiać. Również Maimie, nawet jeśli zaczęła tak myśleć, szybko przekonała się o tym, jak bardzo się myli. Jej oczy rozbłyły zachwytem, gdy opowiedział jej o swoich przygodach, w szczególności o tym, jak żeglują tam i z powrotem pomiędzy wyspą a Ogrodami w swoim Gnieździe Drozda.

– Jakie to romantyczne! – zawołała, lecz było to kolejne nieznane Piotrusiowi słowo, które sprawiło, iż zwiesił smętnie głowę i pomyślał, że Maimie czuje do niego pogardę.

– Domyślam się, że Tony nie zrobiłby niczego podobnego? – zapytał bardzo nieśmiało.

– O nie, nigdy! – odparła Maimie z przekonaniem. – Jest zbyt wielkim tchórzem.

– Kto to jest tchórz? – zapytał tęsknie Piotruś, ponieważ myślał, że musi to być ktoś naprawdę wspaniały. – Maimie, tak strasznie bym chciał, żebyś mnie nauczyla, jak zostać tchórzem!

– Obawiam się, że ciebie nikt nie mógłby tego nauczyć, Piotrusiu – odparła z uwielbieniem, ale on pomyślał, że Maimie uważa po prostu, iż jest na to zbyt tępy. Opowiedziała mu również o Tonym i okropnych rzeczach, które wyczynia w ciemności, żeby go nastraszyć (wiedziała oczywiście doskonale, że to były okropne rzeczy), ale Piotruś źle to zrozumiał i westchnął:

– O, strasznie bym chciał być taki odważny jak Tony!

Te słowa zupełnie wytrąciły Maimie z równowagi.

– Jesteś dwadzieścia tysięcy razy odważniejszy niż Tony! – zawołała. – Jesteś najodważniejszym chłopcem, jakiego znam!

Piotruś ledwie mógł uwierzyć, że Maimie mówi poważnie, ale kiedy już uwierzył, aż zapał z radości.

– Gdybyś bardzo chciał dać mi całusa – powiedziała Maimie – to możesz.

Piotruś zaczął niechętnie zdejmować naparstek, ponieważ myślał, że Maimie chce go z powrotem.

– Nie chodziło mi o całusa – powiedziała szybko. – Chodziło mi o naparstek.

– A co to takiego? – zapytał Piotruś.

– Coś takiego – odparła i pocałowała go.

– Bardzo bym chciał dać ci naparstek – powiedział poważnie, a następnie jej go dał. Dał jej właściwie całe mnóstwo naparstków, a potem przyszła mu do głowy zupełnie rozkoszna myśl.

– Maimie – zagadnął – czy wyjdiesz za mnie?

[...]

Nowy przekład *Piotrusia Pana* w *Ogrodach Kensingtonskich* J. M. Barriego autorstwa Aleksandry Wieczorkiewicz z ilustracjami Marcina Minora ukaże się nakładem Wydawnictwa Media Rodzina i będzie miał swoją premierę jesienią 2018.



Jacek Bocheński

Czy świat ma przyszłość?

(fragmenty Blogu Drugiego)

Jacek Bocheński | ur. 1926. Prozaik, eseista, publicysta.

Autor słynnej Trylogii rzymskiej. Działacz opozycji demokratycznej w PRL. Założyciel „Zapisu”. Jeden z inicjatorów powołania Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, były prezes Polskiego PEN Clubu. Odznaczony przez Radę Języka Polskiego PAN tytułem Wielkiego Ambasadora Polszczyzny (2017).

11.09.2016 | ZAKOPANE

Czy świat ma przyszłość? – takie pytanie chcą mi zadać w Zakopanem. Trochę sobie żartują, ale trochę też pytają serio. A ja mam do Zakopanego jeszcze raz pojechać i odpowiedzieć. [...] Co to znaczy „świat”? Chyba nie kosmos i nie glob ziemski, bo nie pytaliby o taki świat akurat mnie. Raczej świat ludzki. Ale to też wiele możliwych różności. Nie wiadomo, o którą chodzi. Człowiek, twór obdarzony inteligencją? Ale twór żywy czy każdy, w przyszłości na przykład pochodzący od człowieka, lecz już nieorganiczny? Tylko gatunek homo sapiens? Kultura? Cywilizacja techniczna? Gospodarka? Ostatnio dość nagle tematem stał się koniec świata rozumiany jako upadek światowego porządku politycznego. Mam się zająć tymi wszystkimi rzeczami naraz? Nie, sugerują, że nie. Mogę sobie wybrać, co mi się podoba. To jest festiwal artystyczny. Tam panuje wolność. W starym świecie, tym obecnym, artyści wciąż jeszcze brykają. Zapraszamy do pobrykania. Będą grać i śpiewać.

Dobrze. Jadę do nich. Postanowiłem.

26.09.2016 | SEMINARIUM

– Zapraszamy na moje seminarium z młodzieżą, która potem będzie słuchać pana, gdy zadam panu pytanie, czy świat ma przyszłość – mówi doktor Michał Mizera w zakopiańskiej restauracji, gdzie zaprosił mnie na obiad. A przedtem do Zakopanego na festiwal „Pępek Świata”.

To zaproszenie na festiwal wcale nie było pierwsze. Kilka lat temu doktor Mizera z Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego zaprosił mnie do Serocka na spotkanie

ze zdolną młodzieżą, wybraną przez Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci. Jakiś licealista siedzący tuż naprzeciw mnie wstał wtedy i zapytał:

– A co pan sądzi o transhumanizmie?

– Przepraszam – odpowiedziałem. – A co to jest?

Jakoś mi to z grubsza wytłumaczył. Zrozumiałem, że chodzi o przejmowanie i pełnienie pewnych funkcji psychicznych człowieka przez elektronikę. Takie stadium przyszłego rozwoju. Dziś już znacznie bliższe.

Seminarium, na które zaprasza teraz doktor Mizera, odbywa się pod gołym niebem na ławach zakopiańskiej restauracji, czyli *sub love*, jak wypadałoby mi powiedzieć, ponieważ uchodzę za latynistę. [...] Seminarzystami są znów licealiści i [...] grupa studentów z Wydziału „Artes Liberales”. Wszyscy siedzą przy stolikach, częściowo z nieuprzątniętymi jeszcze talerzami. Niektórzy piją wodę, soki, kawę, przed kimś stoi szklanka piwa. Wyjęli swoje smartfony, zeszyty, tablety i laptopy. Notują, piszą. Plecaki pokładli, gdzie się dało, przeważnie przy nogach. Doktor Mizera prowadzi seminarium, stojąc. Omawiają wczorajszy spektakl. To byli *Oni* Witkacego w reżyserii Andrzeja Dziuka, który jest także dyrektorem zakopiańskiego teatru.

8.10.2016 | WODEWIL

Oto ten teatr. Festiwal Zakopiańskie Prezentacje Artystyczne „Pępek Świata” odbywa się w Teatrze im. St. I. Witkiewicza, o którym nikt nie mówi inaczej niż Teatr Witkacego. Ale zanim usiądę na scenie do rozmowy z doktorem Mizera, proponuję, żebym położył się na leżaku, jeśli chcę, i obejrzał widowisko *Wodewil warszawski* w wykonaniu Teatru Pijana Sypialnia

z Warszawy, który gra w plenerze i przybiera również nazwę Teatr Na Leżakach. Pierwszy rząd widowni stanowią leżaki. Można także siedzieć na ławach, w kucki przed leżakami, a nawet zająć dowolną pozycję leżącą wprost na ziemi.

[...] Teatr Pijana Sypialnia jest awangardowy, czyli przyszłościowy, a w przyszłościowych teatrach tak się robi. Jesteśmy nowoczesną publicznością w przyszłościowym teatrze i zachowujemy się swobodnie, wierząc, że nieustannie zwiększająca się swoboda pozostanie przyszłością świata. Ale tu niespodzianka. Awangardowy teatr nawraca do przeszłości i to go bawi. Grają farsę z czasów Prusa, raczej młodego Prusa, jednak nic w niej z niego, jest wiek dziewiętnasty, dość jeszcze głęboki. Śmiesz i rozczula. Niepostrzeżenie przechodzi w czasy późniejsze aż po dzisiejsze z najnowszymi aktualiami politycznymi i sparodiowanym głosem Hanny Gronkiewicz-Waltz. Nośnikiem pozwalającym podróżować po Warszawie między czasami są piosenki i tańce, melodie i rytmy sprzed półtora wieku, walczyki, oberki, głównie folklor miejski, ale nie tylko. Krótko mówiąc, wodewil.

Patrzę, śmieję się, z rozrzwinięciem pociągając ze szklanki [...] dżin z tonikiem, co prawdopodobnie ma wpływ na rozrzwinięcie, ale większy mają stare piosenki, których dziś już się nie śpiewa i nie pamięta. A młodzi ludzie z awangardowego teatru przypomnieli i śpiewają.

Nic nie wskazuje, żeby to byli konserwatyści, żeby grali tak, śpiewali, tańczyli i cieszyli się z pobudek ideologicznych. Mają jakiś inny powód.

18.10.2016 | WOLNOŚĆ

Obejrzałem w zimnym plenerze *Wodewil warszawski* i już wchodzę z doktorem Mizera na ciepłą scenę główną pod dachem, gdy okazuje się, że przede mną jeszcze był tu [...] mój Blog Drugi. Znają niedawny wpis. [...] Aktorka Teatru Witkacego czyta na scenie tekst:

– Czy świat ma przyszłość? Takie pytanie chcą mi zadać w Zakopanem. Trochę sobie żartują – ... I tak dalej. Czyta [...] aż do ostatnich słów: – Artyści wciąż jeszcze brykają. Zapraszamy do pobrykania. Będą grać i śpiewać. Dobrze. Jadę do nich. Postanowiłem.

Na moim słowie „postanowiłem” kończy, [...] ale inne słowo tekstu jest dla gospodarzy ważniejsze. Słowo „pobrykać”. Mówią, że im się bardzo podoba, i ja czuję, że tak rzeczywiście jest. Pobrykać, pobrykać! A najbardziej podoba się i trafia w sedno jeszcze inny zapis jadącego na festiwal blogera: „To jest festiwal artystyczny. Tam panuje wolność”.

Aha, więc to taka sprawa. Wolność stała się znowu przedmiotem pożądania, który trzeba jakoś nadzwyczajnie pielęgnować, cenić, nad którym się czuwa z troską? Bo co? Bo może go zabraknąć? W teatrze? A dopiero co wolność była wręcz nudna, zdawało się, że jest jej za dużo i nie wiadomo, co z nią dalej robić. Nagle taka zmiana. Był przesyć, a już jest łaknienie. Przecież uważaliśmy, że uczucie głodu wolności, owszem, znane, odeszło w przeszłość, bo jego przyczyny zostały usunięte, i gdzie jak gdzie, ale w Europie nie będzie nawrotu do tej kwestii z braku podstaw. [...] Trochę nawet od rzeczy zdawało się

napomykanie o tym, że kiedyś można by jeszcze odmówić ludziom wolności. Jeśli ktoś tu i ówdzie przed czymś takim ostrzegał, to chyba tylko pod wpływem zastarzałych urazów [...] i anachronicznego nawyku, tak to było sprzeczne z tendencją rozwojową współczesnej cywilizacji. Wszystko zmierzało przecież w inną stronę. Wolność wyglądała na oczywistość i niejako działa się sama przez się.

***Rzeczywistość jest kartą dań.
Uważamy świat za niezmiernie wielkie menu, z którego chcemy wybierać wedle życzenia.
Nasz wybór z teraźniejszości musi być niestety ograniczony.
Świat nie ma wszystkiego pod dostatkiem dla wszystkich.***

Nim spostrzegliśmy się, jakaś dziwna meta zamajaczyła na horyzoncie, u kresu niezawodnej niby tendencji rozwojowej. Jakaś przyszłość odwrotna, ze stopniowo redukowaną wolnością. Taką przyszłość świata mam opisać, siedząc na scenie z doktorem Mizera?

– Zastanówmy się najpierw, czy świat ma przeszłość – powiedziałem.

9.12.2016 | CZAS

Świat, oczywiście, ma przeszłość, bo nie wątpimy, że istniał przed nami, ale pytanie, czy ją ma, dotyczy w istocie tego, czy my z niej coś mamy. Otóż mamy to, co każdy sobie wybierze. Tak nauczyliśmy się odnosić teraz do rzeczywistości. Rzeczywistość jest kartą dań. Uważamy świat za niezmiernie wielkie menu, z którego chcemy wybierać wedle życzenia.

Nasz wybór z teraźniejszości musi być niestety ograniczony. Świat nie ma wszystkiego pod dostatkiem dla wszystkich. Wpadamy we wściekłość, gdy nie ma dla nas, a ma dla kogoś. [...] Wszyscy bowiem jesteśmy równi wobec karty dań. Tak myślimy. Zamawianie specjałów ze świata *à la carte* to nasze święte prawo.

Teraźniejszość nie liczy się jednak z naszymi zamówieniami i nieustannie czegoś nam odmawia.

Co innego przeszłość. Z przeszłości możemy swobodnie wybierać frykasy, jakie chcemy, przyrządzone jak lubimy. Nie interesuje nas, broń Boże, cała karta dań, tylko to, co smaczne.

Dobrze, ale co znaczy „my”? Jacy „my”? Wszyscy ludzie świata? Nie. My, elita globu, tak, tak, źle widziana przez świat elita, my, którzy w ogóle siedzimy przy stole i z perspektywy stołu przeżywamy egzystencję w świecie, a wśród nas piszący te słowa i ty, czytelniku. Krótko mówiąc, my to dzisiejsza rozwinęta cywilizacja łącznie z takimi „nami”, którzy usługujemy przy stole. Usługujący „my” [...] też jesteśmy, rzecz jasna, wkurzeni na elitę. Ale do uprzywilejowanych świata absolutnie należymy, choć

nie przychodzi nam to do głowy. Cóż tacy „my”, neurotyczna elita globu, stołowa i wokółstołowa, wybieramy z przeszłości, z której wybierać możemy bez ograniczeń? Bardzo niewiele. Jakieś małeńkie okruszki z ogromu. Prawdę mówiąc, przeszłość jest nam obojętna, bezużyteczna i do wyrzucenia, jak wczorajsze dania. [...] W końcu jednak wybieramy z nieciekawego menu przeszłości pewne atrakcje. Jakie?

Przede wszystkim śmieszne. Chcemy się zabawić. Sporadyczne okazy wydobyte z przeszłości zaskakują rozbijając niedorzecznością wśród realiów naszego świata. Z nieprzystosowania czegoś do czegoś powstaje wszelki komizm. Lubimy się śmiać z anachronizmów. Dostarcza ich zawsze [...] przeszłość, [...] jeśli znalazła się w jakimś teraz.

Grozi to wielkim niebezpieczeństwem tak zwanej polityce historycznej wbrew celom polityków, którzy ją wymyślili, żeby ich moralnie wspierała, nie żeby „nas” śmieszyła. Ulicami polskich miast maszerują raz po raz barwne, strojne i najczęściej zbrojne grupy rekonstrukcyjne. A ja odnoszę wrażenie, że idą jak po linie między patosem i śmiesznością. Z [...] przejęciem oglądają to dzieci. Jednak „my” też. Nie wiem, jak ty, czytelniku, ale na przykład ja daję się chwilami porywać patosowi takich rekonstrukcji. Czuję rozrzewnienie podobne do tego, którego doznawałem pod wpływem starych piosenek na spektaklu *Wodewil warszawski*, granym przez Pijaną Sypialnię. I czuję, patrząc w patriotycznym uniesieniu na parady rekonstruktorów, że wszyscy obok tak patrzą, upojeni nagle przeszłością, i że teraz tak właśnie jest, ale jeszcze moment, a wszyscy „my” wybuchniemy dzikim śmiechem, i to będzie straszny śmiech. I będzie koniec polityki historycznej.

Mówię „będzie”. Co się stało? Przeszłość niepostrzeżenie przeskoczyła w przyszłość. Nie ma przeszłości, nawet tej najbliższej, mojej w Teatrze Witkacego. Razem z doktorem Mizerał zeszlismy już dawno ze sceny i wyjechali z Zakopanego. Jest, jak zwykle, terażniejszość. [...]

6.02.2017 | PIEKŁO

Można o przyszłości świata zacząć od drugiego końca, od ludzi, nie drzew. Obrac ludzki punkt widzenia i liczyć przyszłość jak wszyscy, od najbliższego jutra. I z miejsca chwycić byka za rogi, a to znaczy zacząć z całą determinacją od piekła, ma się rozumieć, piekła polityki. Bo jeśli coś dotyczy wszystkich i z wyprzedzeniem stanowi o względnie bliskiej przyszłości wszystkich, to chyba piekielna polityka, nie nasze zamówienia z karty dań, jaką wydaje się terażniejszość, zwłaszcza gdy siedzimy przy stole i myślimy, że zawsze będziemy tak siedzieć.

Nachodzą nas czasem przelotne myśli o przyszłości, zazwyczaj koszarne. Ciekawa rzecz: z przeszłości też wybieramy chętnie horrory, ale nie tylko, bo także to, co śmieszne. [...] Przyszłość [...] nie zawiera nic śmiesznego. W ogóle śmiesznej przyszłości nie można sobie wyobrazić. Niepodobną do naszej rzeczywistości, dziwną – tak, oczywiście, ale nigdy śmieszną. Przeszłość też jest dziwna,

niepodobna do naszej terażniejszości, a tu i ówdzie zasnutą mglistymi majakami horrorów, już byłych, więc niegroźnych. W odróżnieniu od nich przyszłość wydaje się straszna przez sam fakt, że jest przyszłością, jak straszna jest śmierć, ponieważ jest śmiercią. I tyle. Ani śmierć, ani przyszłość nie zachęcają do żartów.

Przeszłości się nie boimy, przyszłości prawie zawsze. Sama myśl o banii się przeszłości od razu nas rozśmiesza, jakkolwiek ta przeszłość byłaby okropna. Ale przecież była, już jej nie ma, a banie się tego, czego nie ma, zakrawa na niedorzeczność. Raz jeszcze się śmiejemy w związku z przeszłością, naszym jakże bogatym źródłem emocji rozrywkowych.

Ale wracając do przyszłości i strachu, bez którego przyszłość nie da się opisać, a takie mam zadanie, coś się okazuje: strach, gdy wypada mu skonkretyzować przyszłe niebezpieczeństwa, sięga do przeszłości. Coś z niej wydobywa, przerzuca w czas przyszły i zaczynamy się bać. Pokażmy to sobie na bliskim nam przykładzie. Miało być o przyszłości w rozumieniu „wszystkich” i liczonej od jutra. Dobrze. Czego, poza nieszczęciami osobistymi, takimi jak [...] śmierć, utrata [...] pieniędzy i ewentualnie zdrowia, boją się Polacy, siedzący przy światowym stole lub obok w kuchni? Czyli „my”. Czego boimy się my-Polacy, jak lubimy o sobie mówić.

My-Polacy boimy się Niemców. Ktoś zauważy: nie, my-Polacy boimy się raczej Rosjan, Związku Radzieckiego, którego nie ma, i Putina, który jest. Albo jeszcze inaczej powie: my-Polacy boimy się uchodźców. Oczywiście. [...] Na początek jednak przyjąłbym, że naszym-polskim strachem podstawowym [...] (podprogowym) jest od kilku pokoleń strach przed Niemcami. Takimi Niemcami, jakich widzieliśmy na zdjęciach i w kinie, bo w „realu” już mało kto widział. [...]

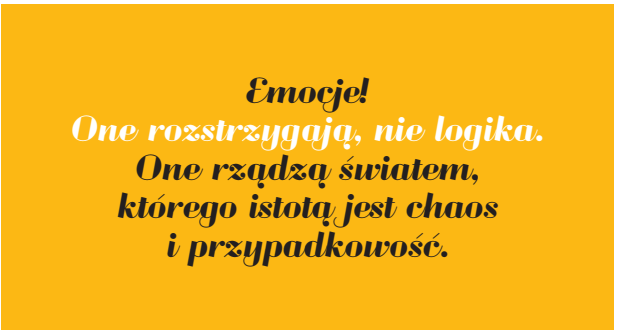
Czy tacy Niemcy i taki Hitler mogą pojawić się w przyszłości, kopnąć swoim ciężkim butem światowy stół, dać [...] temu światowemu, rozhuśtanemu burdelowi potężnego łupnia, a przy okazji nam-Polakom w dupę, i w końcu zrobić na świecie „porządek”, ten jakiś niemiecki, skoro sami zrobić własnego nijak nie potrafimy?

Do niedawna myślałem, że taki – jak to powiedzieć? – *come back* Hitlera (Niemca bądź nie-Niemca) w dwudziestym pierwszym wieku jest absolutnym nonsensem, który nie może się spełnić w Niemczech, nie mówiąc o powodzeniu w reszcie świata. Czy na pewno? Bo czy nie uzna się jutro, że na przykład Kopernik nie miał racji, Ziemia wcale nie obraca się wokół Słońca, tylko Słońce wokół Ziemi, przecież ludzie widzą i nie dadzą się dłużej okłamywać. *De contrrrevolutionibus orbium politicorum/O kontrobrotach ciał politycznych* – takie dzieło epokowe jest do napisania, taki kopernikański kontrprzewrót polityczny zachodzi, taka polityka pachnąca rzeczywistością piekłem.

Chodzi o prawdziwe piekło, a tam na horyzoncie widzę już miejsce dla Hitlera. Tam, jak to w piekle, będzie płacz i zgryzanie zębów.

17.02.2017 | AMOK

Niemcy nie wybiorą nowego Hitlera, bo nie mają powodu. Nie mają go dziś i nie zaczną mieć od najbliższego jutra, które nas interesuje. Jeśli potrzeba zmiany, szerząca się w Europie i w europejskiej pochodnej na innych kontynentach, czyli na umownym Zachodzie, ogarnie także Niemcy, może być zaspokojona w inny sposób, bez ryzyka nieobliczalnych skutków.



I zapewne w Niemczech tak będzie. Społeczeństwa [...] z rozwiniętymi instytucjami demokratycznymi muszą popaść w pewien szczególny amok, żeby przywództwo nad nimi mógł nagle objąć bezczelny schlebiacz, szarlatan lub czujący się demiurgiem obsesjonat z wizją. [...]

Jest większe prawdopodobieństwo, że człowiek pozostanie przytomny, niż ewentualność, że oszaleje. Niemcy więc z tęsknoty za zmianą nie wypromują nowego Hitlera.

Ale tak to wygląda z racjonalnego punktu widzenia, w który staram się niezachwianie wierzyć w epoce amoków. Logika istnieje, coś z czegoś wynika, jest przyczyna, jest skutek, i tak dalej. Tymczasem naokoło krzyczą, że nie. Emocje! One rozstrzygają, nie logika. One rządzą światem, którego istotą jest chaos i przypadkowość. Emocje ukształtują przyszłość tego kotłowiska, czyli świata, proszę autora. A ty nam tu opowiedz, autorze, jaka ona będzie, hę? Będzie wolność czy nie będzie?

Pytają o to aktorzy od Witkacego w Zakopanem, ale i tyśiące demonstrantów, którzy w miastach polskich, jak się mówi, wychodzą na ulice. Nie tylko zresztą w polskich, bo także na przykład w Nowym Jorku. I w Berlinie. Nie wiadomo, kiedy i gdzie popadną w jaki amok.

2.04.2017 | ARKA

Kiedy potop? Za pięć lat czy za pięćdziesiąt? Wtedy, kiedy uchodźców nie będzie ileś tam tysięcy ani nawet kilka milionów, lecz miliard. I kiedy przestaną się nazywać „uchodźcy” czy „imigranci”, bo sami już nadadzą sobie nową nazwę, a „my” wiele w tej sprawie nie będziemy mieli do powiedzenia. Ale to wszystko jeszcze się zobaczy.

Na razie nie łamiemy sobie głowy potopem demograficznym, bo porobiliśmy sztuczne tamy, które chwilowo nam wystarczą. Raczej ci ludzie usiłujący się do nas przedostać z Afryki i Bliskiego Wschodu sami toną w morzu, niż zalewają nas prawdziwie groźnym ludzkim potopem. Jeśli są żywi, to

odgradzeni od nas tamami. Siedzą stłoczeni w kotłach, bądź to jeszcze rodzimych, bądź to już uchodźczych, naszej roboty. Narasta w nich desperacja, wściekłość i nienawiść.

My natomiast mamy w swojej szczęśliwszej części globu inny fundamentalny problem, zdaniem nie wszystkich nas wprawdzie, lecz wielu: jak mianowicie w nowych czasach, pod bokiem wzbierającego miliarda lub wkrótce miliardów podzielić się między sobą na dumne i suwerenne narody. A w istocie może na dumne i suwerenne rządy poszczególnych autokratów. To nie jest prognostyk. To jest fakt. W nim żyjemy.

Teraz prognostyk. Wszystko wskazuje, że w najbliższej i średnio bliskiej przyszłości Ziemia będzie się przeludniać. Ale nierównomiernie. Przyrost ludności w zamożnych rejonach świata pozostanie mały lub żaden, niekiedy ujemny, w ubogich zawrotny. Ktoś z mojej publiczności internetowej przytoczył mi fragment wywiadu, jakiego amerykański ekonomista Jeffrey Sachs udzielił Sławomirowi Sierakowskiemu. Przedstawia się tam następujący szacunek: „Podstawowa prognoza dla ludności Afryki zakłada czterokrotny wzrost do końca tego stulecia, a więc 4 mld ludzi”. Od siebie dodam, że te afrykańskie cztery miliardy na koniec wieku to więcej niż połowa obecnej ludności świata. „W Europie – mówi Jeffrey Sachs – będzie wówczas około 400 mln Europejczyków”. To znaczy, że licząc wszystkich łącznie z najliczniejszymi Rosjanami, na jednego „naszego” przypadnie dziesięciu Afrykańczyków, pretendujących zawzięcie do życia. A gdzie niezgorsi też pod względem dzietności Azjaci?

Jedni i drudzy będą, oczywiście, toczyli wojny. Nie azjatyko-afrykańskie i nie światowe z nami, za trudne i za kosztowne, lecz przede wszystkim najrozmaitsze lokalne. Wielu w nich zginie. Nas, rajski i znienawidzony „świat białego człowieka” albo „pierwszy świat”, jak do niedawna mówiliśmy o sobie, będą atakować od przypadku do przypadku wypadami fanatycznych formacji w rodzaju Al-Kaidy czy Państwa Islamskiego, co i teraz robią. Wyślemy przeciw nim być może jeszcze kilka razy ekspedycje zbrojne. Pokonamy te efemeryczne formacje lub nie, jednak po każdej takiej interwencji nasze położenie i widoki na przyszłość okażą się tylko gorsze.

Na pewno nie ustaną zamachy terrorystyczne w wykonaniu grupek albo pojedynczych ludzi. Furiaci, żądni wymierzania sprawiedliwości mordowaniem kogo się da, znajdują się zawsze wśród niepodjęrzewanych o nic takiego „normalnych” Europejczyków, miłych i mówiących sąsiadom „dzień dobry”. To też znamy z doświadczenia. Ale zaciekle organizacje bojowe i prądy ideologiczne, niekoniecznie o podłożu religijnym, dziś głównie islamskim, będą powstawać wciąż od nowa jako produkt uboczny dramatu antropologicznego, nędzy, przeludnienia i samozniszczenia kontynentów.

Dotychczas celem agresji, terroru i okrucieństwa fanatyków, o których mowa, były przede wszystkim ich własne terytoria, „my” tylko marginalnie, w odwecie za jakieś nasze przestępstwa, bombardowania lub świętokradstwa. Masowo natomiast ofiarą wojen i zamachów pada ludność tamtych krajów. Przerażona ucieka i to takich uchodźców wyławiamy z morza u brzegu Włoch czy Grecji, widzimy za drutami obozów i bardzo się boimy,

notorycznie myląc ofiary terroru z terrorystami, od których właśnie udało się im uciec.

Tak więc jest i prawdopodobnie tak przez pewien czas jeszcze będzie. Ale niezbyt długo, bo ogólnie świat przyspiesza, zmiana goni zmianę, a przed końcem stulecia z czterema miliardami Afrykańczyków zajdą nie raz jeszcze niespodzianki polityczne, naukowe, techniczne lub klimatyczne, o których nam się nie śni. Będzie inaczej, niż potrafimy rozumnie albo panicznie wywnioskować z tego, co jest.

Wojujący islam wydaje się dziś najbardziej prawdopodobną siłą realną i najskuteczniej przemawiającą inspiracją do względnej większości Ziemian na planecie. Rozwścieczony islam, obawiamy się, byłby zdolny przełamać nasze tamy i wyrównać poziomy. Obawiamy się, bo w głębi naszych jaźni jesteśmy świadomi, że tamy pod coraz większym ciśnieniem muszą kiedyś pęknąć, a pokrywy znad kotłów wylecieć w powietrze. Wolimy tylko o tym nie mówić.

Otóż wcale nie byłbym pewny, że islam utrzyma się w obecnej formie do końca wieku. Nie wiadomo, co w wirze zmian historycznych, w tym nieustannym *crescendo* zdumiewających obrotów rzeczy stanie się w ogóle z religiami. Może się utrwalać i nabiorą znaczenia, jak w średniowieczu, może wprost odwrotnie. Umieć sobie wyobrazić jakąś nową religię świecką, na przykład rozpowszechnioną przez przyszły Internet wersję czegoś na podobieństwo marksizmu. Takich porównań muszę używać z braku terminów nazywających fenomeny, których jeszcze nie ma. Ale właśnie coś, czego jeszcze nie ma, może zastąpić islam i rozszerzyć się błyskawicznie jak pożar, gdy mieszkańcy upośledzonych kontynentów rozczarują się do islamu, bo za wiele już udręk im zada. Linie konfrontacji między „nami” i „nimi” mogą się wtedy zmienić i ułożyć bardzo dziwnie. Tamy jakoś tam puszczą, ale jak? Wylew jest nieunikniony, ale czy to musi być potop? A jeśli tak, czy jest dla nas jakaś arka? Jakiś Noe? [...]

– Ja jestem Noe – zawoła ktoś taki. – Mam dla was arkę, dumny i suwerenny narodzię. Kocham was. Wszystko przewidziałem i zrobiłem co trzeba. Odciałem się razem z wami od świata. Ja, wasz Noe, wasz książę udzielnny i król, odciałem od świata nasze dumne i suwerenne ksiąstewko. Zamknąłem je przed całą tą obcą hołotą dokoła. Na bramach naszych wywiesiłem napis „wstęp wzbroniony”. Jesteśmy bezpieczni, ale to bardzo, bardzo bezpieczni. Mamy w nosie potop.

5.04.2017 | CHIŃSZCZYNA

Socjalizm ma jeszcze inną szansę oprócz prawicowego populizmu: chińską. W tej wersji jest faktycznie kapitalizmem z władzą polityczną postmaoistów. Ale udaje, że spełnia rewolucyjny zamiar legendarnego Mao, kontynuując niby jego dzieło w interesie i z woli ludu. A powieka mu ani drgnie. Nie wiem, co ta władza w istocie mówi po chińsku ludowi, ale trzeba przyznać, że nie ma zachodnich kłopotów z demokracją, wyborami, mediami i tak dalej. Cierpliwy lud chiński pracuje, a Chiny się bogacą i to one już prawie, prawie rządzą światem.

Taki rodzaj socjalizmu (w rzeczywistości: bezlitosny kapitalizm plus dyktatura mianowalców) sprawdza się w praktyce. Natomiast populistyczny miraż socjalizmu prawicowego [...] realnej skuteczności nigdzie na razie nie okazał.

***Cierpliwy lud chiński
pracuje, a Chiny się bogacą
i to one już prawie
rządzą światem.***

Czy jednak oba typy są od siebie tak dalekie? Pominąwszy pustosłowie ideologiczne, różne u obu, widać doskonale podobieństwo tego, co istotne. Przykład: zarówno w projekcie polskim, jak i w realizacji chińskiej *sednem* rzeczy jest połączenie kapitalistycznej ekonomiki z reżimem autorytarnym oraz marchewki z kijem zamiast demokracji. Różnica między dwoma modelami polega na tym, że Chiny mają do dyspozycji dość marchewki, a PIS w Polsce niekoniecznie i że kij chiński jest zaiste nie w kij dmuchał, gdy kij PIS-owski w Polsce wydaje się wciąż problematyczny, za słaby nawet na czarne parasolki kobiet, nie mówiąc o tłuczku do mięsa.

Ale Polska Polską. Nie ona liczy się w kwestii przyszłości świata. Socjalizm na sposób chiński liczy się poważnie, jak wszystko, co roztacza wokół siebie czar sukcesu. A tu rzuca urok i kasa nielicha, i siła fizyczna. Co zaś najważniejsze, w krytycznej chwili, czyli – nie owijając w bawełnę – gdy Afryka zerwie tamy i być może z częścią Azji, ewentualnie też z udziałem jakichś Latynosów, chluśnie miliardami ludzi na resztę świata, wtedy socjalistyczny kolos chiński, zwłaszcza jeśli będzie już na dobre rządził światem, potrafi przyhamować potop. Użyje właściwych mu narzędzi, a więc przemocy i środków rażenia, bo walka potoczy się już na śmierć i życie. Lecz kolos chiński skorzysta dodatkowo ze swych wpływów psychologicznych. Nie jest mianowicie Zachodem. Nie jest winien zbrodni kolonializmu. Reprezentuje upośledzoną ludzkość i może sam się przedstawić jako rewindikator zadanych jej krzywd.

Siłowo-psychologiczna chińszczyzna wygląda mi na prawdopodobną przyszłość świata, co nie znaczy, że jedyną możliwą.

18.06.2017 | MUZYKA

Słyszę głos rechoczących w stawie żab. Dwutonowy. *Molto vivace*. Słyszę głos przejeżdżających opodał samochodów. Na sygnale. Może policja, może karetki sanitarne, może kolumna rządowa. Głos dwutonowy. *Molto vivace*. Oba głosy brzmią w tym samym rytmie. Idealnie zgrane. *Divertimento* na rechoczące żaby i sygnały dźwiękowe w ruchu drogowym. Nikt nie skomponował jeszcze takiego utworu? To skomponuje w przyszłości.

Jeśli będzie pokój, oczywiście. I jeśli będą żaby. Samochodów już raczej nie będzie, ale sygnały ostrzegawcze

i porządkowe dla jakiejś formy masowego ruchu ludzi nie przestaną być niezbędne, zatem przyszły utwór muzyczny będzie mógł powstać.

Nazwa tradycyjna: *divertimento*. Jednak *divertimento* – protest przeciw zabójczemu pędowi. Zarazem alarm sztuki zaangażowanej w obronie ostatnich żab świata. Taka myśl w tej muzyce. Ale *divertimento* koniecznie, bo posthumanistyczni ludzie muszą mieć rozrywkę.

Sztuka zbuntowana i bijąca na alarm przetrwa wszystkie czasy. Zabita, będzie w nowych mutacjach odrastać i żądać wolności, jak zawsze. Być może ci pędzący na sygnale to policja, która śpieszy poskromić artystów-muzyków. Jednak represja i cenzura tylko inspirują sztukę. Tak będzie.

***Sztuka zbuntowana i bijąca
na alarm przetrwa wszystkie
czasy. Zabita, będzie w nowych
mutacjach odrastać
i żądać wolności, jak zawsze.***

Tradycyjne instrumenty nie będą już od dawna używane. Ale z tęsknoty za mglistą przeszłością kompozytor dołączy może trzeci dwutonowy głos. Przez chwilę będzie się wahał nad wyborem starego instrumentu. Syntezator elektroniczny czy flet? W końcu wybierze harmonijkę ustną.

6.07.2017 | NAUKA

A więc dobrze. Nazwijmy gatunek przyszłych ludzi w tradycyjny sposób, po łacinie: *homo futurus*. Czy ten gatunek wyżyje, czy nie, o tym zdecyduje wyścig. Pierwsze będzie jedno z dwojga: albo nasze zachowanie na planecie, którego zapewne nic nie zmieni, doprowadzi nas do zagłady, albo szybsza okaże się nasza nauka i odkryje nieprzewidziane możliwości utrzymania się przy życiu ponad stan. Dzisiejszy stan, oczywiście.

Nauka, a właściwie myśl wynalazcza człowieka zawsze to robiła. Zawsze przekraczała dostępne w jej czasach możliwości i nie ma powodu sądzić, że przestanie. Dlatego z naszym światem nie musi być tylko źle, mówię wam ja, wieszczek-pocieszyciel.

Wydaje się, co prawda, że nie ma wyjścia. Jeśli sami siebie nie wymordujemy, to tak czy owak podusimy się w tłoku, zginiemy z braku wody, powietrza i źródeł energii koniecznej do zaspokojenia rosnących niebotycznie potrzeb, zwłaszcza do obsłużenia wygod, w których wszyscy chcemy żyć. Otóż nauka prawdopodobnie wynajdzie na to sposób. Obmyśli, jak nastarczyć wody pitnej, skoro są oceany, powietrza, skoro gazy otaczają planetę, i źródeł energii, skoro jest niewyczerpane słońce. Nauka powie może nawet, jak wytworzyć dość żywności, nie niszcząc żywych istot i biosfery, gdy dobrze nad tym popracuje. Ale czy zdąży na czas i czy my jej posłuchamy? Bo nie wystarczy, że ona to wszystko obmyśli.

Trzeba to będzie jeszcze zrobić. Strasznie trudna rzecz. A najtrudniejsza przekonać nas, że nam się to opłaci. Czyż nie można każdej takiej sprawy odłożyć na jutro? Niech się inni po nas martwią. My naszego zachowania na planecie nie zmienimy, jak zakładam ja, wieszczek-realista.

Prawdopodobniejsze jest, że zmieni zachowanie dopiero *homo futurus*, bo już będzie przyciśnięty doraźną koniecznością, gdy zajrzy mu groza w oczy. I to między nim a nauką rozstrzygnie się wyścig, nie między nami a nią. Może jednak ten *homo futurus* będzie od nas mądrzejszy. Sądząc ogólnie z historii, człowiek przez wieki mimo wszystko mądrzał. Szczególnie jego inwencja w dziedzinie zastosowania nowych technologii rosła, a w ostatnich czasach wyraźnie przyspieszyła, jakby czuła, co się święci.

Niestety, nie mamy wiadomości z historii Wszechświata, co się dzieje z inteligencjami, które w nim powstają, bo zakładam realistycznie, że nasza nie jest jedyna w miliardach galaktyk. Zapewne i wyścigi podobne do ziemskiego już się gdzieś kiedyś odbyły. Nie znamy wyników, a najpewniej były różne. Przydałyby się statystyki z doświadczenia historycznego inteligentnych populacji we Wszechświecie, żebyśmy się mogli dowiedzieć, na czym takie populacje kończą. Część ginie samobójczo z własnej ręki, jeśli można się tak wyrazić, część wymiera wskutek warunków uniemożliwiających życie. Jakaś najmądrzejsza część potrafi dzięki swojej nauce ocaleć. Ale co przeważa? Jaką najbardziej prawdopodobną szansę ma *homo futurus*? Bo nie będzie to już dawny *homo sapiens*, lecz *homo sapientior*, to znaczy mądrzejszy, przewidyuję nie bez podstaw ja, wieszczek-pocieszyciel.

***Jeśli sami siebie
nie wymordujemy,
to tak czy owak podusimy się
w tłoku, zginiemy z braku
wody, powietrza
i źródeł energii
koniecznej do zaspokojenia
rosnących niebotycznie
potrzeb, zwłaszcza
do obsłużenia wygod,
w których wszyscy
chcemy żyć.***

Beata Bronakowska

Druskienniki

rdzawe i szare otulały wyspę
nad rzeką była kiedyś plaża
smutek przywłókł się za nią choć
śmiali się dosłownie ze wszystkiego
trawniki płowiąły dzwony zapowiadały upał
sierpień zalegał na ażurowych domach
z powodu miesięcznej krwi tej miłości
było mniej niż się spodziewała
i choć języki ich stale w pobliżu
snuły swoje różne czułości
to finał raczej znany teraz
dowiedział się o nich
jasny pokój od strony ulicy
przed burzą kochali się jeszcze
błyskawice szemrały i łaskotały
klony zostały wierne jezioru

on milczał palił na balkonie
ona leżała w łóżku coś czytała
i jak tam kwiecista dziewczynko
i znowu trzeba było zmieniać zakończenie

sierpień 2017

Aldona Kopkiewicz

17.

nie ma co wstawać nieważne
czy zasłonięta zasłona

śpię albo nie śpię nie zostać
nad sobą pochylona

może mi brak może
nie brak dłoń oko włos odlatuje

i nawet stopy mam wolne
każda ma własny kierunek

dłonie przeciwnie znów razem
w środku się puste spotkały

pewnie czekają na słowo
lecz to gdzie indziej waży

Zygmunt Ficek

A może myśmy już byli

A może myśmy już na tę naszą
najwyższą górę weszli. To musiało
być, pamiętasz, wtedy kiedy ty nic nie
widziałaś, bo płakałaś, a ja
widziałem tylko ciebie
że płaczesz. Więc
tak wysoko jak tylko można myśmy
już chyba kiedyś byli. Raczej na pewno.
Bo mam wrażenie, że
teraz twoja delikatna nagość tak łatwo
nie wchłania wilgoci lęku
a dotyk twój i dotyk mój są zdarzeniami,
które z dawien dawna musiały być
na świecie, choć
najwyraźniej dopiero mają nastąpić. Ślad
po poranku jest doszczętnie ogołocony
z listowia, więc ten poranek na pewno
tu był, zanim my

Jerzy Kronhold

Wyblakłość

Hotel Bahnhof stoi w tym samym miejscu,
wciąż odbywają się wesela i stypy,
a w niedzielę po mszy odwiedzają go renciści,
(którym trudno zacerować dziurę w mantlu,
czy też wyprasować koszulę).
Zamawiają bladą, pachnącą sianem herbatę,
po wypiciu której lżej na duszy,
bo nie płaci się żadnych składek,
przynależąc do stronnictwa naftaliny.
W małym mieście, przez które przetoczyły się czołgi,
łatwiej znosić inwazję ślimaków,
widać jak na dłoni, kto z kim śni,
kto piecze ciasto drożdżowe, kto i ile razy chodzi do apteki,
każda śmierć jest szybko na języku,
każda ciąża na cenzurowanym.
Pustą kirkchę wynajął wiatr furiat,
ten co niegdyś czynił wielkie szkody befkom, a teraz
mamroce przedpotopowe przekleństwa
(*Donnerwetter, zum Teufel*).

Małgorzata Lebda

Zbliżenie: Wędrownka

moje siostry przynoszą z brzeziny niewielkie
rozsady brzóz sadzą je przed oknami domu

jeszcze nie mogą wiedzieć z jaką siłą przyjmie
je ziemia i że las upomni się o nie latami będzie
schodził na zachód w dół wsi zmieniając glebę
niosąc wilgoć

Dariusz Marcinek

Stare torowisko. Niemal słyszę przemijanie. Trawa żółknie
w równych kwaterach podkładów kolejowych. Spraw, Panie
Boże – chcę prosić, ale zaraz gubię wątek. Obserwuję lot
ptaka ponad wszelką wątpliwość.

Michał Sobol

Na wozie

Pamiętam jak pierwszy raz
stanąłem w progu domu
i zobaczyłem tę słynną Ziemię.
Było to w dniu, gdy padł
nasz siwy koń
i jego zwłoki leżały na wozie.

Urszula Zajączkowska

Zderzenia Czołowe

Przynajmniej w środku jest też i powietrze
które wtedy,
jak przy klaskaniu dłońmi
spod nich ucieka.

Karina Stempel

Góra wznosi się na północy

należy opisać to inaczej:
gdzie kończy się linia drogi, zaczyna
druga wieś. ludzie nie są tam tacy
sami jak my, nie. dla nich góra wznosi się

na północy, dla nas na południu.
to zmienia perspektywę.
po drugiej stronie horyzontu
nie jesteśmy już sobą. odwracamy głowy

i myślimy: czy tu jest inne niebo?
tak, tu jest inne niebo.
wystarczy tylko przejść górę,
żeby się przekonać.

odkrywanie innego
być może (może)
wygląda właśnie tak.

wybór: Jadwiga Malina i Miłosz Biedrzycki

Beata Bronakowska | Laureatka Konkursu Poetyckiego im. Anny Świrskiej w kategorii Książkowy Debiut Poetycki (2017) za tom *Proś o kolor*.

Aldona Kopkiewicz | Ur. 1984. Poetka. Laureatka Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej SILESIIUS w kategorii Debiut Roku (2016) za *Sierpień*.
Doktorantka na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zygmunt Ficek | Laureat I Nagrody Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. R.M. Rilkego (2017).

Jerzy Kronhold | ur. 1946. Poeta, działacz kultury, dyplomata. Laureat Nagrody Literackiej m.st. Warszawy (2017).

Małgorzata Lebda | ur. 1985. Doktor nauk humanistycznych, poetka, zajmuje się także fotografią. Laureatka m.in. Nagrody Poetyckiej im. Konstantego Ildefonsa
Gałczyńskiego ORFEUSZ (2017) oraz Poznańskiej Nagrody Literackiej – Stypendium im. Stanisława Barańczaka (2017) za tom *Matecznik*.

Dariusz Marcinek | Związany z Tarnowem. Laureat Małopolskiej Nagrody Poetyckiej „Źródło” (2017).

Michał Sobol | ur. 1970. Poeta. Laureat Nagrody Fundacji im. Zbigniewa Herberta (2016) oraz Nagrody Literackiej Gdynia w kategorii Poezja (2017).

Urszula Zajączkowska | ur. 1978. Poetka, botanik, doktor habilitowana. Laureatka Nagrody Fundacji im. Kościelskich (2017).

Karina Stempel | Doktorantka w Instytucie Slawistyki PAN. Laureatka Ogólnopolskiego Konkursu „Duży Format” (2016) za książkę poetycką *Noc w Nome*.

Jadwiga Malina | ur. 1974. Poetka. Laureatka Krakowskiej Książki Miesiąca (wrzesień 2013).

Za tom *Tu* nominowana do Nagrody Poetyckiej im. K. I. Gałczyńskiego ORFEUSZ (2016).

Miłosz Biedrzycki | ur. 1967. Poeta, tłumacz. Autor tzw. *pokolenia brulionu*, nominowany m.in. do Literackiej Nagrody Gdynia (2008),
Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego ORFEUSZ (2014), Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej SILESIIUS (2014).

z Ernestem Bryllem
rozmawia Michał Zabłocki

Przed *wierszem* stajesz jak niemowlę

Ernest Bryll | ur. 1935. Poeta, prozaik, autor tekstów piosenek,
krytyk filmowy i dyplomata. W latach 1991-1995 ambasador RP w Irlandii.

Michał Zabłocki: Czy poeci są dzisiaj komuś potrzebni, a jeśli tak, to komu?

Ernest Bryll: Co ja ci mogę na ten temat powiedzieć? Można by było zadać pytanie, czy my w ogóle jesteśmy sobie potrzebni.

M.Z.: Sobie nawzajem?

E.B.: Też, ale najpierw bardziej o sobie. Trzeba odpowiedzieć, patrząc w lustro: czy jestem sobie potrzebny?

M.Z.: Sam sobie? Jako człowiek?

E.B.: Nie tylko. Właśnie jako poeta.

M.Z.: I co? Jesteś sobie potrzebny jako poeta?

E.B.: I tak, i nie.

M.Z.: Wymigałeś się. A jak to się dzieje, że wiersze zostają ludziom w głowach i że są tacy, którzy tymi wierszami nawet żyją.

E.B.: Wiersze mają pewną łatwość zostawiania, bo mają haczyki, które się zaczepiają o nasze myślenie, o nasze relacje ze światem i nagle coś nam się odzywa. To jest tak jak z wędkarzami. Są różne haczyki na różne ryby. Rzecz tylko polega na tym, że pewnych ryb jest coraz mniej. Poza tym strasznie jest mętne woda. Albo lepiej – mętne zarybienie, które nie wiadomo, czy w ogóle jest zarybieniem.

M.Z.: To jak łowić?

E.B.: Czy ja wiem? Ja stosuję takie haczyki dość mocno zaczepiające. Silne. Staram się w każdym razie. Ale może nie mam racji. Może nie trzeba się starać. Może trzeba udawać,

że tych haczyków w ogóle nie ma. Wtedy się ktoś inny złapie. Może bardziej wartościowy? Nie wiem.

M.Z.: Czyli nie na błysk, tylko na muszkę, która uchodzi za żywą?

E.B.: No może. W każdym razie na jakieś oszustwo. Bo poezja jest w jakiś sposób na granicy oszustwa.

M.Z.: A czy warto ten haczyk umieszczać poza wierszem, w jakiejś piosence na przykład, w muzyce, w jakiejś recytacji aktorskiej, w pięknej oprawie, żeby się może niekiedy nawet odbiorca nie mógł zorientować, że ma do czynienia z wierszem?

E.B.: A po co się ma orientować? Poezja nie ma formy. Nam się wydaje, że poezja jest formą, bo tak czasami w podręcznikach poetyki piszą: tu jest sonet, tu jest triolet, tu coś jeszcze innego. Ale tak naprawdę poezja istnieje tam, gdzie właściwie nie powinno jej być. I na takiej samej zasadzie istnieje na przykład w piosence. Nagle się okazuje, że tekst piosenki staje się najważniejszym wierszem dla całych ogromnych grup ludzi, hymnem narodowym. Pomińmy może nawet nasz hymn. Ale na przykład Australia ma *Waltzing Matilda*. Piosenkę, która kompletnie się do tego nie nadaje. No a jest.

M.Z.: To co w zasadzie jest poezją?

E.B.: Ja bym powiedział, że poezją staje się coś, co ludziom tak mocno przypasowuje, że nie mogą się od tego już oderwać.

M.Z.: A co ze znawcami? Czy to nie oni ferują wyroki?

E.B.: A odpowiedzmy sobie na pytanie: dlaczego ludzie, którzy lubią poezję, mają się tak strasznie przejmować opiniami znawców? Oni niby wiedzą, jak poezja ma wyglądać, ale czego

się nie tkną, to im się rozsypuje w rękach. To tak jak z degustacją i teorią smaku. Są książki kucharskie, które niby wszystko opisują, ale albo ci danie smakuje, albo ci puchnie w gębie.

M.Z.: A co będzie z poezją w XXII wieku?

E.B.: Dawni poeci irlandzcy wierzyli, że wiersz się staje dopiero wtedy, kiedy się go komuś czyta. A na papierze jest martwy. Ja dobrze czytam swoje wiersze i na przykład ostatnio nagrywam sporo mojego czytania. Wiersz się staje dopiero w relacji. I ta relacja czytania komuś na głos chyba jest najmocniejsza. Mocniejsza niż książka. Ale z czegoś trzeba czytać. Ja na szczęście jestem wierzący i wierzę, że Pan Bóg słucha wszystkich wierszy, co więcej, że słucha w językach poszczególnych narodów. Żadnych tłumaczeń.

...tak naprawdę poezja istnieje tam, gdzie właściwie nie powinno jej być.

M.Z.: Ale czy to znaczy, że piszesz dla Boga?

E.B.: Ja piszę „dla”. Po prostu. To znaczy wysyłam. Bo wiem, że ktoś czeka. A może tam i Pan Bóg na to moje pisanie czeka? Nie wiem. Nie chcę być taki na chama, pełny pychy. Ale tu może bardziej chodzi o to, że jeśli nawet ktoś bardzo malutki się z tym wierszem zetknie, to może mu to wiele dać. A kto to będzie? To ja już nie wiem. Wysyłam. A ten, kto odbiera, nadaje dalej, jeśli mu się spodoba. I tak to się rozchodzi.

M.Z.: Wydałeś do tej pory czterdzieści trzy książki. Które z nich spowodowały, że jesteś rozpoznawalny?

E.B.: Nie wiem. Ja w ogóle nie wiem, czy jestem poetą. Czy jestem dobrym poetą – tym bardziej nie wiem. Ale rzeczywiście jestem rozpoznawalny. Ale dlaczego? Co zadecydowało? Może jakieś piosenki? Może ta czy inna książka? Trudno mi powiedzieć. To jest bardzo dziwnie urządzone. Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli chcesz, żeby coś zostało zapamiętane, to nie będzie. A zapamiętają zupełnie coś innego. Taka złośliwość losu. Ja się w sumie cieszę, że los jest w ten sposób złośliwy i przekorny. Bo chociaż ludzie zapamiętują inne wiersze niż te, które ja chcę, żeby zapamiętali, to jednak coś zapamiętują. I to coś musi być chyba lepsze. W każdym razie dla nich.

M.Z.: No dobrze, a co planowałeś, a się nie ziściło? Bo co się ziściło, to wiemy. Wypełniasz sale na czterysta miejsc.

E.B.: Ja nigdy nie starałem się być poetą popularnym. Ani w ogóle nie starałem się być poetą. Popatrz na mój życiorys. Wyrzucano mnie wielokrotnie z pracy, ale zawsze starałem się pracować zawodowo i tam się spełniać. Pracowałem w filmie, w telewizji i tak dalej. A poezja to było coś, co mnie dopadało. Siedzisz sobie spokojnie, a tu nagle coś ci skacze

na plecy. Czy to jest normalne? Nie jest to normalne. To jest taka choroba i koniec. Inaczej tego nie mogę traktować.

M.Z.: Byłeś pierwszym polskim poetą, który zdecydował się na publikowanie wierszy w Internecie. Zrobiłem taki przegląd w dwutysięcznym roku i już wtedy Twoja strona była bardzo poczytna. Ale ostatni wpis jest z dwa tysiące dwunastego. Masz już dosyć sieci? Coś się zmieniło?

E.B.: Za dużo się wrzuca wszystkiego. Jest taka łatwość, że ludzie piszą, co im ślina na język przyniesie. Więc już wierszy chyba nie warto publikować. No chyba, że na portalach ściśle do tego przeznaczonych i dobrze prowadzonych.

M.Z.: Mieszkasz przy ulicy Obserwatorów. Czy jesteś obserwatorem? Z czego czerpiesz?

E.B.: To jest stara nazwa i chodzi o obserwatora-lotnika. Obserwator siedział za pilotem i rzucał bomby. Więc uwaga! Ja nie obserwuję. Ja żyję. Ludzie, jak wiedzą, że są obserwowani, to nas unikają. I dlatego poetów się omija, bo oni obserwują i co rusz to jakąś bombę mogą rzucić. Ja ludzi nie obserwuję. Ja jestem z nimi. Pracuję z nimi. A że piszę, to jest moja prywatna sprawa.

M.Z.: A czy piszesz codziennie?

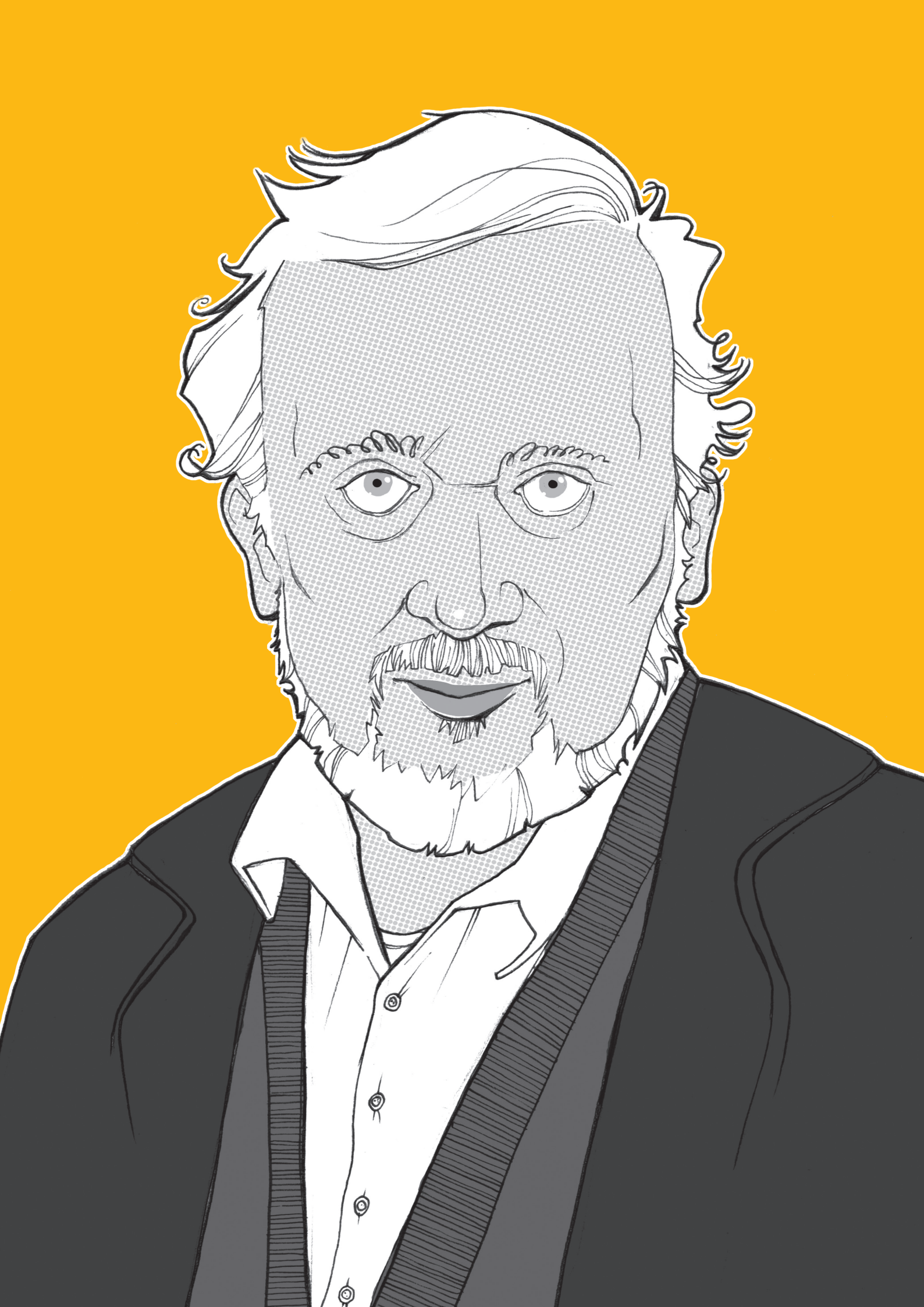
E.B.: Nie, ja w ogóle staram się nie pisać. Staram się robić wszystko, żeby nie pisać. Ale jak mi coś skacze na plecy, to co mam poradzić? Piszę i zostawiam. Po pewnym czasie wracam i mocno odświeżam. Wynika to z tego, że myśli już nie trzymają się tak twardo, jak kiedy byłem młodszy. Trochę zmęczenie starością. I trzeba wycinać, skreślać, wyrzucać, skracać. A poza tym nie dążę ostatnio nawet do druku. Jak ktoś pyta i dręczy, tak jak ty, to mu dam. Ale żebym zabiegał, to nie. Bo ja mam na starość taką ideę, że jeśli coś ma przetrwać i jest naprawdę wiele warte, to się przebiję, żeby nie wiem jak głęboko było skrywane. Tak jak niektóre liryki Mickiewicza. Nie chciałem nawet, żeby były drukowane, a są dla nas teraz bardzo ważne.

...poezja to było coś, co mnie dopadało. Siedzisz sobie spokojnie, a tu nagle coś ci skacze na plecy. Czy to jest normalne?

M.Z.: No tak, ale na taką strategię może sobie pozwolić tylko klasyk, któremu wyrwyją spod pióra wiersze.

E.B.: Nie ma w poezji klasyków. Możesz być tylko stary. Jak jesteś stary, to dużo o tobie piszą. Ale przed wierszem stajesz znowu w tej koszulinie, goły jak niemowlę.

Michał Zabłocki | Ur. 1964. Poeta, autor tekstów piosenek.
Prezes krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.
Ostatnio wydał *Janowską* (2017).



Ernest Bryll

wiersze

Niemowlęta

Obca im nasza strona wciąż słyszą zaginione
Światy skąd uciekły. Tak się zdarza
Ich twarze do twarzy
Naszych – Podobne nagle
Jak zwierciadło odbite w zwierciadle

Lecz one z każdą rzeczą mówią jej narzeczem
Z każdym zwierzęciem jego pojęciem
My – choć podobni do nich – mowy zaginionej
Nie pamiętamy

Ale są z nami

Się je ukołysz, uciszy
I nigdy już nie usłysz
Mowy, za którą potem płaczą wielkim płaczem

Świat nowy zobaczą
Wykrztuszą kłamliwe słowa
Bo pradowne, niestrawne na ich słaby brzusek

A jakoś żyć muszą

Dusza z ciała wyleciała. Zostało...

Dusza z ciała wyleciała. Zostało
Trochę pierza po tych skrzydłach nagłych
Co wymknęły się
I nie ma żadnych
Znaków, stygmatów. Tylko pochyły
Grzbiet kręgosłupa. Tak było

>>

A przecież szumnie wyfrunęła w przestrzeń
Z tego co obecne jeszcze przez chwileczkę
Zanim oderwie się, szeleszcząc, wieczne
Od dnia jak co dzień
W czas przestawienia
Oddechu na pieśni milczenia

A tych parę piórek? Zmienia się w kamienie
Bez dokończenia, bez wagi

Gdyby te piórka więcej odwagi
Miały niż w to wierzą
Mogłyby dogonić
Duszę

Cóż, szczerze
Tylko tęsknię do niej

A nad ranem...

Serca nasze nad ranem
Powracają zakłopotane
A dokąd? Do siebie
Pod ciasną klatkę żeber

Tutaj czas ponury. Kraina zmniejszenia
Miejsca nie ma. Na śmietnik poszły
Skrzydła, co tak niosły

Jedna serduszko-ptaszyna
Upała się piórka zatrzymać
I została tam gdzie fruwała
Dobijając się do nieznanego
Okna

>>

>>
A co widziała?
Nie pojmuje. Na oba skrzydła
Kulawo leci. Się wikła

***Odciać się
jak nożykiem...***

Odciać się jak nożykiem
Od starej skóry. Niech sobie uleci
Jak latawiec
Ucieszy dzieci
Taka gęba niezwykła

Więc po sprawie
Ale nie. We śnie
Dzieciom się objawi aż do łez
Skóra zmięta spod chmur odepchnięta

Tak to jest

Oberwało się niebo...

Oberwało się niebo, spadły potopy
Ale nas wyniosło poza to
Płyniemy sobie łódeczką jak kropla
Wciśnięta między zło a zło

Pod niebem zła mniejszego da się i dychać
Nie spada hucznie na łeb całą rzeką
Nie wodospadem, strumyczkiem cichym
Strużką w duszkę przecieka

Nasiąka jak gąbka mech – śmiech w naszym lesie
Póki co, nic nie ma. Ale czas przyniesie
Chwile gdy kropli już nie spije ziemia
I potopów będzie zawalenie

Znów łódeczką jak kropelka łezka
Przemykam
Może się zmieszczę

Na trawniku ptasim...

Na trawniku ptasim kroczykiem. Niewidocznie
Podskakują do słońeczka mlecze
Co ma wyrosnąć z nas to nie uciecze
Choćby plewiły całe szwadrony
Te pola zielone

Oni w tę stronę – My w inną stronę
I spod ziemi i z nieba nawet, co nad nami
Zawieszone
Wypadamy
I jakoś się mamy

Ale kosiarki są nowej marki
I nie z kosą ranną rosą
A maszyną
Zaczną przycinać

Więc się bracie trzymaj
Kwitnij, dojrzewaj w ogromny dmuchawiec
I na wiatr
Nim śmierć ruszy po trawie

Obłoki tu wysokie...

Obłoki tu wysokie jak nigdzie w Europie
Takie zmienne, co dzień niecodzienne
Nigdy nie wiesz czy potopów potoki
Sennie dźwigają czas przewalając

Łeb do góry zadzierając
Się tu patrzy
Jak niebo wciąż płynie inaczej
I jak nagle obłoki skrzydłami
Zły cień machną nad nami

Ale nie ma strachu
Bo każdy nauczony zmykać w dziwne strony
Nawet przed cienia cieniem. Stąd ciągle patrzenie
Uparte, zadarte tły pod samo niebo

I żarty nie na żarty
Na serio.

***Nad ranem
nasze ubranie...***

Nad ranem nasze ubranie
Znów dumnie wyprostowane
Czeka nas. Nie te same
Co łań wieczorem zdjęty
Z ciał do ziemi przygiętych
Wielkim strachem, że pęknie
Serce – bo strasznie kłamiesz
I zgadujesz pamięć

Nad ranem nasze ubrania
Czekają nas. Ale w lustrze
Widzą, że oczy puste
Mamy – Gdy je wkładamy
I wyruszamy w drogę
Tam chyba nie spotkasz się z Bogiem
A i z człowiekiem nawet

Nad ranem nasze ubranie
Jest chwilkę wyprostowane
A potem garbi się, mnie
Jak to w życiu

Wołaj Jego Imię...

Wołaj Jego Imię. Tak mówi
We snach moich – kto? Anioł. Inaczej się zgubisz
Wołaj bez sensu. Nieopatrzenie. Więcej
Niby nie wołając

Zagubiłeś się przecież w takich zagubieniach
Nawet drogi nie mają znaczenia

Wołaj. Szukają cię jeszcze najbliżsi
Jeszcze żyjesz w ich myśli
Ale modlitwy ubywa, ubywa

Dlatego wzywam

On cię zobaczy
Jeśli z rozpaczy – wołasz przeciw sobie
On się za tobą opowie

Ten stół stoi...

Ten stół stoi przed nami czterema nogami
Zapartemi – jak to w polskiej ziemi
Trochę grubo. Bratem nam nie sługą
Choć na jego grzbiecie kraje się stoninę
Nawet przewija dzieci – gdy przyczyna

Ten stół dla weseliska i szarych obiadów
Nie waż się na nim siadać
Umarłemu leżeć
Wolno. Ile należy czasu na pacierze

Szeroki za widnokrąg – Czeką nas dotąd

Katarzyna Cieplińska

Loot and Loyalty

Jerzy Pietrkiewicz jest autorem ośmiu powieści wydanych w języku angielskim. Okrzyknięty przez brytyjskich krytyków literatury drugim Josephem Conradem przez lata nie doczekał się w Polsce należnego uznania.

Powieści Pietrkiewicza długo nie ukazywały się zarówno z powodów politycznych (w jego utworach często pojawiały się wątki antykomunistyczne), jak i ze względu na początkową niechęć autora do publikowania w kraju. Ostatnia z powieści, *Green Flows the Bile*, do tej pory nie doczekała się publikacji na rynku polskim, a przekład *Loot and Loyalty* dopiero teraz ma swoje pierwsze wydanie. Pozostałe zaczęły ukazywać się w Polsce począwszy od 1986 r.: *Gdy odpadają łuski ciała* (1986) oraz *Wewnętrzne koło* (1988) w przekładzie Alicji H. Moskalowej; *Odosobnienie* (1990) w przekładzie Bronisławy Bałutowej, a także *Anioł ognisty, mój anioł lewy* (1993) oraz *Sznur z węzłami* (2005) w przekładzie Mai Glińskiej i *Zrezygnować z przyszłości* (2016) w tłumaczeniu Alicji Skarbińskiej-Zielińskiej.

Loot and Loyalty [Zdobyc i wierność] była drugą angielską powieścią Jerzego Pietrkiewicza. Ukazała się w 1955 r. jednocześnie w Londynie, Melbourne i Toronto. W odróżnieniu od jego pierwszej angielskiej książki, *The Knotted Cord*, opublikowanej w 1953 r. równolegle w Londynie i w Nowym Jorku, a także całej wcześniejszej twórczości powstałej w języku polskim, autor umiejscawia fabułę w siedemnastowiecznej Polsce i Rosji, a nie w znanej mu z dzieciństwa ziemi dobrzyńskiej.

Powieść *Loot and Loyalty* spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem tak brytyjskich krytyków, jak i recenzentów wywodzących się z kręgów polskiej emigracji w Londynie. Porównania do pisarstwa Josepha Conrada były nieuniknione. Recenzenci wielokrotnie podkreślali jednak, że Jerzy Pietrkiewicz pisze bardziej naturalną angielszczyznę niż jego słynny rodak. W „Northern Echo” nazwano Pietrkiewicza „wybitnym autorem wybitnej powieści”. W „The Times Weekly Review” opisano jego prozę jako „wyróżniającą się blaskiem poetyckiej wyobraźni”.

„Dziwna i piękna” – tak na łamach „Merkurysza Polskiego Nowego” napisał o *Loot and Loyalty* Bolesław Taborski,

a słowa te i dziś zdają się być najkrótszą i najbardziej trafną oceną tej powieści. Recenzent podkreślał dojrzałość prozy Pietrkiewicza, podziwiał niezwykle barwne, poetyckie opisy przyrody, uznał książkę za pozornie prostą i zabawną, jednak pobudzającą do głębokiej refleksji, a autor – w opinii Taborskiego – stał się „autentycznym mistrzem angielskiej prozy”.

Wielkim atutem powieści jest komizm sytuacyjny, na co również zwrócił uwagę Taborski, pisząc: „szczerość i zaduma łączą się w jego książce bez zgrzytów z humorem, celną ironią, nawet sarkazmem”, a „perłą komizmu” nazywał rozdział powieści *Wspaniała machina* (ang. *The Great Machine*), w którym budowy tytułowego urządzenia podejmuje się – wedle projektu głównego bohatera, Tobiasa Hume’a – grupa biczowników. Chcą oni jak najszybciej dostąpić zbawienia, a śmiercionośna maszyna daje im nadzieję na rychłą zagładę świata.

Najbardziej pochlebne opinie dotyczyły warstwy językowej utworu. Gratulowano Pietrkiewiczowi opanowania idiomatycznego języka angielskiego. Podkreślano, że autor nie tylko potrafi posługiwać się nieskazitelną angielszczyzną, ale zdolał nadać książce niezwykle wyrazistość, co nie byłoby możliwe, gdyby została ona napisana w rodzimym języku pisarza, a następnie przetłumaczona.

Język utworu jest pełen metafor, idiomów i kolokwializmów, poza tym ustylizowany został na siedemnastowieczną angielszczyznę, choć stylizacja dotyczy głównie dialogów lub przytaczanych tekstów historycznych. Autor używa też archaizmów. Wymieńmy tu pisownię wyrazów: *Pollish* (współcześnie: *Polish*), *songes to bee sung* (współcześnie: *songs to be sung*), *poore brethren* (współcześnie: *poor brothers*), a także wielu słów obcego pochodzenia, w tym latynizmów. Postaci w powieści posługują się w dialogach polskimi zwrotami „pan”, „pani”. Polscy bohaterowie tytułują Kapitana „pan Humus” (z łac. ziemia), ułatwiając sobie jednocześnie wymowę jego nazwiska. Natomiast rosyjscy bojarzy używają formy powszechnej we własnym języku i tytułują Hume’a „Tobias Davidovich”. Sam autor podkreślał, że archaizacja języka powieści może stanowić najtrudniejszy element pracy tłumacza

tworzącego polski przekład. Stylizacja ta z pewnością ubarwia powieść, pomaga oddać historyczny klimat opisywanych w niej czasów, choć – co ważne – nie jest elementem dominującym w narracji, przez co nie utrudnia lektury.

Należy podkreślić, że Jerzy Pietrkiewicz w pełni zasłużył na pochwały dotyczące jego angielszczyzny. Trzeba pamiętać, że kiedy w 1940 r. pisarz przybył do Anglii, zupełnie nie znał angielskiego. Ze względu na zły stan zdrowia nie mógł podjąć służby wojskowej i z tego powodu został skierowany na studia do Edynburga. Tam trafił na najstarszy, założony w 1413 r., znakomity szkocki uniwersytet St. Andrews. Po latach, 21 czerwca 2006 r., twórca został uhonorowany tytułem doktora honoris causa tejże uczelni.

Początki życia na obczyźnie nie były dla pisarza łatwe. W swojej autobiografii zatytułowanej *In the Scales of Fate* (1993) – wydanie polskie pt. *Na szalach losu* (2016) – Pietrkiewicz wspominał ogarniające go chwile zwątpienia, kiedy w wieku dwudziestu pięciu lat rozpoczynał studia w obcym języku. Ambicja i niezwykła pracowitość spowodowały, że nie tylko ukończył szkocki uniwersytet, ale podjął też dalszą naukę w Londynie, gdzie uzyskał nawet stopień doktora.

Wieloletnie studia zaowocowały nie tylko świetną znajomością angielszczyzny, ale też poznaniem współczesnej i dawnej tradycji zarówno literackiej, jak i kulturowej Wielkiej Brytanii. Zdobyte przez Pietrkiewicza wykształcenie zmieniło jego postrzeganie świata, ale również zaważyło na podjęciu niezwykle odważnej, jak na obcokrajowca, decyzji – pisania powieści przeznaczonych dla brytyjskiego czytelnika.

Pisarz, pomimo zdobycia angielskiego wykształcenia i pracy na Uniwersytecie Londyńskim, nadal silnie identyfikował się z Polakami na wychodźstwie. Szczególnie bliskie były mu losy polskich żołnierzy, którzy walczyli za wolność na frontach Europy, a po zakończeniu wojny z powodów politycznych nie mogli wrócić do ojczyzny. Pietrkiewicz doskonale odczytywał ich uczucia, gdyż sam doświadczał losu emigranta, żyjącego w poczuciu alienacji. Był poetą, którego pozbawiono rodzimej publiczności. Zapewne z tego powodu zrodził się zamysł powieści ukazującej życie na wygnaniu.

Pracę nad *Loot and Loyalty* rozpoczął na początku 1952 r., jeszcze przed wydaniem swej pierwszej książki *The Knotted Cord*. W liście do żony, Christine Brooke-Rose, pisał wówczas, że ma świetny pomysł na powieść, której bohaterem będzie Kapitan Tobias Hume. Jako najemnik, o ironio!, umieszczony – jak podkreślał pisarz – w XVII-wiecznej Polsce i Rosji. Tematem opowieści miały być grabież i lojalność, ukazane z dużą dawką humoru. Jednak w zamyśle autora nie była to jedynie powieść historyczna, a historii nie redukował do funkcji poetyckiego tła.

W *Loot and Loyalty* dawna Polska i Rosja ukazane są oczami szkockiego żołnierza. Widać zatem, że autor dążył do znalezienia tematów bliższych angielskiemu odbiorcy, mimo że wciąż mocno osadzonych w kręgu kultury polskiej. Chciał przybliżyć Brytyjczykom historię swojej ojczyzny, a uczynienie głównym bohaterem Szkota – Tobiasa Hume’a – miało być nawiązaniem do historii Wielkiej Brytanii.

Trzeba zaznaczyć, iż Pietrkiewicz niezwykle starannie przygotował się do pracy nad powieścią. Dokładnie studiował historię oraz gromadził dokumentację, a sama fabuła *Loot and*

Loyalty powstała w oparciu o autentyczne źródła historyczne, które znajdowały się w zbiorach Biblioteki Dokumentacji Państwowej (The State Papers Library).

Powieść *Loot and Loyalty* składa się z dwunastu rozdziałów i epilogu. Historia opowiadana jest przez narratora wszechwiedzącego, a w tekście przeważają partie dialogowe. W scenie otwierającej powieść czytelnik poznaje jej głównego bohatera, Kapitana Hume’a, który zgubiwszy swój regiment żołnierzy wraz z transportowanymi przez nich łupami wojennymi, błąka się samotnie pośród bagien prypeckich. Tam spotyka prostego, wiejskiego chłopaka Dymitra i jego matkę, którzy udzielają mu schronienia. Tam też pojawiają się kolejni bohaterowie: rosyjski bojar Iwan Iwanowicz Nikityn i jego świta, polski szlachcic pan Miechowski, a także magnat szkockiego pochodzenia Seton-Setoński. Podczas jednej z biesiad pijani bojarzy, początkowo tylko dla żartu, dopatrują się w miejscowym chłopaku pewnego podobieństwa do zmarłego cara Dymitra Samozwańca I. Jednak szybko obmyślają poważny, ale jednocześnie chytry plan. Postanawiają rozgłosić, że car nie zginął, tylko uciekł do Polski i tu ma się dobrze. Liczą, że przyniesie im to ogromne korzyści. Ta intryga i relacje między zaangażowanymi w nią bohaterami stają się osią powieści.

Porównania do pisarstwa Josepha Conrada były nieuniknione. Recenzenci wielokrotnie podkreślali jednak, że Jerzy Pietrkiewicz pisze bardziej naturalną angielszczyznę niż jego słynny rodak.

Opisy działań postaci skupionych wokół Dymitra, dokładających wszelkich starań, aby z nieokrzesanego wieśniaka zrobić elokwentnego, wykształconego cara, przesycane są humorem i satyrą. Lekcje obejmują nie tylko edukację książkową, ale także naukę odpowiedniego poruszania się, naśladowania gestów i intonacji zmarłego Dymitra I. Przebywający na dworze Seton-Setońskiego jezuita, ojciec Stanisław, podejmuje nawet próby nawrócenia Dymitra na katolicyzm. Wysiłki wychowawców nie idą na marne. Wkrótce okazuje się, że chłopak jest pojętnym uczniem, który szybko przerasta oczekiwania swoich mistrzów.

Kiedy Dymitr uświadamia sobie, że ma pełnić rolę cara, doskonale wciela się w tę rolę, a staje się w tym bardzo autentyczny – dokonuje sądów, skazuje na śmierć, zaczyna być władczy i okrutny. Jego nauczyciele stworzyli potwora, który zaczął żyć własnym życiem i samodzielnie korzystać z danych mu przywilejów. Kapitan Hume nieustannie towarzyszy Dymitrowi, mając nadzieję, że wkrótce awansuje na dowódcę carskiej gwardii.

Pietrkiewicz uczynił Szkota, Tobiasa Hume’a, głównym bohaterem. W powieści ukazany jest on jako człowiek

zafascynowany sztuką wojenną i komponowaniem muzyki. Autor wzorował postać na bohaterze historycznym. Informacje o nim pisarz znalazł w dwóch dokumentach: zbiorze kompozycji autorstwa samego Hume’a oraz w jego petycji do parlamentu angielskiego z 1642 r. o sfinansowanie budowy zaprojektowanej przez niego wielkiej maszyny wojennej.

W rzeczywistości utwory muzyczne Hume’a na violę da gamba ukazały się w dwu zbiorach: *The First Part of Ayres* w 1605 r. (znanym także jako *Musicall Humors*) oraz *Captain Humes Poeticall Musicke* w 1607 r. i są do dziś wykonywane, także w polskich filharmoniach. W powieści Pietrkiewicza ukochany instrument Hume’a – viola da gamba – jest jedynym „wiernym kompanem” głównego bohatera. Muzyka pozwala Kapitanowi walczyć z melancholią, do której ma skłonność, oraz przynosi ulgę w trudnych chwilach tułaczego, żołnierskiego losu. Jednak podstawowym zajęciem Hume’a jest wojna; zarabia na życie jako najemnik, a jego wielkim marzeniem jest skonstruowanie potężnej wojennej maszyny, która mogłaby zapewnić łatwe zwycięstwo nad wrogiem.

Hume nieustannie obmyśla projekty budowy takiej maszyny. Dzięki finansowemu wsparciu magnata i jednocześnie swego rodaka – spolonizowanego Szkota Seton-Setońskiego – konstruuje śmiercionośne urządzenie. Pomimo wysiłków budowniczych machina rozpada się, a jej szczątki zostają porwane przez nurt wody. Hume, jak się okazuje, nie posiada wiedzy technicznej, a jest jedynie oderwanym od rzeczywistości i opanowanym szaloną wizją marzycielem i ekscentrykiem.

Powieść obfituje również w elementy humorystyczne. W ironiczny sposób obrazuje Pietrkiewicz rosyjską skłonność do wódki. Przesycona czarnym humorem jest scena, w której rosyjski bojar Rukin – dotychczas ulubieniec cara i jego najlepszy kompan do kielicha – usiłuje zrozumieć, w jaki sposób mógł stać się nagle zdrajcą. Jedynym wytłumaczeniem jest dla niego myśl, że zapewne został zdrajcą, kiedy był kompletnie pijany.

Pomimo uwzględnienia realiów historycznych oraz licznych odniesień do materiałów źródłowych pośród krytyków wywiązała się polemika dotycząca klasyfikacji gatunkowej utworu. Pytano, czy *Loot and Loyalty* można uznać za powieść historyczną? Zdania w tym względzie były podzielone. Recenzent „Myśli Polskiej” zauważył, że choć akcja utworu osadzona jest w XVII wieku, to jest jedynie „historycznie prawdopodobna”, a zatem, kontynuował, *Loot and Loyalty* nie należy do gatunku tradycyjnej powieści historycznej. Hilary Corke, recenzentka „The Encounter”, określiła utwór Pietrkiewicza jako „pseudohistoryczną fantazję osnutą wokół dwu historycznych postaci, szkockiego najemnika kapitana Tobiasza Hume’a, który zasłynął kompozycją na violę i chłopskiego uzurpatora do rosyjskiego tronu znanego jako <<drugi fałszywy Dymitr>>”.

Krytyk „The Times Literary Supplement” pisał, że „*Loot and Loyalty* sprawia wrażenie snu na jawie [...], pomimo że bohater rzeczywistości istniał”. Derek Stanford uznał, że książka „jest raczej fantazją”, a w „The Times Weekly Review” pojawił się komentarz określający powieść jako „skojarzenie folkloru i historii”.

Bolesław Taborski wskazywał, iż nie należy *Loot and Loyalty* klasyfikować wedle kryteriów powieści historycznej, a nawet zauważył w tej książce pewne nieścisłości. Na przykład w XVII wieku król Polski rezydował w Warszawie,

a nie – jak przedstawił to autor powieści – w Krakowie. Takie potknięcia, zdaniem Taborskiego, nie mają jednak istotnego wpływu na całokształt artystyczny utworu, nawet jeśli jego fabuła jest luźno oparta na historycznych źródłach.

Z całą pewnością *Loot and Loyalty* można zaklasyfikować do gatunku powieści historycznej. Natomiast dużą swobodę, na jaką pozwolił sobie autor w kreacji świata przedstawionego w powieści, uzasadnia chęć wprowadzenia wielu zagadek do losów historycznych bohaterów.

Przykładem takiego działania jest barwnie opisana przez Pietrkiewicza postać Dymitra (zwanego Dymitrem Samozwańcem II), prostego chłopca, który został carem. Jak wiemy, to postać związana z niezwykle burzliwym czasem w historii Rosji, określanym mianem „wielkiej smuty”. Genezy tych wydarzeń należy poszukiwać w okresie panowania Fiodora I, gdy w 1591 r. w niewyjaśnionych okolicznościach zginął jego młodszy przyrodni brat, niespełna dziesięcioletni książę Dymitr z Uglicza. W anglojęzycznej *Historii Rosji* Nicholas V. Riasanovsky i Mark D. Steinberg nazwali to wydarzenie „jedną z najsłynniejszych kryminalnych zagadek w historii”.

Niewyjaśniona sprawa Dymitra stała się pretekstem do polityczno-wojennych przedsięwzięć, w tym tak zwanej „interwencji polskiej w Rosji” i próby opanowania Moskwy. W 1604 r. podający się za cudownie ocalałego carewicza Dymitr I Samozwaniec wkroczył do Rosji na czele armii złożonej między innymi z Kozaków i polskich najemników. Pomimo wielu klęsk militarycznych po śmierci Borysa Godunowa w następnym roku Dymitr przybył do Moskwy i objął tron. Jego żoną i carową Rosji została córka polskiego magnata, Maryna Mniszchówna. Małżeństwo z katoliczką oraz panoszenie się polskiej magnaterii na Kremlu wzmagały antypolskie nastroje. W maju 1606 r. w wyniku spisku bojarzy ze zbrojnymi oddziałami wtargnęli na dwór i pojmali Dymitra. Osobista straż carska, którą stanowili wówczas szkoccy najemnicy, nie zdołała obronić władcy. Samozwaniec I został brutalnie zamordowany, a podczas rzezi zginęło kilka tysięcy Polaków i Rosjan. Nowym carem został Wasyl Szujski. Jednak na tym nie zakończył się okres „dymitriad”.

W 1607 r. pojawił się kolejny uzurpator do carskiego tronu, znany jako Dymitr Samozwaniec II. Człowiek ten rozgłaszał, iż to on jest prawdziwym carem z Uglicza, choć – jak twierdzą historycy – do dziś brak jakichkolwiek wiarygodnych informacji na temat jego pochodzenia i przeszłości. Drugiego fałszywego Dymitra poparły grupy rosyjskich buntowników, Kozacy, polscy oraz litewscy najemnicy i awanturnicy. Wśród jego stronników znalazło się także kilku znanych polskich dowódców. Zarówno Maryna Minszchówna, żona pierwszego Samozwańca, jak i matka zamordowanego w Ugliczu carewicza, wdowa po Iwanie IV Groźnym, publicznie rozpoznały w nim cara Dymitra.

Wiosną 1608 r. oddziały popierające rzekomego władcę Rosji pokonały wojska rosyjskie, a fałszywy car rozbił swój obóz w miejscowości Tuszyno. Nazywany „łotrem z Tuszyna” (ros. *Tuszynskij wor*) lub „Łędymitrem” Samozwaniec II utworzył własny dwór oraz Dumę Bojarską, ściągając podatki oraz nadawał swoim poplecznikom tytuły i włości. W Tuszynie stacjonowało wówczas kilkadziesiąt tysięcy ludzi, w tym także niepopierający Szujskiego bojarzy i książęta. Jednak i ów Dymitr zginął w 1610 r. w niewyjaśnionych okolicznościach.

Nietrudno zatem zrozumieć powody, dla których ten burzliwy okres w dziejach Rosji stanowił doskonałe tło dla powieści Pietrkiewicza. Z kolei uczynienie głównym bohaterem Szkota-wygnańca, tułającego się po targanej wojną i zamieszkami Europy Wschodniej, stanowi oczywistą aluzję do losu rzesz emigrantów, którzy znaleźli schronienie w Wielkiej Brytanii po II wojnie światowej. W powieści sytuacja jest odwrotna: szkoccy najemnicy szukają lepszego życia w Rzeczypospolitej, która została przedstawiona jako kraj potężny, opływający w bogactwa i gwarantujący uchodźcom wolność religijną. Pisarz oddał w utworze potęgę polskiego państwa, co miało służyć budowaniu poczucia dumy z polskich tradycji polityczno-kulturowych. Bez wątplenia jest to jeden z istotniejszych walorów książki.

Powieść Pietrkiewicza, choć chwalona przez recenzentów i pomimo artystycznego sukcesu, skazana była na komercyjne niepowodzenie. Zauważył na tym niezrozumiały dla angielskiego czytelnika temat, a XVII-wieczna Polska i próba przejęcia moskiewskiego tronu nie wzbudziły zainteresowania. Ponadto materiał powieściowy okazał się zbyt trudny i kulturowo odległy nawet dla krytyków życzliwych autorowi i dziełu. Historyczne fakty posłużyły jedynie do realizacji zasadniczego celu, jakim był swoisty manifest antysowiecki. *Loot and Loyalty* należy więc odczytać jako powieść z tezą, pisaną „ku pokrzepieniu serc” rodaków na emigracji. Natomiast czytelnik angielski miał poznać okres słabości w historii Rosji. Z tego powodu powieść nie mogła ukazać się w komunistycznej Polsce.

Katarzyna Cieplińska | Doktor nauk humanistycznych, tłumacz przysięgły języka angielskiego

Jerzy Pietrkiewicz
przeł. Jacek Dehnel

Zdobycz i wierność

Jerzy Pietrkiewicz | ur. 1916, zm. 2007. Polski prozaik i poeta tworzący w języku angielskim. Profesor literatur słowiańskich na Uniwersytecie Londyńskim.

Powieść ta osadzona jest w siedemnastowiecznej Polsce i Rosji, a jej główny bohater to szkocki najemnik, Kapitan Tobias Hume. Autor każe mu przyczynić się do wyszkolenia Dymitra, wiejskiego chłopaka z Bagien Prypeckich, który miał przejść do historii jako Dymitr Samozwaniec II. Osią powieści są związki pomiędzy trzema postaciami: Tobiasem Hume’em, Dymitrem i jego matką. Oprócz tego w toku powieści pojawiają się: spolszczony Szkot, Seton-Setoński, bojar Iwan Iwanowicz Nikityn, szkoccy żołnierze i kramarze, polska szlachta i chłopi.

Tobias Hume to postać historyczna, najemny żołnierz, muzyk grający na violi da gamba oraz wynalazca, pragnący stworzyć nowy oręż bojowy. W książce buduje swą Wielką Maszynę pośród wyziewów Bagien Prypeckich. Wszystko, co po nim dziś pozostało, to wydane na początku siedemnastego wieku dwa tomy kompozycji oraz petycja do parlamentu, zacytowana w tej powieści jako jej epilog.

Autor wyobraził sobie kolejne losy Tobiasa Hume’a nie tylko jako typowe dla siedemnastego stulecia, ale i dziwnie aktualne w naszych czasach. To bycie uchodźcą, ale na odwrót: szkockim wygnańcem w Europie Wschodniej.

>>

>>

ROZDZIAŁ I
ZDOBYCZ

Kapitan Tobiasz Hume, najemnik, zapodział niestety swój regiment gdzieś w wojennym gruzowisku Rosji. Siedział teraz samotnie na żółtawej kępie trawy, pośród smrodliwych waporów Bagien Prypeckich, i dumał nad losem swoich dziewięćdziesięciu Szkotów, z dłońmi na violi da gamba, a ze znużonymi oczyma – na dziurze w lewym bucie. Dziewięćdziesięciu zbrojnych – o ile w ogóle jeszcze żyli – trudno nazwać regimentem, jeśli jednak doliczyć do każdego człowieka dwa wozy, wozy wyładowane sobolimi skórkami, gronostajami, woskiem, złotymi świecznikami, smalcem i rondlami mosiężnymi, tych dziewięćdziesięciu strażników łupu prezentowało sobą siłę militarną wartą reputacji Kapitana Hume’a.

Poruszył stopami i pęknięcie jeszcze się powiększyło – lewy but rozdziawił się ku swemu panu, a pan, ziewając, ku instrumentowi. Viola da gamba utraciła dwie struny, ale słońce wciąż na niej grało, pozostawiając głębsze tony pogłębiającym się cieniom. Brzozy paradowały czarno-białym szeregiem wzdłuż mokradła, z którego żaby posyłały schrypte rozkazy.

Kapitan powstał, poprawił rapier i ruszył wedle linii drzew, ciągnąc instrument po przegniłej trawie. Nie o strunach myślał, ale o schowanych w pudle świstkach papieru. To przez wzgląd na nie ocalił violę da gamba, przez wzgląd na Wielką Maszynę.

Wyrósł przed nim krzyż wysoki jak brzoza, z przepychającymi się po jego ramionach plamami bieli i czerni. Długie pasy haftowanego płótna furkotały na tle błękitnej jamy nieba, przedłużając gesty owych drewnianych ramion. W połowie krzyża chybotął się mężczyzna ubrany na biało, z dłońmi wzniesionymi ku furkocącemu płótnu.

– Owiń rusznik dwakroć, synku! – zabrzmiał głos spod krzyża i Tobiasz Hume ujrzał sutą chustę, opadającą na szerokie ramiona jakiejś kobiecej postaci. Jej głowa była gdzieś na wysokości dwóch łapci, wspartych na niewidocznej podpórcie; ich poskręcane łyko zdawało się przenikać z czarnymi haftami na chuście.

Mężczyzna nie odpowiedział, przyciskał tylko czoło do drewna, chwytając powietrze dłońmi. Końce płótna wyglądały teraz jak wyloty rękawów u pozbawionego ramion ciała.

– Hej ty, kmiotku! – krzyknął Tobiasz, chwytając za rękojęść rapiera. – Złaż no!
Kobieta odwróciła się i wlepiła weń blade, duże oczy. Stopy ponad nią przez chwilę dygotały, ale widać chłopak nie miał zamiaru usłuchać rozkazu, bo jego prawa dłoń przesunęła się po krawędzi płótna, jakby chciał uspokoić wzburzone powietrze. Kobieta cofnęła się o krok i powiedziała, nie patrząc na syna:

– Już po ciebie przyszli, Dymitrze, sokoliku mój, przyszli wykrwawić wielkie nieba na twoje ruszniki niesplamione, a ty chciałeś jeno otrzeć rany słońcu.

– A ilu ich, matko? – zapytał z krzyża, przylegając do drewna całym ciałem. Niemal wyśpiewał to pytanie jak modlitwę i zakończył je głębokim westchnieniem.

– Jeden tylko, Dymitrze, jeden tylko, ale tyle ma kurzu na cudzoziemskim kapeluszu, że tysiąc kopyt musiało bić w piach setek dróg, żeby go tu sprowadzić szybciej od wiatru. Dziesięć armii za nim pójdzie, mój synku, a niebo okrwawi ruszniki Chrystusowe na każdym krzyżu.

– A czy jedzie na białym rumaku, matko?
– Nie, Dymitrze, konia nie ma, ale dumam, że to wielki generał, bo kaftan na nim czerwony, a do tego targa niełchy oręż drewniany. Lepiej zejdz, synku.

Mówiła o Kapitanie, jakby go tam nie było. Tobiasz słuchał tak cierpliwie, że sam się sobie dziwił; ani już nie dbał o to, czy chłop zejdzie, ani też mu się chciało rozmawiać z babą. W powietrzu czuć było świeżym mlekiem, aż cmoknął. Gdyby miał więcej siły, wspiąłby się na górkę za krzyżem i obejrzał sobie wioskę, do której wreszcie dotarł. Zamiast tego usiadł parę kroków od baby i, niezbyt godnie, poczochnął wilgotne włosy pod kapeluszem.

„Mają jedzenie – pomyślał – a to wystarczy. Najpierw mam zjeść czy się przespać?”

Z góry zaatakowała Kapitana para dzikich oczu; wgapiały się weń z bezpiecznej odległości poprzez migotania przymglonego światła. Zdawało się, że chłopak zwiśł z jednego z ramion krzyża, z całym ciałem spiętym i nogami ugiętymi przed skokiem. Z głową podaną do przodu, odsłonił twarz w zwierciadle słońca – i dwa ziarnka światła posadowiły się na dwóch dużych brodawkach, jednej na górnej wardze, a drugiej pod prawym okiem. Rudawa czupryna przykuła uwagę Kapitana, przypomiwała bowiem tyleż jego własne włosy, co kolor gnijących chwastów, poprzez które brnął, odkąd postradał wałacha na tamtym brzegu Dniepru. Dzikie spojrzenie zaatakowało przybysza, zanim jeszcze słowa zaczęły wykrzywiać ciężkie, bezkształtne usta.

– Cudzoziemcze – powiedział Dymitr, bardziej jeszcze uginając nogi – jestem niczyj. Nie mamy tu pana... panie – dodał, spoglądając na połyskującą rękojęść rapiera. – Matka moja przybyła na te ziemie łosiowe zza wschodu słońca, a ojciec... błogosławiona niech będzie jego pamięć – chłopak pospiesznie ucałował drewno krzyża – ...ojciec ubieżał tu zza wielkiej rzeki – co powiedziawszy, machnął prawą nogą ku wschodowi, gdzie brzozy wciąż trzymały straż wzdłuż mokradła. – Nie możecie mnie zabrać do jego pana, do kraju Cara, za rzekę. – Tu znów machnął nogą.

– Jego Cesarzka Mość Dymitr, Car Moskiewski, nie żyje – wymamrotał sennie Tobiasz do samego siebie, a w jego głowie wyładowane wozy poturkotały ponad wspomnieniami bitew i ucieczki, rozjeżdżając jego gniew i dumę.

– Umieję pisać i czytać, cudzoziemcze, a tak, umiem – oświadczył śpiewny głos pod wysyłanymi przez haftowane ruszniki znakami, które to znaki też były nieistotne.

– Złaż, człeku – szepnął Tobiasz, próbując unieść ciało, ale łokieć omsknął się na trawie i łupnął w violę da gamba; w pudle coś zaszeleściło. – Głodny jestem. Mam ubić rapierem waszą krowę?

– Krowa! – zakrzyknęła kobieta i zebrawszy długą spódnice, wbiegła na górkę, przystanąła, spojrzała za siebie na zwisające z krzyża ruszniki, po czym rzuciła się w łoziny z chustą rozpostartą szeroko jak bocianie skrzydła.

Chłopak zeskokczył i skłonił się przed Kapitanem, wskazując instrument.

– Mam ponieść wasz wielki oręż, panie?

– Mnie lepiej ponieś – odparł Tobiasz.

Kapitan nie był zmuszony przeszywać krowiej szyi rapierem; zamiast tego zjadł kaczkę, po czym, wypiwszy nieco płynu mdławego i zalatującego serwatką, zasnął przy stogu. Jako że siano leżało nieco ponad ziemią na drągach, wsunął instrument pod spód, powierzając przyszłość Wielkiej Maszyny wonnej czuności siana.

Obudził go niski dźwięk. Zanim jeszcze zsunął kapelusz ze spotniałej twarzy, ktoś pociągnął go za but, przy czym znów dało się słyszeć złowróżbne pęknięcie.

– Generale – krzyknęła kobieta – wasi żołnierze ukradli mi krowę!

Tobiasz Hume stanął niezbornie na nogi i zamrugał w słońcu, które zagnieździło się teraz na ulu, pomiędzy dwoma konarami dębu rzucającego ciężki cień na sadzawkę i pływające w niej kaczki.

– Pogonił za nimi w gniewie ogromnym, sokolik mój, a oni zarzną mojego Dymitra, jako mu się śniło na Świętego Stanisława.

– Mieli ze sobą jakie wozy? – krzyknął niecierpliwie Tobiasz, nie mogąc się zdecydować, w którym iść kierunku.

– Żadnych wozów, Generale, żadnych wozów. – Wbiła weń oczy blade, jakby były z przejrzystego lodu, wnikając niemal do środka jego głowy.

– Gdzie teraz ci ludzie?

– Zaciągnęli biedne bydłatko do chaty, gdzie drugi krzyż stoi. Ale głupi, że tam poszli, ano, bezmyślni i głupi, bo Chrystusowe ruszniki na tamtym krzyżu unurzane w żółci chmur morowych.

Śpiesząc do chaty, Tobiasz minął krowę, czy raczej to zwierzę go minęło: biegło z uniesionym ogonem, ciągnąc za sobą po mchu i paprociach słomiany powróż. Ale żaden żołnierz nie ścigał uciekającego łupu.

Chata zbudowana była z luźno połączonych bali, a przez szpary i dziury między nimi buchały śmiechy i krzyki. Od ścian odbijały się słowa rosyjskie i polskie, a z nimi głos Dymitra, wyśpiewujący oburzone protesty. Kapitan pchnął rapierem w jedną z dziur, po czym rzucił ku drzwiom donośny rozkaz:

– Wyłazić, ale wszyscy!

Przez inną dziurę wysunęła się lufa muszkietu, a z wnętrza chaty pijacki głos odparł:

– Właż. Potrzebujemy skóry niedźwiedziej, żeby przyodziać naszego brodawczatego księcia.

Mniejsza o to, gdzie padł Rosjanin, ważne, że padł jak żołnierz, bo skądś poleciały na niego dwa berdysze i w niespodziewanym hołdzie legły całą długością na jego ciele. Kapitan schylił się dwornie i pomógł mu wstać. Rosjanin zatoczył się w drugi koniec chaty, zawadzając o jakąś ludzką przeszkodę, opartą o ścianę niczym worek.

– To mój wuj, Iwan Iwanowicz Nikityn. On to znalazł miód, a ledwie go spróbował, jego stare ciało zeszytniało niczym tureckie siodło.

– Nie żyje?

– Gdzie tam! Ale drugi raz ominęła go cała koronacja. Najpierw w Moskwie, a teraz tutaj... Patrz na tego kmiotka! Powiedział nam, że jest Dymitrem, więc uczyniliśmy go Cesarzem żab, żmij, jeży i węgorzy, którymi ta przekłeta ziemia szcudrze obradza. Mówi, że umie czytać i pisać... Patrz no!

Tobiasz osłonił oczy przed słońcem, które wykuwało pionowe sztaby przez dziury w dachu, i od razu wybuchł śmiechem, co tak uradowało Rosjanina, że zaczął się okładać kułakiem po piersi. Wówczas to Kapitan zauważył kolejnego żołnierza, kucającego za Dymitrem. Przedstawił się on najserdeczniejszym z możliwych piśnięciem:

– Jam jest szlachcic polski, a ty musisz być kupcem niemieckim. Nie sprzedałbyś mi pary butów?

Kapitan puścił mimo uszu tę sugestię, woląc nacieszyć się w pełni swoim śmiechem. Wiejski chłopak zmienił się nie do poznania. Dymitr siedział na karpie drzewa i tylko z upiornej głębi oczodołów jego dzikie spojrzenie krzyczało, kim jest. Na Inianą rubaszkę nałożyli mu ornat, a nogi związali karmazynowym pasem. Z tego szyderczego splendoru wystawały stopy, wciąż w szorstkich łapciach, a barwa podeszew z łyka i rzemyków zdawała się protestować przeciwko złotym niciom przeszywającym lilie na sztywnej szacie.

Chłopak wpatrywał się z wytężeniem we własne stopy, jakby chciał przekonać samego siebie, że pasma łapci nie pozwolą jego ciału oddzielić się od duszy. A że spuścił oczy, nie był może świadomy, jaką królewską ozdobą uwieńczono mu głowę. Jego włosy musiały się jednak burzyć wobec tego wtargnięcia, bo ich grube pasma kielkowały sponad błyszczącego, metalowego pierścienia i szydziły z korony, wystając z niej niczym poszarpany pióropusz.

Żołnierze z pewnością wydudlili wystarczająco wiele miodu, by uznać przybycie Kapitana za kolejną część ich zabawy. Kiedy jego śmiech ucichł, włochate ramię podało mu dzban z taką prostotą, jakby był po prostu zastępcą ściętego z nóg bojara, który legł pod ścianą.

W końcu Dymitr postanowił się odezwać:

– Przymusili mnie do picia – mówił powoli – a teraz jestem durny jak ten baran. – Próbował coś jeszcze tłumaczyć, ale musiały się wspomóc gestem, a jego ręce żadnego gestu wykonać nie mogły, bo i one, pod osłoną ornatu, były związane. Ramiona

Dymitra zadrżały; zwilżył językiem górną wargę i przemówił ponownie. Tym razem przeprosił bezpośrednio własne sumienie: – O moja biedna duszo – wyszeptał z nabożnym westchnieniem – utopiłem cię, utopiłem cię i będę teraz leżał w błocie czarnym, jako i mój ojciec leży pogrzebion w tym mokradle, gdzie się kończy las horyński.

Spuścił ukoronowaną głowę niżej jeszcze i zamknął oczy. Obaj żołnierze mrugnęli do Tobiasa i wyszczerzyli zęby. Ich stupor osiągnął szczyt tępego zadowolenia. Kapitan przez chwilę pomyślał o matce Dymitra, ale nie jego sprawą było mieszać się do tego, zwłaszcza teraz, kiedy cały śmiech już przebrzmiał. „Baba zaraz i tak po niego przyleci” – uspokoił samego siebie.

Szlachcic polski postanowił okazać całą swoją posturę, niewywierającą zresztą wielkiego wrażenia. Z trudnością wyprostował nogi: były gołe aż po kolana, a zaschnięte błoto okrywało stopy niczym dobrze dopasowane kamasze. Odziany był w strój brunatny, przypominający nieco mnisi habit, odcięty poniżej bioder, a jedyną pozostałością wojskowego ubioru był obficie nabijany ćwiekami pas z zatkniętymi trzema sztyletami.

Polak zerknął na muszkiet, wciąż wciśnięty w szeroką szparę pomiędzy luźnymi balami, i widok ten ogromnie go rozsierdził. – Na cóż było nam targać tę parszywą rurę? Ani lontu, ani prochu, niczego zgoła! Czym mamy strzelać? Makiem czy krowim plackiem?

– Miałem dwa wozy prochu... – mruknął Tobias. – Lepiej mówisz po polsku niż którykolwiek z tych Moskwicinów. Jesteś Niemiec, miałem rację, nieprawdaż? – Bosy wojownik popatrzył na kapelusz Kapitana z zazdrością. – Nie – odparł Tobias, prostując się. – Jestem kapitanem regimentu szkockiego w służbie Jego Cesarskiej Mości.

– Niemiec tedy, jako rzekłem. Ale nie ma już twojej Moskiewskiej Mości. Zarzęli go własni ludzie, biliśmy się za ich Cara po nic. W końcu ukradli nasze konie, nasze napierśniki, nasze kobiety, nawet nasze buty i brudne koszule – Polak mówił teraz z gniewem i tupał stopą, strzepując z niej pecynki szarego błota. – Ten durny chłopiek dłużej będzie siedział na tym zgniłym pniaku niżli tamten na swoim tronie ruskim. Powiadam ci, waszmość, trzeba nam było spalić tę całą Moskwę na popiół, pode-rznąć gardło każdego zdrajcy, utopić każdego brodatego popa i... – Tu się zawahał, myśląc, co jeszcze powinien dodać do listy owych straconych okazji.

Jego towarzysz przysłonił twarz dżbanem i chęptał głośno. Tylko przymrużone oczy kiły z polskiego kompana. Kapitan uznał, że sam żywi wobec losu urazę głębiej uzasadnioną i przemówił z wielką żarliwością:

– Panowie, to wina waszych dowódców. Skoro już Polacy postanowili poprzeć pretensje Cara Dymitra, skoro już sprowadzili go z Polski do Rosji, powinni byli postać potężniejszą armię, więcej muszkietierów i więcej pikinierów. A co zamiast tego dali temu biednemu łajdaczyźnie?

Rosjanin odpowiedział z wnętrza pustego dzbana: – Polską żonę, pazerną... – Glina przemieniła resztę jego słów w drwiący gulgot. Tobias plasnął dłonią w pancerz i dobył z siebie głos pełny i namiętny: – Powinniście byli namówić Carewicza, żeby dał specjalny patent zawodowcom takim jak ja, a my zebralibyśmy parę tysięcy leniwych chłopów i zrobili z nich piechotę. Ja sam, panowie, mając obsadzony w pełni regiment, utrzymałbym nie tylko twierdzę, ale i powiat cały. Ci północni jeźdźcy walczą niczym Tatarzy, nie mają pojęcia o prawdziwej sztuce wojennej. A ich maszyny, te malowane, chwiejne wieże i podwójne ostrokoły, jakiz z nich pożytek? Ale Jego Cesarska Mość ani spojrzał na moje plany...

Dwaj uciekinierzy nie byli zainteresowaniami wynalazkiem Kapitana. Nie dbali też szczególnie o subtelności taktyki wojskowej. Ilekroć Tobias podnosił głos, kiwali tylko posępnie głowami, zadziwieni być może jego wymownością w języku dlań obcym. Tymczasem słońce upstrzyło tylną ścianę chaty i rozczesywało czarną brodę Iwana Iwanowicza, który, bez śladu życia na napuchniętej twarzy, ciężko napierał ogromnym ciałem na omszałe bale. Dymitr przestał już opalać swoje obute w tyko stopy, popołudniowe cienie wpełzły bowiem przez drzwi i ugasiły karmazyn pasa oraz błyski na rąbkach ornatu. Tylko charkot dobywający się z jego szeroko rozwartych ust przeszkadzał ceniom w sprawowaniu cichych egzekwii za światło dnia.

Pomiędzy drugim a trzecim dżbanem Kapitan niezobowiązująco zagadnął o swoich zagubionych Szkotów, ale Polak w ramach współczucia uraczył go opowieścią o własnych sługach, którzy tak niewdzięcznie uciekli wraz z końmi swego pana, że gdyby Bóg Jedyny ofiarował mu przyjemność wymierzenia kary, kazałby odcinać te tchórzliwe nogi tępym toporem, by dobitniej wpoić naukę o powinnościach. Miód rozgrzał krew Kapitana lepiej niż słońce czerwcowe, ale szorstka melodia chrapania wsączyła w jego duszę melancholię, melancholia zaś z kolei trąciła struny warg, które zaczęły formować powolne, nieskładne słowa opłakujące los żołnierzy, przeklinające klimat bagien i opowiadające o bogactwach dalekich ziem, sprzedawanych Diabłu za bezdurno.

Obojętni wprawdzie na wojenne doświadczenia najemnego Kapitana, zagubieni żołnierze zgadzali się jednak z jego argumentami o wątpliwej wartości łupów i podawali nawet konkretne przykłady, z których jeden, co ciekawe, wciąż można było sobie obejrzeć na głowie chłopka.

– Tę koronę – powiedział Polak – znaleźliśmy na głowie jednego z tych poharńskich świętych, którym Moskwicini składają złoto i srebro. Widzisz, Kapitanie, jam człek pobożny i katolickiego kościoła nigdy bym nie obrabował. To zostawiam tym dwóm zbłąkanym heretykom, którzy przekonali mnie, bez wątpienia za poduszczeniem samego Diabła, żebym jechał z nimi na południe. Mówili, że mają majątek pod Starodubem, gdzie, mówili, mógłbym odpocząć i poczekać z moją czeladzią, aż zamęt przeminie...

Rosjanin się sprzeciwił, Kapitan nie wiedział jednak, czy chodziło o drogę ucieczki, czy o skradzioną koronę, tamten mówił bowiem prędko i połykał słowa. Jedno wszakże Tobias usłyszał dokładnie:

– Mój wuj, cóż... Ledwie wszedł do swego dworu, wuj biedaczysko zakrzyknął: „Carl!” i pobiegł na dziedziniec. Zaklinał się, że widział ducha zarżniętego Cara i że, z obawy przed zdradą, nie zostanie ani godziny w tym dworze, tylko rusza z nami do kuzyna mieszkającego na Bagnach...

– Kuzyn! – wybuchł Polak. – Jeszczem tego kuzyna nie widział! Ale widziałem was, heretycy, jakeście wygnali biednego księdza, naszego księdza, z jego kościoła! Zabraliście mu wino i ornat, i kantora, bo ten tłusty wieprzek, twój wuj, powiedział, że lubi śpiewanie. A kantor, Kapitanie, nie mógł patrzeć na ornat w łapskach pijanych Moskwicinów; wymknął się pierwszej nocy, kiedyśmy stanęli w oberży, po czym go znaleziono w zagajniku z brzuchem rozprutym kłami odyńca.

– Ej, słuchaj, panie, tego bekającego jezuitę! – wykrzyknął oburzony Rosjanin, zbyt wszakże znużony, by wszczynać walkę. – Tegoż samego poranka węszył jak łasica za monastylem z naszymi świętymi rosyjskimi krzyżami na kopułach. Znalazł, bez choćby jednego mnicha, bo wszyscy ubieżeli, kiedy pierwsi Polacy przyjechali z Carem. Tak, włamał się do kaplicy i porwał tę koronę z głowy świętego. Więcej nie zabrał, bo go chłopci pogonili.

– Posłuchaj no, Kapitanie – Polak złapał go za pas – ci Moskwicini okłamują nawet swoje bałwany. Kiedy chciałem sprzedać koronę Żydowinowi po tej stronie Dniepru, powiedział, że to mosiądz jeno, wart mniej niż para niemieckich rękawiczek. Nie wiem, czemu ją zatrzymał, może sądziłem, że przeistoczy się w złoto, kiedy księżyc się odmieni. Wszyscy oni łgarze, każdy Moskwicin łgarz. A co do tego tłustego wieprzka – wskazał ścianę, na której tle czarna broda błyskała teraz, jakby ją utkano z czystego złota – nie wierzę, żeby miał w Polsce kuzyna. Szukał tylko wymówki, żeby się ukryć w naszym kraju...

– Wy nas wpakowaliście w tarapaty, wy! Na cóż przyjechaliście z naszym Carewiczem? – Rosjanin cisnął pustym dżbanem o deski podłogi, rozbijając go, aż Dymitr podskoczył na swym królewskim pniaku i rzucił się gwałtownie, ale nie zakłóciło mu to snu. W tej chwili przez drzwi zajrzała matka chłopaka i ujrzawszy przekrzywioną koronę i szatę, uklękła w trawie, nie śmiejąc przyrzeć się jego twarzy.

– O, Najświętsza Panienko – zawodziła, kołysząc się na klęczkach. – Król z Krakowa przybył we własnej osobie, żeby pomodlić się pod Chrystusowymi rusznikami w naszej żałosnej krainie.

Zanim Tobiasowi Hume’owi udało się zbudzić chłopaka, kobieta wstała i pognała przed siebie. Jej chusta łopotała w słońcu, aż znikła w białej kępie drzew.

Żołnierze wybuchnęli śmiechem i wkrótce miód rozcierńczył kłótnię dwóch sojuszników. Dzbany z grubej gliny przywróciły pewność nogom i ramionom. Jeden przez drugiego rozprawiali głośno o plagach owego nieszczęsnego roku tysiąc sześćset szóstego, którego nie godzi się zwać Pańskim, ale raczej początkiem panowania Szatana, co każdą z gorejących piekielnych godzin powierzył złodziejom i zdrażliwym sługom. Opowiadali ze straszliwymi szczegółami, jak Moskwicini nocą zaatakowali nowego Carewicza w jego Cesarskim zamku, jak wyskoczył z okna i połamał sobie członki, jak strażnicy zostawili go na łasce buntowszczyków. Polak przypomniał sobie nagłą falę mrozu po śmierci Cara:

– Mróz w maju! – krzyknął, wybałuszając oczy na Kapitana. Tobias Hume słuchał uważnie i zadawał pytania, w owym czasie bowiem nie było go w Moskwie. – Więc pierzchliśmy wszyscy jako te zające – podsumował Rosjanin.

– Ja też uciekłem z mojego obozu – dodał Tobias i zadziwiło go, że wstyd nie zabarwił mu uszu purpurą. Gdzieś między myślami błąkała się krucha nadzieja, że dziewięćdziesięciu Szkotów nie było na tyle głupich, żeby bronić się do ostatniego człowieka. I tęsknił za dalekim echem choćby jednego wozu, którym by furmanił jakiś anioł fortuny, oby z tych praktyczniejszych i obdarzonych niejaką orientacją w przestrzeni.

– Wody! – doszedł ich zdławiony głos z kąta chaty. Brzmiał tak odlegle, jakby doleciał aż z bitewnego pola wypalonych ziem Bezcarstwa Moskiewskiego.

Mignęły w tę i nazad żółte pludry: dżban błotnistej wody został przytknięty do brody bojara. – Nie wolno mu tego pić. Może się zatruć – powiedział Kapitan.

Kochający siostrzeniec zawahał się, a kiedy wuj ponownie zawałał wody, machnął tylko dżbanem do tyłu i w przód: oblał całą twarz bojara, aż sztywne rysy zaczęły tajać, przybierając pogodny wyraz. Również Dymitr dotarł do końca swej sennej podróży: nie wołał, żeby go napoić, wymówił tylko jedno słowo, słowo nader wyraźne: „Materńka”. Także i ono brzmiało, jakby doleciało z odległego pola bitewnego gdzieś na pustkowiach snu.

Dwie pary przebudzonych oczu gapiły się na siebie nawzajem. Iwan Iwanowicz Nikityn otworzył usta, a potem zamknął je z kłapaniem szczęki i nim na powrót rozwarł wargi, jego trzęsąca się dłoń rzuciła na tułów szeroki znak krzyża.

– Na Matkę Świętą w niebiesiech wysokich... Znowu przyszedł, żeby dręczyć moją grzeszną duszę... Wody! Wody!

Tym razem siostrzeniec nie wybiegł; pomyślał, że jeden czy dwa łyki miodu przepłuczą gardło wuja i przemyją jego zeszlone oczy. Nikityn, powąchawszy napój, poruszył potężnym nosiskiem, po czym spojrzał w górę na siostrzeńca z wymówką. Utkwił małe, czarne oczka na niższej z brodawek Dymitra i podrapał się po brodzie długimi, brudnymi paznokciami; druga brodawka co rusz znikła pod zwilżającym wyschnięte wargi językiem chłopaka, wysuwającym się co chwilę jak u węża.

Bojar chyłkiem otarł oczy, a potem spróbował się podnieść: dźwignął się i znów upadł, rozrzucając nogi szeroko.

– Chcecie wstać, wuju? – zapytał, schylając się, siostrzeniec.

– Nie – odparł Nikityn i przyglądał się chłopakowi, wciąż od nowa i od nowa licząc brodawki i mrugając oczami zgodnie z rytmem, w jakim poruszał się język Dymitra. Gruby Rosjanin nie mógł mu w tym dotrzymywać kroku zbyt długo. Powoli przy-mknął powieki i oparł się o ścianę, modląc się po cichu o wskazówki.

Tobiasowi żal się zrobiło myśli kłębiących się pod tym pobrużdżonym, niskim czołem i zwrócił się do Iwana Iwanowicza tonem

na tyle przyjacielskim, na ile pozwalał mu jego polski akcent w rosyjskiej mowie:

– Wasza Miłość, to jest chłopek z pobliskiej chaty. Napotkałem go przypadkiem, przybywszy tu dziś rano.

Nikityn nie otworzył oczu, by przyrzeć się człowiekowi o tak wykwintnych manierach. Zamiast tego pochylił głowę, tak przyjmując pełną szacunku przemowę, i zapytał, uważnie dobierając słowa:

– Szlachetny panie, czy byłbyś gotów przysiąc na mój krzyż, gdybym go wciąż miał na szyi... Bo nie mam go, jak pan widzisz, jako że mi go skradziono, kiedym zasnął w chłopskiej łódce w czas naszej ucieczki przez Dniepr... Czy byłbyś pan, powtarzam, gotów przysiąc, że ta siedząca naprzeciwko mnie zjawia jest teraz twą własnością i była twoim rabem przez ostatnie dwa dni i dwie noce?

– Tego dokładnie, Wasza Miłość, potwierdzić nie mogę – odparł śpiesznie Tobias.

– Ha, widzisz! – wykrzyknął Nikityn, otwierając oczy i klepiąc się po grubych udach. – Napęlnia mnie to żałością i przerażeniem. Nie jest twoim rabem.

– Ja niczyj nie jestem! – zawołał chłopak i z paniką w oczach zaczął błagać Kapitana o pomoc. Tobiasowi przemknęła przez głowę iskierka pomysłu. „Zobaczymy, jak się to wszystko rozwinie”. Jego myśli zwróciły się teraz ku jakiemuś niejasnemu celowi.

Polak dobrodusznie postanowił ułagodzić bojara i opisał całą maskaradę od momentu, w którym miód przyprowadził Iwana Iwanowicza o nagłe zeszytnienie. To tylko wstrząsnęło Rosjaninem, tak że jął okazywać swojemu słowiańskiemu bratu pogardę na najróżniejsze kwieciste sposoby.

Siostrzeniec pośpieszył z ostrożniejszymi wyjaśnieniami, ale i one nie pomogły. W końcu sam kmiotek począł wylewnie błagać o uwolnienie, ale zaprzepaścił swoje szanse jedną niefortunną dygresją. Przez gadulstwo biorące się ze strachu i z wypitego miodu opowiedział, co mu się zwidziało w pijackim śnie:

– Stałem przy oknie w dziwnym zamku zbudowanym z drew drogocennych. I słyszałem, jak wielu ludzi wiele razy wymawiało moje imię, słyszałem je dokoła, pod oknem na dziedzińcu, nawet w górze, w rozgrzanym niebie. Widziałem błyskające topory i piki wysokie, a w ciele moim ognie płonęły jak spadające gwiazdy. Było mi ciepło, ale drżałem, była jasność, a ja czułem w oczach noce najciemniejsze, wielu mnie opłakiwało przyjaciół, choć ni jednego szczerego przyjaciela nie miałem. Byłem samotny i osierocony, a w dole, pod oknem, ziała na mnie otchłań pełna gadów. Skoczyłem w tę otchłań i poczułem ból w każdym członku mego ciała. I wszystko, i zamek, i noc, i samo niebo, stało się krwią. Śniło mi się, że umarłem.

Kiedy skończył, dysząc ciężko, wyczerpany wspomnianiem koszmaru, nikt w chacie nie ośmielił się na niego spojrzeć, nawet szkocki stoik Kapitan Tobias Hume. W mglistym zmierzchu wisiało przecucie dziwnych wydarzeń, które miały dopiero nadejść.

Iwan Iwanowicz, skulony w kącie przy nietkniętym dzbanie miodu, zęgał się tak często i w takim obłędzie pośpiesznych gestów, jakby dzwony Sądu Ostatecznego biły na każdej drewnianej dzwonnicy jak Bagna Prypeckie długie i szerokie.

A potem w zapadłej ciszy Tobias Hume podszedł do rozdygotanego bojara, podniósł go i wyprowadził niczym ogromne dziecko z chaty prosto na łąkę, gdzie stary krzyż strzegł czarnych haftów człowieczego strachu na obrzędowych rusznikach.

– Powiadam wam, to zwykły wiejski chłopak. – Kapitan zapomniał dodać pochlebczego zwrotu „Wasza Miłość”. – I mówię, że jest wolny.

– Nie ma wolnych chłopów, dobrze to wiesz, cudzoziemcze.

– Najwyraźniej znalazłoby się jeszcze paru w Królestwie Polskim. A w każdym razie w tym opustoszałym powiecie.

– Nie rozumiesz, cudzoziemcze? Car nie umarł. – Po opuchniętej twarzy bojara toczyły się łzy.

– ...i wstąpił w ciało tego głupiego wieśniaka – zaśmiał się ironicznie Kapitan.

– Czemu nie? – odparł Nikityn. – Skoro człowiek może się zmienić w wilkołaka, to czemuż Car, który jest obrazem Boga na tej bezbożnej ziemi, czemuż Car, że powtórzę, nie miałby zmartwychwstać w przebraniu wieśniaka, najniższego spośród wszystkich stworzeń, które Pan Bóg obdarzył duszą nieśmiertelną?!

– Cóż – myśli Kapitana nie były już niejasne – lepiej powiem Waszej Miłości, że ten chłopak Dymitr, zapytał mnie dziś rano z własnej nieprzymuszonej woli, czy mógłby wstąpić do mojej służby. Jestem Kapitanem i, jak wiecie, mam prawo werbować każdego napotkanego mężczyznę, byle był wolny i chętny.

– Ile za niego chcesz, Kapitanie? – wyszeptał Rosjanin, nachylając się do jego ucha.

– Później o tym pomówimy, Wasza Miłość.

– A on nie ucieknie, prawda, Kapitanie?

– Ha, możemy postawić przed chatą wartę.

– Mój siostrzeniec jest na twoje rozkazy.

– Wielce zobowiązany, Wasza Miłość. – Bojar poczłapał z powrotem do chaty.

Matka Dymitra musiała szukać syna w każdej kępie łożynowej i w każdej brzezynie, bo zjawiła się w chacie późno, kiedy księżyc zdążył naostrzyć berdysz bojarskiego siostrzeńca. Nie wpuścił jej. Przyprowdziła ze sobą krowę i przyniosła Kapitanowi violę da gamba. Tobias wyszedł po instrument, a wtedy mu powiedziała:

– Jeśli zabiliscie mojego sokolika, oddajcie mi jego ciało. Tu macie biedne bydłatko, niedojone jeszcze, weźcie, zarznijcie, zjedzcie, ale oddajcie mi mojego Dymitra, na pięć ran Chrystusowych, oddajcie mi go.

– Nic mu nie jest, kobieto. Rano zobaczysz się z synem. Zabierz krowę do szopy.

– O, mój sokoliku!

– Śpi, mówię ci. Idź do domu. – I Kapitan wyminął trzymającego straż żołnierza, ciągnąc violę da gamba po mchu oblanym księżycowym światłem.

Wewnątrz chaty Tobias znalazł swój cenny towar siedzący samotnie pod szeroką i migotliwą dziurą w dachu. Dzieliła ich cisza, równie trudna do przełamania, co srebrna krata księżycy na dachu chaty.

– Chcę się zobaczyć z matką – powiedział Dymitr nadąsanym, dziecinnym tonem, bawiąc się mosiężną koroną.

– Nie masz matki, chłopcze, nie masz żadnej matki, rozumiesz?

Znów zapadła cisza, wypełniając każdy gliniany dzban bezwonną trucizną. Gdzieś na zewnątrz skrzypienie kół zaczęło powoli zakreślać lesiste granice odległości.

– Wozy! – krzyknął Kapitan i rozwarł drzwi szeroko. Przebiegł obok krzyża i lecąc przez zarośla, omiatał szerokimi rękawami gibkie gałązki, niewiele dbając, czy sparciała skóra jego butów poradzi sobie z tym ostatecznym wyzwaniem. Jego serce odtańcowywało gigę coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie posłyszał miękki, szkocki akcent.

– To ja, wasz Kapitan! – zakrzyknął do pierwszego z wozów.

– My nie żołnierze, my kupcy – odparł znużony głos do wtóru uderzenia batem. Koń zarżał, potrząsnął grzywą i jął, jak się zdawało, skubać światło księżycowe z wyboistej leśnej drogi.

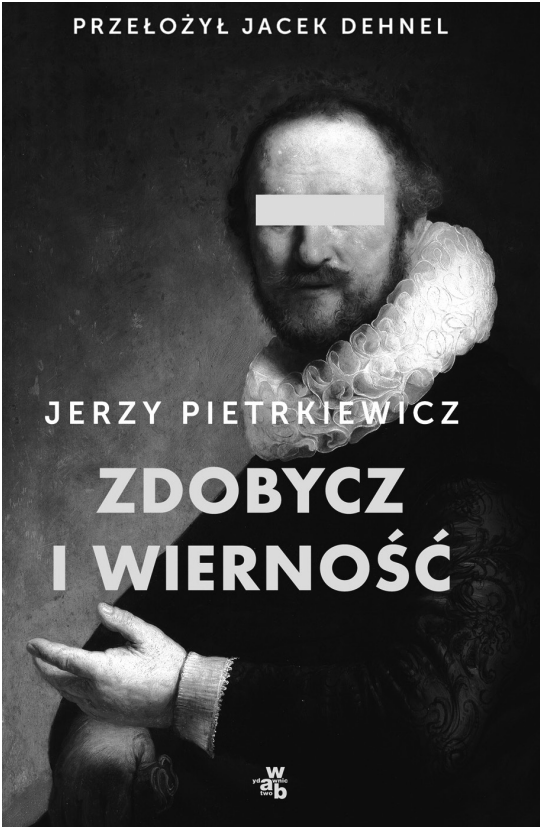
– Wieziecie może futra i skóry? – zapytał Kapitan, biegnąc wzdłuż rzędu wozów. Nie był ciekaw, czym handlują, chciał po prostu usłyszeć, dla przyjemności własnych uszu, jak ktoś się doń zwraca w rodzinnej mowie.

– Ano, mieliśmy szczęście, że ocaliliśmy własne skóry, Kapitanie. Car Dymitr nie żyje, ale Święty Andrzej dzielnie nas bronił i opuściliśmy bramy tej jatki, którą Diabłu podobało się nazwać Moskwą. A, Kapitanie – ciągnął miękki głos – wiecie może, kędy najkrótsza droga do majątku mości Seton-Setońskiego?

Jacek Dehnel | ur. 1980. Poeta, prozaik, tłumacz m.in. Philipa Larkina i F. Scotta Fitzgeralda. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (2005).

.....

Zdobycz i wierność Jerzego Pietrkiewicza w tłumaczeniu Jacka Dehnela
ukaze się nakładem wydawnictwa W.A.B. 18 kwietnia 2018.



Mieczysław
Machnicki

Ruch jest wszystkim

Mieczysław Machnicki | ur. 1943. Poeta, prozaik. Ostatnio ogłosił książkę poetycką *Żeby rzecz zwaną rzeką uznać za skończoną* (2017).

Jeśli gdzieś usłyszysz trąbkę, wygrywającą dziarskie marsze, bawię się ołowianymi żołnierzami do ostatniego bohatera w okopie. A jeśli zabrzmi skorelowany z czerwonym światłem sygnał strażackiego wozu, wyciągam krótką sikawkę i leję, leję, nie omijając ścian i rodowych portretów. Policyjna buda, wymuszająca pierwszeństwo ruchu też potrafi poczynić niezłe spustoszenie w moim arsenale. Pierwszy wypada z rąk bębenkowy rewolwer, najdłużej i najdalej lecą pociski z poradzieckiego erkaemu na taśmę. Oszczędzam tylko karetki ratunkowe, od dzieciństwa mam słabość do pielęgniarek w białych kitlach. Niezłe są też studentki akademii medycznej. Kolega z pracy opowiadał mi, że one robią to sobie pięcioma palcami, chłonne głębokiego przeżycia.

Wszystko więc, co się tylko rusza, ma we mnie wielkie zrozumienie. Niech za plecami przystanie szefowa, a już spostrzegam unieruchomionego na podłodze bąka, którego trzeba tylko nakręcić, by jak słońce zaczął okręzać ziemskiego robaczka. Przywołuję wzrokiem kolegę, ten bąka zachodząc od tyłu, uruchamia go mocnym pstryk! pstryk! – Brzydzy chłopczy! – śmieje się szefowa. Po co ja tu was trzymam? Wiem, wiem, mam ciężkawy tyłek, nim zdążę nim poruszyć, po kadrowej ani widu.

Dobrze jest mieć domyślną szefową, która w gabinecie ma jeszcze na biurku grubawy przycisk do papieru. Jeśli tylko z kolegą usłyszmy przez drzwi rozkoszne szuru-buru, nie mamy złudzeń, że masuje nim piersi. Jak zawsze w pewnej chwili przywoła nas i zażąda: – Zabierzcie ze mnie tę paskudną czarną muchę!

Oczywiście, jesteście mężczyznami i się boimy. Płochliwie zadajemy pytania. Czy ona gryzie? Czy aby nie ma AIDS? Nie unikamy pytań intymnych. Czy ma w poprzek czy wzdłuż? Ile nie dopiła krwi? Czy było przyjemnie? Jak skurwysyn, dyszy szefowa. Trudno poznać, czy to aprobatą, czy negacją.

Tak i ja nie wiem, co oznacza moja awersja do wysokich budynków stojących zawsze w jednym miejscu, czy to niechęć

do kobiet, którym pracują tylko ręce z papierosem, kiedy pod latarnią nieruchomo wyczekują na partnera. Czym jest spojrzenie, którym z przejeżdżającego pociągu niechętnie obrzucam zatrzymujące się pod opuszczonym semaforem ogromne tiry.

Nie wierzę, że to wina ojca, który zanim uderzył, ścigał mi spodnie. Ani wina matki, która zanim przytuliła, zdierała ze mnie koszulę. Ani wina kwiatów, które nim na dobre zazeleniły się w wazonach, zdążyły już żółknąć. Żżż, szyderczo syczy przelatująca pszczoła i za to ją kocham. Szszsz... Spieprzaj, szyszko, głupio spadasz.

Po pracy wracam do domu i nasłuchuję. W dzieciństwie lubiłem, jak sąsiad za ścianą przeszukiwał pokrętłem skalę radioodbiornika „Pionier”, by z jednej wrogiej stacji wpaść na drugą, wyraźnie wrażą. Ledwie przestał w Madrycie kazać Józef Łobodowski, już z Monachium rozlegał się płaczliwy głos Józefa Ptaczka. Razem z Józefem Stalinem tworzyli niezłą paczkę, gdy sąsiad przypadkiem trafił na groźną moskiewską falę. A ja z biednej wsi sowieckiej przenosiłem się za jednym zamachem na ciut bogatszą, pod „Wiesławem”, wieś polską. I tak rosła we mnie potrzeba rewolucyjnej zmiany, która dziś pozwala mi nade wszystko cenić ruch, czyli główną zasadę życia.

Dziś wprawdzie potrafię zza ściany wyłović pstryknięcie palcem w guziczek na pilocie, ale za tyle ruchu zamiast TVN24 mam tylko TVP Info. A tu i tam to samo, tylko odwrotnie. Ruch jednostajnie przyspieszony. Rozpryskująca się bomba, unoszący się nad budynkiem czarno-czerwony dym, maszerujący z pieśnią na ustach (Włochy) lub kamieniami w rękę (nasza suwerenna Polska) tłum bezrobotnych. Najbardziej nie lubię, gdy kamień zatrzymuje się na piersi policjanta i dalej nie polec. Gdy stłumiony ogień wsiąka w wypalone deski i już nie buchnie płomieniem na sąsiednie budynki. Gdy walcząc o życie na wzburzonych falach, topielec zostaje wyciągnięty z morza i nie można od niego uwolnić noszy.

Słyszę świdrujący uszy sygnał karetki pogotowia i jestem w siódmym niebie. Przechodzę do sąsiedniego pokoju. Wkładam biały fartuch i gazową масечkę na usta. Nocną lampką wywiercam w prześcieradle dziurę mocnego światła. Na stole rozkładam ratujące życie przyrządy. Młotki, obcęgi, piły. Śruby, gwoździe, pinezki. Zwoje cienkiego i grubego drutu. Stal, miedź, aluminium. Siostró, proszę cement. Służę, panie doktorze.

Za chwilę tu będą. Niech tylko nie czekają, aż wyjdę i zaproszę. Niech zaczną walić w drzwi, niech je wyrwą z zawiasów i futryn, a gdyby się nie udało, niech bryłę światła ruszą z posad. Najważniejszy, proszę zapamiętać, siostró, jest pacjent w stanie agonii.

Kazimierz Orłóś

Tworki

Kazimierz Orłóś | ur. 1935. Pisarz, scenarzysta, dramaturg, publicysta. Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1970). Związany ze środowiskiem „Zapisu”.

W kwietniu 1963 r. zacząłem pracę jako asystent do spraw socjalnych w szpitalu psychiatrycznym, czyli w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Tworkach pod Warszawą. W otrzymaniu tej pracy pomogła doktor Waleria Jarzębińska, z którą moja matka przyjaźniła się i utrzymywała kontakt, jeszcze od czasów Poradni Zdrowia Psychicznego dla Dzieci na Dolnej, gdzie obie pracowały w latach pięćdziesiątych. Zdaje się, że szpital szukał kogoś do załatwiania spraw pacjentów, zwłaszcza wychodzących po dłuższych pobytach i próbujących wracać do normalnego życia. Potrzebna była pomoc prawnika przy uzyskaniu rent lub emerytur, ewentualnie w znalezieniu pracy, a nawet czasami mieszkania. Trzymiesięczny okres kontaktu ze szpitalem był dla mnie doświadczeniem niezwykłym, jako – przede wszystkim – zetknięcie się z bezmiarem ludzkiego nieszczęścia.

Do Tworek zacząłem jeździć kolejką EKD z Nowogrodzkiej. Rano brałem udział w odprawach lekarzy. Prowadził zebrania wieloletni dyrektor Szpitala, doświadczony psychiatra, doktor Feliks Kaczanowski. Później, w ciągu pierwszego tygodnia, w białym fartuchu, przydzielany ordynatorom kilku oddziałów, poznawałem szpital i pacjentów. W pierwszych dniach towarzyszyłem doktorowi Jerzemu Fiutowskiemu. Był ordynatorem Oddziału dla mężczyzn. Chyba dopiero po dwóch tygodniach zacząłem załatwiać konkretne sprawy, występując w imieniu pacjentów w różnych urzędach w Warszawie. Oto notatki, jakie prowadziłem w tym czasie.

Pierwszy dzień, poniedziałek. Schizofrenik, były UB-iak. Jak wyjaśnia doktor Fiutowski, podczas przesłuchania, w latach pięćdziesiątych, zabił człowieka. Błądy, ponury, oczy niebieskie,

robią wrażenie też bladych. Niedługo ma opuścić szpital i wrócić do żony i dzieci. Jest rencistą. Choroba rozwinęła się na tle wspomnień o morderstwie.

Drugi, z którym rozmawia doktor. Przywieziony tej nocy, po kolejnej awanturze, jakie robi żonie. Także były funkcjonariusz UB, przedtem żołnierz Pierwszej Dywizji Kościuszkowskiej. Ciężki charakteropata. Powołuje się na liczne znajomości: z profesorem K., wicepremierem J., używa w rozmowie frazesów i górnolotnych sformułowań. „Zbrodnia w majestacie prawa”, „Jestem ofiarą zbrodniczej intrygi”. Ma podobno wyższe wykształcenie. Pod koniec rozmowy pyta doktora: „Czy będę mógł uściśnąć pana dłoń?”. „Zaoszczędzimy to sobie” – odpowiada doktor Fiutowski. AK-owiec, inwalida. W 44., w Powstaniu, stracił rękę. Jest znanym psychiatrą. Słyszałem o nim od matki.

Drugi dzień. Oddział dla niespokojnych. Nazwisko Skwarek, podsądny w jakiejś sprawie. Bardzo niespokojny. Ciągłe próby ucieczek. Leży przywiązany do łóżka (ręce skrupowane w prze-gubach). Cały czas krzyczy do lekarza: „Panie doktorze, panie doktorze, panie doktorze!...” Pod drzwiami oddziału bez klamek czeka na niego ojciec.

Dwóch, w małym pokoiku na końcu korytarza. Jeden w łóżku, na stopach brudne skarpetki. Lekarz rozmawia z drugim, przy oknie. Wydaje mi się, że poznają kolegę z Reytana, ze starszej klasy. Schizofrenia paranoidalna. Opowiada doktorowi o swojej siostrze. Ma wyrzuty sumienia, że źle się z nią obchodził. Siostrę zabili Niemcy. Przed wyjściem z pokoju lekarz pyta, czy czegoś nie potrzebują? Ten pod oknem chciałby czytać

książki, najchętniej poezje, na przykład „Dziady” Mickiewicza, a także „Urodę życia” Żeromskiego. Wtedy ten drugi odzywa się: „<<Uroda życia>>, <<Uroda życia>>. Bardzo dobra rzecz. Jest w bibliotece Oddziału”. Wychodzimy, podczas gdy oni zaczynają rozmawiać o „Urodzie życia”.

W sąsiednim pokoju stary człowiek na łóżku. Nieogolony, zarośnięty. Demencja padaczkowa. Coś wykrzykuje od rzeczy. Obok trzech chłopaków. Jeden śpiewający, dwóch przy stole. Nie zwracają na nas uwagi.

Znów asystuję przy rozmowach doktora Fiutowskiego z pacjentami. Żołnierz z manią samobójczą. Stan ciężkiej depresji. Jakby niechętnie opowiada swoją historię. Zakochał się w dziewczynie ze swojej wsi. Ona także pokochała jego. Ponieważ był biedny, rodzice dziewczyny wydali córkę za młynarza. To stało się dla niego, jak mówi, punktem zwrotnym w życiu: wszystko straciło sens, załamał się zupełnie. W dniu, kiedy dziewczyna brała ślub z młynarzem, usiłował po raz pierwszy popełnić samobójstwo. Obcy ludzie uratowali go – odciągnęli z szyn, sprzed nadjeżdżającego pociągu. Potem wyjechał na Śląsk, pracował w kopalni. Kiedy odwiedził swoją wieś i spotkał się potajemnie z żoną młynarza, został ciężko pobity. Stracił przytomność. Później był w wojsku. Tam po raz drugi próbował popełnić samobójstwo. Dlatego trafił do Tworek.

Trzeci dzień. Oddział dla kobiet. Idę na obchód z doktor Jarzębińską. Jest ordynatorem Oddziału. Kiedy wchodzimy, po otwarciu drzwi uderza zaduch i zapach moczu. W sali, gdzie leżą najbardziej niedołożne, stare kobiety (w ogóle nie wstają), zwracam uwagę na tę, która leży na trzech zsuniętych łóżkach. Jest pobudzona, niespokojna – z pojedynczego łóżka stale spadała na podłogę.

Pora obiadu. W sali obok siedzą przy stołach kobiety, które jeszcze mogą chodzić. Czekają cierpliwie. Pomarszczone twarze, załamane oczy, bezzębne dziąsła. „Te, które leżą, załatwiają się pod siebie” – mówi lekarka. „Nic już do nich nie dociera”.

W sali dla wyjątkowo pobudzonych. Młoda epileptyczka krzyczy do mnie: „Panie doktorze, zabierze mnie pan do Meksyku?”. Hebefreniczki, bardzo podniecone, cały czas w ruchu, chodzą, śpiewają. Stoimy przez chwilę w kole, otoczeni przez kobiety. Niespodziewanie jedna z nich kładzie ręce na moich plecach i przytula się. Mam wrażenie, że nie ma wśród nich żadnej ładnej, przystojnej, o miłej twarzy. Psychiczne choroby szpecą. A jednak: w jednej z sal na piętrze widzę bardzo piękną dziewczynę. Siedziała na stołeczku, pod oknem. Zdawało mi się, że popatrzyła na mnie. Później nie zapytałem o nią. Kim była? Dlaczego znalazła się w Tworkach? Nie wiem.

Szósty i siódmy dzień. Pawilon pierwszy, tak zwany Oddział Insulinowy. Zwracam uwagę na pacjenta, który podczas obchodu cały czas chodzi za nami. Staje tak, aby lekarka go widziała. „Co pan chce?” – pyta w końcu. „Kiedy będę mógł wyjść?” – odpowiada.

Inny: mały, z brodą, w zielonej czapeczce ze zwiniętej chustki. Przypomina mykę. Semickie rysy. Dowiaduję się potem, że milicja zatrzymała go na ulicy, kiedy wykrzykiwał coś bez sensu. I tutaj, chodząc za nami, cały czas o czymś mówi. Mam wrażenie, że to wspomnienia wojenne, ślady wojny. „Co to kogo obchodzi, czy ktoś jest Żydem, czy nie?” – zapamiętałem. „Przecież wszyscy jesteśmy równi, wszyscy jesteśmy ludźmi”.

W jednej z sal leży na łóżku młody mężczyzna po zastrzykach insulinowych i przebudzeniu. Ręce w przegubach przywiązane. Gruby, błady i spocony. Jego chrapliwy śmiech, coś wykrzykuje, wykrzywia się. „Ty skurczybyku!” – mówi do pielęgniarka.

Znów asystuję przy rozmowach z pacjentami. Chłopak włóczęga, tramp przywieziony do szpitala po awanturze z milicją. Słucham jego opowieści i myślę o opowiadaniach Londona. Podczas wojny stracił rodziców. Po wojnie włączył się po całym kraju, kradł, trzykrotnie uciekał za granicę. Teraz szpital nie chce go trzymać dłużej. Jest normalnym młodym człowiekiem, raczej ciężko skrzywdzonym przez los.

Tu uwaga poza notatkami. O ile pamiętam, z „trampem” spotkałem się potem już w Warszawie. Zdaje się, że jako asystent do spraw socjalnych i przedstawiciel szpitala usiłowałem znaleźć dla niego pracę i miejsce w hotelu robotniczym. Pamiętam spotkanie na Polach Mokotowskich. Przyniosłem mu spodnie, które zaraz nałożył, ściągając stare i podarte. Jeszcze coś z ubrania, trochę produktów. Mam wrażenie, że poza tą doraźną pomocą niewiele dla niego załatwiłem. Nie miał dowodu, nigdzie nie był zameldowany i pewno chciał zaraz wracać na „szlak”, to znaczy znów wyruszyć pociągiem towarowym, kryjąc się przed kolejarzami. Byłe dokąd, byle dalej. Wracam do notatek.

Oddział XIV. Poznaje historię człowieka, który co pewien czas wychodzi z domu i wędruje przed siebie. Idzie tak przez dwa tygodnie, nie zwracając niczyjej uwagi, ponieważ zachowuje się normalnie. Jak obcy, zajęty swoimi sprawami. W końcu zawsze następuje przebudzenie, ale ten człowiek nic nie pamięta. Nie wie, skąd się nagle znalazł w zupełnie nieznanym miejscu ani jak ma wracać do domu.

Jeszcze inni, zapamiętani z pierwszych tygodni. Stary człowiek, umierający w pawilonie dla gruźlików. W nocy miał krwotok, pluł krwią. Pod łóżko, tu gdzie stopy, wsunięte krzesło. To sprawia, że leży z nogami uniesionymi, co podobno przynosi ulgę. Kiedy stajemy przy nim, podpira się na łokciu i przez chwilę kaszle. Widzę jego bezzębne dziąsła. Na nas nie zwróci uwagi. Lekarka mówi, że z dnia na dzień spodziewają się jego śmierci. Płuca ma doszczętnie podziurawione. „Takich najczęściej zabiera wiosna”.

W innej sali na wpół głuchoniemy młody mężczyzna, który uczy się poprawnie mówić i pisać. Jest analfabetą. Z dumą pokazuje nam swoje obrazki i zeszyt, zapisany dużym, dzieciennym piśmem.

I jeszcze ten, którego odwoziłem po badaniach do Oddziału położonego trzy kilometry od Tworek. Był to Oddział dla

przewlekłe chorych, połączony z gospodarstwem rybnym. Jechaliśmy małą bryczką, którą ciągnął siwy konik. Powoził milczący furman – też pacjent. Asystowałem jako przedstawiciel personelu szpitalnego. Odwożony po badaniach mężczyzna – w średnim wieku, nieogolony, w szpitalnej piżamie – miał podobno manię samobójczą. Ostatnio przytapywano go nad wanną pełną wody. Obawiali się, że chce się utopić.

Jechaliśmy powoli, kolebiącą się bryczką, w deszczu, groblami, między stawami, po których pływały kaczk. W milczeniu, bo ani furman, ani odwożony pacjent nie odzywali się. I ja milczałem. Zapamiętałem milczenie obu, sapanie odwożonego, jego niepokój, który wyczuwałem. Ten sam milczący furman odwiózł mnie potem pod budynek dyrekcji szpitala.

Jedna z lekarek opowiedziała mi o ojcu pacjenta, który co miesiąc przyjeżdża odwiedzić syna. Syn nie poznaje go, mówi „pan”. Ojciec – podobno prosty, biedny chłop – zawsze przywozi kaszanke i kiszane ogórki. Siedzi potem obok łóżka i patrzy na syna.

Na tym kończą się moje dokładniejsze notatki. Niestety, nie prowadziłem ich systematycznie. W miarę upływu dni praca w Tworkach stawała się dla mnie coraz bardziej trudna. Nie fizycznie, ale psychicznie czułem się kompletnie wyczerpany. Konieczność codziennego obcowania z ludźmi chorymi, poznawania coraz to nowych tragicznych losów, a przy tym poczucie własnej bezsilności i świadomość, jak bardzo niewiele mogę pomóc w konkretnych sprawach, skłaniały do przerwania tej pracy jak najszybciej. Czułem się także człowiekiem z zewnątrz, trochę obco, w zżytym środowisku lekarzy psychiatrów. Zdaje się, że nie wszyscy z nich byli przekonani o użyteczności mojej pracy jako asystenta do spraw socjalnych. Poza tym ja sam przekonałem się wkrótce, jak niewiele mogę pomóc ludziom wychodzącym ze szpitala psychiatrycznego ze stemplem w życiorysach: „chorował psychicznie”. Stawali wobec ogromnej, biurokratycznej bariery, bezdusności urzędników i konieczności pokonywania najrozmaitszych uprzedzeń. A także wobec perspektywy nawrotu choroby i ponownego pobytu w szpitalu. Nawet jeśli rokowania były dobre, urządzenie się od nowa w życiu następowało w ciągu miesięcy i lat. Jak mogłem im pomóc w przeciagu tygodnia lub dwóch? Niektórzy napotykali także na opór i uprzedzenia najbliższej rodziny, która najchętniej pozbyłaby się ich na zawsze. Świadczyć o tym może jedna z ostatnich zanotowanych historii.

Wczoraj rozmowa z małą garbuską. Wychodzi ze szpitala, ale rodzina nie chce jej przyjąć do domu. Starają się podobno o umieszczenie w domu dla starców. Jest mała, drobna, podczas rozmowy cały czas płacze. „Panie doktorze, dlaczego oni mnie tak krzywdzą?” Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, nie spytałem nawet, kto ją tak chce skrzywdzić: brat, siostra, dalsza rodzina? Nie mówiłem także, że nie jestem doktorem. Próbowałem jakoś ją uspokoić. Pewno w końcu będzie musiała pogodzić się z decyzją rodziny. „Czy ten dom będzie daleko?” – Popatrzyła na mnie. Powiedziałem, że na pewno będzie blisko, chociaż nie wiedziałem, od czego zacząć liczyć odległość.

Zapytałem, co robiła w życiu, nim zachorowała. Okazało się, że przez dziesięć lat pracowała w jakiejś instytucji, której nazwy

nie pamięta. Parzyła, nalewała i roznosiła po pokojach herbatę. „Bardzo dużo miałam do roboty” – pochwaliła się. „Bardzo dużo ludzi piło herbatę. Jak odchodziłam z tej pracy, dali mi dyplom uznania i nagrodę”.

Powiedziała jeszcze, że tutaj, w Tworkach, boi się patrzeć w szpitalne okna, bo są zakratowane, a ona nie chce patrzeć na kraty.

Na tej rozmowie moje notatki z Tworek kończą się ostatecznie. Pod koniec maja korespondencyjnie znalazłem nowe miejsce pracy w Solinie, w Bieszczadach. Jako prawnik miałem pracować w biurze prawnym budowy zapory na Sanie. Zdaje się, że wziętem dwa dni bezpłatnego urlopu i pojechałem do Soliny, aby sprawę omówić na miejscu. Kiedy opowiedziałem o swoim projekcie doktorowi Fiutowskiemu, poparł mnie bez zastrzeżeń: „Są dwa najwspanialsze, jeśli chodzi o przyrodę, regiony w Polsce – Mazury i Bieszczady. Zazdroszczę panu”.

Czytając po latach notatki ze szpitala w Tworkach, myślałem, że każda z tych zapisanych historii o losach ludzi tam poznanych może być tematem opowiadania lub epizodem powieści. Już wtedy, od początku podejmowanych prób pisania prozy, wiedziałem także, że jeżeli będę pisał nadal, to tylko o życiu, które poznam, i o ludziach, których spotkam. Jako czytelnik od początku zafascynowany byłem nurtem prozy realistycznej, związanej z życiem, nigdy tej wymyślonej lub tonącej w nadmiarze słów.

Stałem jednak wówczas przed problemem nie do rozwiązania, jak mi się zdawało. Chciałem, aby moje życie było barwne, ciekawe, wymagało poświęceń, być może heroizmu, stawiało przed wyborami różnych dróg i decyzji. Z drugiej strony miałem świadomość wszystkich ograniczeń. Należałem do pokolenia, które nie przeżyło świadomie wojny i którego dzieciństwo oraz wczesna młodość przypadły na szare lata w kraju rządzonej przez komunistów. Moje usiłowania znalezienia w tej szarej rzeczywistości miejsca, gdzie życie byłoby ciekawsze, były nieco sztućzne, zamierzone. To nie życie przychodziło po mnie, ale ja sam szukałem ciekawszego. Będąc jednocześnie przekonany, że aby pisać o życiu, trzeba je poznawać w różnych środowiskach, w różnych miejscach i wśród różnych ludzi. „Dokądkolwiek pójdziemy, tam i wy pójdziecie z nami, jeżeli cokolwiek jesteśmy wari” napisał Ernest Hemingway.

Takie były powody i tak w skrócie mógłbym podsumować swoje decyzje podejmowania kolejno pracy w Turossowie, w Tworkach i Solinie. Ślady tamtych lat, różnych miejsc, ludzi, których wtedy poznałem – wszystko jest w moich książkach. Mogę to uznać za pewien sukces i jednocześnie skutek słusznego podejmowanych decyzji.

A jednak: konfrontując losy ludzi z pokolenia moich rodziców ze swoim losem, dostrzegałem całe ubóstwo własnych przeżyć. Choćby porównując to, co spotkało mego ojca, stryja lub wujów – braci matki, z doświadczeniami młodego człowieka w PRL, który w wieku dwudziestu siedmiu lat zaczynał pracę w Tworkach, a potem w Solinie. Mój ojciec w tym wieku miał za sobą doświadczenia pierwszej wojny na Kresach, rewolucji bolszewickiej, walk o Kijów w latach 1916-18, a później w niepodległej Polsce walczył na froncie w 1919 i 1920 r. Podobnie obaj wujowie, gdy byli w moim wieku, w latach 1918-20, poznali nędzę i okrucieństwo wojny. Czy mogłem porównywać ich doświadczenia, ich losy,

z własnym? Czułem, że im bogatsze życie, im bardziej dramatyczne doświadczenia, tym bogatsze jest pisarstwo. Zrozumiałem także, że proza realistyczna wymaga szczególnej oceny: czy pisarz mówi prawdę o życiu i ludziach? Jakim etycznym wartościom jest wierny i po czyjej stronie opowiada się – słabych czy silnych?

Dziś tamte nie w pełni uświadomione przekonania – raczej wynikające z intuicji niż z pewności – mogę tylko powtórzyć. Jako opinię człowieka czytającego i piszącego przez całe świadome życie. Różnica między obrazem rzeczywistości i opisem ludzi – w książkach autorów czerpiących z własnych doświadczeń i książkach tych, których inspiruje wyobrażenia i lektury – jest dla mnie oczywista, jak różnica między żywą i martwą naturą. Między prozą wymyśloną a tą związaną z losami pisarza. A jednak: jak wielu, zwłaszcza młodych, autorów i jak wielu krytyków, ludzi zawodowo zajmujących się literaturą, tej podstawowej różnicy nie dostrzega.

Od autora: Powyższy tekst jest fragmentem dwóch rozdziałów drugiej części moich wspomnień, które obecnie piszę. Pierwsza część, *Dzieje dwóch rodzin – Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy*, ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w 2015 r. To była historia moich dwóch rodzin, spisana na podstawie dokumentów oraz wspomnień pozostawionych przez rodziców. Obejmowała okres od początków XIX wieku do 1945 r. Rok 45. stał się początkiem drugiej części – moich własnych wspomnień: od powojennego dzieciństwa aż po ostatnie lata wieku XX.



Andrzej
Dybczak

Źródło

Andrzej Dybczak | ur. 1978. Pisarz, etnolog, podróżnik, filmowiec.
Laureat Nagrody Fundacji im. Kościelskich (2012).

Pewnego pogodnego lipcowego dnia wybrałem się na spacer po górzystym terenie, z którego pochodzę, ale gdzie już nie mieszkam.

Poszły ze mną moje dwie córki. Jeszcze niedawno małe, a już prawie panienki. Długie, silne nogi bez trudu niosły je najpierw po wyspanej poremontowym gruzem polnej drodze, pnącej się od niechcenia pod wysoką górę, potem po przychylonej do ziemi, lśniącej trawie. Szliśmy tak długo, aż w końcu znaleźliśmy się na dnie niewielkiej, głębokiej doliny, gdzie jedna strona była łąką, a druga rozchcianym lasem. Z wyjątkiem wąskiego śladu, wydeptanego przez nas podczas schodzenia po stromym zboczu w to odludne miejsce, nie było żadnej innej ścieżki lub drogi. Wiał wiatr. Czując go na swoich twarzach, patrzyliśmy, jak odwraca liście na jasną stronę w koronach drzew wydętych nad naszymi głowami i porusza trawą dookoła nas i wszędzie indziej.

Dookoła pełno było zielonych żdźbeł, drobnych dzikich kwiatów i sukcesywnie rozprzestrzeniających się, siwych pasm suszu. To był już koniec lipca.

– Tato, mam pytanie – zagadnęła starsza z dziewczyn. Po mamie miała włosy koloru zboża, wtedy tańczące niesforne wokół jej szczupłych ramion, i błękitne oczy, w których buszowało jaskrawe niebo. Pokręciła przecząco głową, kiedy powiedziałem, że na pewno chce zapytać o to, czy jeśli ten wiatr wieje na przykład znad Azji Centralnej, to czy niesie ze sobą do nas zapach wszystkich spotkanych po drodze kwiatów.

– I wszystkich mórz – dodała jej młodsza siostra, na co starsza tylko przewróciła oczami. Ale młodsza i tak tego nie zarejestrowała. Stała po pas w rozhuśtanej trawie i zrywała rumianki. Miała już ich całą chaotyczną garść. Trudno zrywa się rumianki, bo mają włochate łodygi, liczne odgałęzienia i słabe korzenie, co powoduje, że wychodzą z ziemi w całości, niesfornymi kępami. I tylko odrobina białych

płatków nad tym wszystkim. Dla pszczoł, dla staruszek i dla małych dziewczynek.

– Chciałam spytać, czy się przypadkiem nie zgubiliśmy.

– Nie – odpowiedziałem.

Dziewczynka westchnęła głośno i rozejrzała się. Powiedziałem prawdę, albo może tylko część prawdy. Każdy zna to uczucie, kiedy coś nie jest tam, gdzie powinno być. Samochód na parkingu podziemnym, kolejne cyfry kodu PIN, gdy już źle wpisało się pierwszą, czy twarz obcej osoby zamiast spodziewanej bliskiej. Kiedyś była tu ścieżka, biegła pomiędzy dziko rozsianymi sadzonkami, biegła przez mech i macierzankę, nieliczne osty. Ale tamtego dnia wszystko wyglądało inaczej. Przed nami rozłożyste choinki podnosiły i opuszczały wszystkie swoje gałęzie, jakby próbowały oderwać się od ziemi. Właściwie, to wszystkie inne drzewa robiły dokładnie takie samo wrażenie. To w końcu normalne, już dawno mnie to nie rusza, że coś się zmienia pod naszą nieobecność. Zwłaszcza na prawdę długą. Ma do tego prawo, czy nam się to podoba, czy nie. Ma nawet prawo całkiem zniknąć, zostawiając nas z przeważnie głupią miną. Bo ostatecznie jest to jedyna rzecz, jaką możemy jeszcze zrobić i jaką na pewno nie raz zrobimy. Nowe choinki zagradzały drogę. Nowe ptaki drapieżne, pokrzykując, zataczały dwa koncentryczne koła wysoko w słońcu. Poruszały trójkątnymi ogonami z twardych piór, patrzyły na nas i nie rozpoznawały. Ich rodzice to co innego, znali mnie, ale gdzie oni byli? Ich dusze na pewno już od dawna w raju myszołowów i piekle myszy, a ich kości rozwlekły lisy. Podobno ptaki rozpoznają ludzi po twarzach. Zapamiętują zwłaszcza tych, których się boją. Przynajmniej tak udało się ustalić naukowcom, którzy przeprowadzili na nich eksperymenty. Trudno się dziwić ptakom, ostatecznie nikt nie lubi być przedmiotem eksperymentów. A każdy – tak czy inaczej – jest, choćby miał to być ten jeden, jedyny, niezaplanowany przez nikogo eksperyment pod nazwą życie.

Gdzieś tam, na dnie dzikiej dolinki, do której wtedy zeszlismy, powinno być źródło. Nie takie znowu zwykłe, bo mocno gazowane.

– Tato, na pewno z bąbelkami? – dopytywały się dziewczyny, zanim wyszliśmy z domu.

– Na pewno! Uwierzycie? – odpowiadałem.

Przychodziło się w lecie i nabierało do butelek jego gazowaną wodę. Trzymało się ją potem w lodówce Światowid i piło w czasach, kiedy w sklepach nie można było takiej wody dostać. Zdaje się, że mi nie wierzyły. Chciały sprawdzić. Wszystko, czego nie można sprawdzić, nie jest warte niczego więcej jak sen, a kto tak naprawdę zwraca sobie głowę snami? Zresztą, droga była niedaleka. Można było pooddychać świeżym góskim powietrzem, ruch to zdrowie.

Tamtego lipcowego dnia, zanim wybraliśmy się w drogę, stałem na balkonie, na czwartym piętrze bloku z wielkiej płyty, bloku babci. Tak naprawdę to u mamy, ale z czasem wszyscy zmieniamy statusy. Patrzyłem na maleńką postać jakiegoś innego ojca, z innymi dziećmi widoczną w oddali na stronej ącej. Stali tuż poniżej linii, wzdłuż której grzbiet góry spotykał się z niebem. Trawa wokół nich musiała być pełna cykorii i charbrów. Maleńkie postacie dzieci ślizgały się po ich błękiecie, ścigane przez co chwilę wyłaniającego się na powierzchnię i znikającego psa. Zawołałem poprzez firankę zasłaniającą otwarte drzwi do ciemnego mieszkania, zawołałem, żebyśmy się zbierali. Ucichło pianino, z głuchym stukiem opadła kłapa, z drzwi balkonowych wychyliła się najpierw jedna głowa, potem druga.

– Gdzie zbierali?

– Może tam? – Pokazałem ręką trawiaste wzgórze.

– To daleko – zafrasowała się starsza dziewczynka, mierząc wzrokiem odległość. Zgodziły się na wieść o tych sensacyjnych bąbelkach w źródleku gazowanym.

W pokoju pełnym bibelotów z gipsu, kilimów, serwetek i koronek siedziała na wersalce ich babcia. Słuchała gry. Pot perlił się na jej zaczerwienionej twarzy.

– Idziecie gdzieś? – zapytała trochę nieobecna i z przestרחem, jak człowiek obudzony z drzemki. Ale nie spała, była tylko zamyślona i chora. A my byliśmy za szybcy i za głośni, w ten jedyny dzień wizyty. Nosiła w sobie raka jak pajęczycza młode, pośród sieci utkanych z lepkich lekarstw, sieci ze wspomnień i bardzo ostrożnie.

– Za górę – odpowiedziałem.

Kiwnęła głową, sięgnęła po pilota. Mówią, że oczy są zwierciadłem duszy. Nasze były podobne z wyglądu: piwne, nieme i zrobione z elastycznego białka. Czasem sprawiały wrażenie zrobionych ze szkła. Chciałbym, żeby za tą górą było źródelko, jak to w tej baśni, w której idą po wodę, co ma moc życia. I jeżeli tylko nie odwrócą się po drodze, nie przestraszają żadnych odgłosów ani cieni, nie spojrzą wstecz podczas pięcia się pod sobotnią górę, to wszystko się uda. Nikt z nich nie zmieni się w kamień, nikt, kto ma umrzeć, nie umrze, a ci, co już zastygli podczas nieudanych prób dotarcia, zostaną na powrót ożywieni i wszystko będzie dobrze.

Dzieci szybko zbiegły po schodach, słysząc było ich głosy niosące się z łatwością po betonowych schodach. Potem, kiedy było się już na parterze, na dół dobiegał głos telewizora mamy. Po żywopłocie tłukły się wróble. W miarę oddalania

się od osiedla i wychodzenia wyżej, a zwłaszcza kiedy brakowało tchu, można było pokontemplować widokową okolicę. Po drodze spotkaliśmy tylko jedną jedyną osobę i był nią około dwunastoletni chłopak, zganiający z pastwiska krowę. Pojawił się nagle i szedł rażno w dół, śmigając ją co chwilę wierzbową witką po zadku. Był to egzotyczny widok.

– A wyśta się gdzie, kurwa, wybrali? – zagadnął, kiedy usnęliśmy się im na pobocze polnej drogi.

Miał ciemną, bardzo opaloną twarz, pogodną. W dodatku też bardzo młodą. Delikatne, trochę brudne ręce dziecka. Na nogach adidas.

– A co? – odpowiedziałem gówniarzowi, bo właśnie tak sobie o nim pomyślałem. Nie widziałem powodu do tłumaczenia się z tego, dokąd się wybraliśmy.

– No dy, trza se było trawą iść z dołu – stwierdził nie zbity z tropu chłopak – na skróty, tak jak ja se, kurwa, chodzę – mówiąc to, wskazał wydeptany ślad przez łąkę, rzeczywiście biegnący na skróty w stosunku do wygiętej łukowato drogi. Powiódł po nas trochę bezczelnym wzrokiem i uśmiechnął się pod nosem.

– Szkoda trawy – powiedziałem.

– Co wam szkoda, jak mi nie szkoda.

– A twoja trawa?

– Ojca.

– To ojcu może szkoda?

– Chuj tam, szkoda. – Kiwnął głową na dolinę, którą mieliśmy przed sobą jak na dłoni. – Tutaj to już i tak nic ni ma.

Spojrzałem. Miasto w dole ciasno otaczało stromą łąkę, na której staliśmy. Zaczynało już piąć się i wchodzić na trawę. Pierwszy szedł zastawiony lastrykowymi krzyżami cmentarz. Za nim cała reszta. To normalne, że na całym świecie wolne miejsca stają się placami budów, aż nieraz trudno je potem poznać. Zwłaszcza jeśli patrzy się na nie po jakimś czasie. Ciekawe tylko, czy gdyby stwórzyciel tych miejsc rzeczywście kiedyś przyszedł na ziemię zobaczyć je znowu, to czy nie miałby o to pretensji? A co jeśli tak? Jeśli te miejsca podobały mu się takimi, jakimi były wcześniej? Jeśli kochał je tylko w stanie pierwotnym, nienaruszonym, a teraz już ich kochać nie będzie potrafił?

– Tak, nic – przytaknąłem, ale już sam do siebie, i dobrze, bo zawstydziłem się swoich słów. Za to chłopak już ruszył w ślad za krową, która czekała na niego kawałek dalej, wykręcając rogatą głowę i patrząc za nim ciemnymi, błyszczącymi oczami. Ale zanim znalazł się przy niej, dmuchnęło. Wytarta czapka z daszkiem, którą miał zawadiacko zasuniętą na tył głowy, potoczyła się prosto pod nogi mojej starszej córki. Stała do tej pory z boku, słuchając trochę zdziwiona. Teraz schyliła się, szybkim ruchem podniosła czapkę i sztywno podała chłopakowi, który jeszcze bardziej pociemniał z nagłego zażenowania. Ale podszedł do niej energicznie, zabrał czapkę i założył ją sobie z powrotem na głowę. Przez chwilę patrzyli na siebie, ale chłopak tym razem przezornie trzymał czapkę ręką.

– A czy tam za górą jest źródelko z wodą gazowaną? Jak w butelce? – zapytała głośno, przekrzykując wiatr, młodsza dziewczynka, stojąca trochę wyżej i lustrująca do tej pory okolicę poprzez przymrużone powieki.

– Ni chuja, nie ma – odpowiedział chłopak, machnął z całej

siły wierzbową witką, która aż świsnęła w powietrzu, i odszedł w kierunku krowy, a tamta, widząc to, ruszyła dalej, nie czekając na okrzyk: Obora! Hej!

Wiatr targał długimi, jasnymi włosami starszej, kiedy podeszła i spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Jest – powiedziałem.

Nie odpowiedziała. Chwilę patrzyliśmy za nim, jak schodzi coraz niżej i niżej, aż w końcu znika za wysokim płotem białego budynku stacji transformatorów. Stacji pełnej bucącego żelastwa rozstawionego po polu, kabli, słupów i wysokich odgromników. Przy każdej sposobności lubiły z wielkim hukiem uderzać w nie pioruny. Wydawało się, że pod każdym z nich budynek powinien się już dawno rozpaść na kawałki, a nic mu nie było.

W końcu zostaliśmy sami. Szybko wspięliśmy się na wierzchołek góry i zaraz potem zaczęliśmy schodzić z jej drugiej strony. Stromszej, węższej, ciemniejszej. Odgradzonej od reszty świata sąsiednim wzniesieniem, po którym raz za razem przebiegał dreszcz czesanych wiatrem, gęstych drzew. Sprawiły wrażenie obojętnych. Równie obojętnych, co wszystkie inne drzewa, wszystkich innych wzgórz na całym wielkim świecie. I tego też warto się nauczyć jak mantry. Tak więc zeszlismy w dolinkę po drugiej stronie, ale wszystko wyglądało bardzo szybko zrozumiiałem, że nie znam dokładnego kierunku ani miejsca, do którego szliśmy. Pachnące kwiaty zdawały się mówić, że to właściwie wszystko jedno. Krzaki głogu, jodły i czarny bez wyglądały jak na sterydach, a trawa była pijana. Co tu się dziwić, że człowiek sam stracił równowagę, nawet jeśli trwało to tylko chwilę?

– Skoro się nie zgubiliśmy... – po chwili przerwy kontynuowała swoją myśl starsza dziewczynka – to dlaczego stomy?

Nie chciała iść dalej. Młodsza miała inny problem. Oglądała garść połamanych rumianków, z których połowa nie miała już ani jednego płatka. Jednocześnie chciało się jej płakać i zastanawiała się, czy ich nie wyrzucić. Podszedłem i zaproponowałem, że poniosę, na co przystała z ulgą. Trzymając w ręce spocony pęk pogniecionych łodyg, rozejrzałem się dookoła. Starsza w tym czasie skubała rąbek T-shirta.

– No to chodźmy – powiedziałem.

– Gdzie?

– Przez jedyne rośliny na ziemi, nigdy nie wydające kwiatów – powiedziałem.

– Z wyjątkiem nocy świętojańskiej.– Westchnęła zgnębiona, bo to od niej dowiedziałem się niedawno tej rewelacji o wyjątkowości paproci. A wcale nie miała ochoty na zanurzenie się w ich pełgające kolonie dorównujące jej wzrostowi, odgradzające nas od niespokojnego, spowitego cieniem lasu.

– Bajki – rzuciłem już przez ramie.

Miało się jednak wrażenie, że rosnące na skraju lasu paprocie, gdyby umiały mówić, to mówiłyby jednym z tych zapomnianych od tysiącleci języków, mówiłyby już tysiące lat temu. Jednak te rosnące tam łatwo ustępowały pod ciężkimi butami, nie wydając żadnego dźwięku. Tak jak myślałem, ukrywały w swoim gąszczu krawędź głębokiego jaru otoczonego zewsząd drzewami. Kiedyś biegła nią wygodna ścieżka aż na sam dół. Ale skarpa się osunęła, zabrała ścieżkę bez śladu, zostawiając bezkształtne, ziemne rumowisko. Kiedyś

na dnie jaru płynął wąski strumień, niteczka prawie, a obok ujęte w betonowy krąg biło rude źródło gazowanej wody. Nie wiem, kto ten beton tam położył i kiedy. Ludzie tam przychodzili i czerpali wodę do plastikowych butelek, które pęczniały od tego jak balony. To znaczy na pewno ja tak robiłem, bo szczerze mówiąc, nigdy tam nikogo nie spotkałem. Teraz dno jaru stało się grząskim, niemal śmierzącym bagnem. To przez strumień na samym dnie, który kiedyś ledwo było widać oraz słyszeć, a teraz z jakichś powodów płynął w dole szeroko i bardzo wolno pomiędzy kępami traw i kaczęńców. Tym samym rozmiękczaając i zatapiając wszystko, co znajdowało się dotychczas po obu jego stronach. Na początku wydawało się nawet, że także otoczone betonowym kręgiem źródelko dawno już znikło pod tym nieoczekiwanym rozlewiskiem. Kiedy zeszlismy aż do jego brzegów, okazało się, że jednak jeszcze nie. Nie znikło. Mogło się to stać w każdej chwili, ale ciągle jeszcze z błota wystawała krawędź studzienki, z której wypływała stróżka rdzawej wody, barwiąc na ten sam kolor mokre grzęzawisko dookoła. Ślady wielu gatunków zwierząt były głęboko odcisnięte w tym rudym błocie, podobnie jak i protektorów naszych butów, kiedy zapadając się po kostki, podeszlismy do na wpół zatopionego, betonowego kręgu. Jego zawartość musiała być już mocno rozwodniona przez nowo powstałe bajoro, które zalewało je ze wszystkich stron, ale spod kilku rudych kamyków leżących na dnie wciąż wydobywały się ogromne, amorficzne bąble i bąbelki. Frunęły do góry, bulgocąc na powierzchni i znikając albo robiąc po prostu miejsce dla następnych, już wolno płynących ich śladem. I tak bez końca, jak zawsze zresztą. Gdybym nie wiedział, że woda jest lodowato zimna, pomyślałbym, że wrze. Dziewczyny patrzyły na to jak urzeczone. Ja chyba też. Niedaleko dna źródła unosiło się też beładnie kilka martwych dżdżownic, w dodatku zupełnie białych i to też tutaj z jakichś naukowych powodów, o których nie wiem, było normalne. Pachniało trochę zgniłym jajkiem.

Wydostałem z plecaka półlitrowy słoik i szybkim ruchem napełniłem go całego. Nagle stał się bardzo zimny i ciężki. Piłem, piłem i piłem. Nawet nie wiem, kiedy zamknąłem oczy.

– Wiecie co, córeczki? – powiedziałem, gdy nie mogłem już więcej pić, wcale nie otwierając oczu z powrotem. – Czasami więcej blasku da się zobaczyć poprzez zamknięte powieki. Kiedy, na przykład, patrzy się prosto w słońce.

– Co? – usłyszałem ich bliskie głosy.

– Najdziwniejsze jest to, że ta woda jest naprawdę zaczarowana ... – mój własny głos wydawał mi się obcy.

– Dlaczego?

– Bo właśnie stałem się od niej... wiecie kim?

– Kim?

Nie otwierałem oczu. Poczułem tylko ich silne już ramiona mocno obejmujące mnie w okolicach bioder i ud. Wiatr sucho szemrał w późnolipcowych, twardych blaszkach liści osiki.

– Małym Andrzejkiem.

Henryk Waniek

Allahu Akbar

Henryk Waniek | ur. 1942. Malarz, grafik, pisarz, publicysta.
Ostatnio ogłosił *Miasto niebieskich tramwajów* (2017).

Wchodząc do oberży, musiał wypowiedzieć nieuchronne słowa: „Allah jest wielki”. Utraciłby spokój, gdyby tego nie uczynił. No i zostałby niechybnie, choć nie od razu (dopiero, gdy zjadłby zamówiony, oczywiście na migi, kąsek pieczonego jagnięcia z kawałkiem niedopieczzonego placka i – rzecz jasna – zapłacił), wywleczony za włosy na plac i w ciągu niepełna kwadransa ukamienowany przez tych siedzących tam nieruchomo i jakby obojętnych na wszystko, a jednak czujnych obrońców najświętszego imienia. Wywlekliby go na środek placu, rzuciliby na tamtejszy pył, otoczyliby go kręgiem i zasypaliby kawałkami skał, które tylko na to czekały. Które już były uspane w małych stosach ułożonych nieopodal.

Ale samo skonanie nie przyszłoby tak szybko. Leżałby tam na placu przez całą noc, już niezdolny do ruchu, i dopiero nad ranem, wykrwawiony, oddałby ostatnie tchnienie, po czym jego dusza spadłaby w najgłębsze czeluście piekieł. A ci ospali obrońcy świętego prawa i imienia czekali, aż zwłoki bez żadnego szacunku zostaną wyniesione z placu, a oni wszystkie kamienie, co do jednego, złożą z powrotem w niepozorne stosy tu i ówdzie przy rynku. Takie rzeczy nie zdarzały się często, ale należały do tradycji, podobnie jak pochwalenie Allaha, gdy wchodzi się do oberży.

Więc musiał tam wypowiedzieć te niezastąpione słowa, jedyne, jakie znał w ich języku. A usłyszawszy gremialny odzew, na migi spytał gospodarza, na co może liczyć, choć znał z góry odpowiedź. Najpierw dostał to, co zamówił z jedzenia, wskazując drżącym palcem na brytfanny, gdzie smażyły się różne dobra. Rozsiadł się, jadł i wsłuchiwał się w pytania siedzących najbliżej, patrzących czujnie, jak je, bo nie wystarczy powiedzieć, że Allah jest wielki. Musisz to jeszcze potwierdzić, wkładając kąski do ust. Oto Allah dał mi łaskawie ten kawałek jagnięcia, tę garść prosa, tę przypieczoną oberżynę i kawałek ogórka, a ja to z wdzięcznością spożywam. Jest wielki.

Pytają go – jak to zwykle w oberżach – o to, o co się pyta przybysza. Skąd go przyniosło? Co ma do sprzedania? Czy coś nowego się dzieje w świecie? O wszystko po kolei. Zdaje

mu się, że rozumie niektóre z ich słów. Zresztą nie pierwszy raz wędruje przez kraje tych ludzi i już wie o nich niejedno. Ale pod pretekstem, że ma pełne usta, odpowiada monosylabami, które by nic nie znaczyły, gdyby nie gesty. One mówią wszystko i to rozmówcom wystarcza, gdyż bardzo sobie cenią wymowną gestykulację. Sami też wznoszą ręce i potrząsają głowami. Wydają okrzyki podziwu, uznania czy lęku. Rzecz jednak w tym, by się zanadto nie wydało, że obcy zna ich język tylko po łebkach, ot tyle zaledwie, by pochwalić Allaha, zamówić coś do jedzenia, mieć pewność co do noclegu. Niezbędne minimum. Nie jest wędrującym kupcem, a tylko wiezie zwój papierów, ważne listy do dalekiej stolicy. Pokazuje swoją niewielką sakwę. Rzeczywiście – zwoje.

Poseł jakiś zapewne. Ważny gość zagraniczny. Co prawda – samotny. Bez uwznioślającej świty, która dodałaby blasku jego tajemniczej misji. Odziany bez przepychu, a nawet trochę zaniedbany. Ale po co miały przepychem kłuć ludzkie oczy? Podsycać zachłanność rabusiów. Tak jest mądrzej i to jest – bez wątpienia – ktoś. To, że przybywa z daleka, sami przecież widzą. Przesiąknięty kurzem bezdroży. Odziany tak, jak tu nikt się nie nosi. Wyszarpany przez wiatry, a może też przez złych ludzi. A o jego koniu to już lepiej nie mówić. Wystarczy, że tam, skąd przybywa, też wiedzą, iż Allah jest wielki, i potrafią to powiedzieć w ludzkim języku. Niech mu Bóg sprzyja.

Ale taki wieczór nie może trwać wiecznie, więc spożywszy, co tam było do żarcia, z wdzięcznością dla tych, co mu towarzyszyli słowem i życzliwym spojrzeniem, jeszcze raz pochwalwszy Allaha, powierzył się oberżyscie, który mu wskazał kąt, gdzie może spocząć. Może nawet miał sny. A wśród nich właśnie to wydarzenie śmiertelne, o którym pomyślał, wchodząc do oberży. To, co stałoby się, gdyby zaniedbał tej magicznej formuły, wywyższającej Allaha ponad wszystko. Kamieniowania. Dłużący się zgon. Hańbiące pogrzebanie. Piekło.

Ale mogła to być też noc i bezsenna, z męczącym chłodem i zbyt jasnym księżycem. To jest nieważne i nie należy do rzeczy, bo o poranku, a właściwie jeszcze przed świtem, trzeba

oberżystę przekonać, że ten krążek metalu, który mu wręczy, wart jest wczorajszej wieczerzy i łoża. Ale oberżysta już zna te monety, nie czuje się oszukany i nawet nie żałuje, że koniowi przybysza dosypał obroku. Nie stwarza więc przeszkód, by się przybysz w spokoju oddalił, pod warunkiem że na pożegnanie wyzna wielkość Allaha.

Tak właśnie się stało. Może odprowadzało go kilka spojrzeń tych, co już nie spali, albo tych, których dźwięk podkowy wydłubał z czujnego, płytkiego snu. Może nawet i tych samych, co wczoraj wieczorem w oberży tak pilnie śledzili jego ruchy, spojrzenia i słowa. Wschodnia część horyzontu jaśniała przed nim, a za jego plecami już gasły na zachodzie gwiazdy.

Znów otwierała się przestrzeń i wszystko, co tylko na tym świecie możliwe. Wielka ściana gór, przez które będzie się przeprawa. Sprawdził, czy sztylet ma na swym miejscu. Czy juki dobrze przywiązane. Koń stępował. Słychać nawet było odległe, ale wyraźne wołanie muezina. Ale nie zsiadł z konia. Po jakiejś godzinie obejrzał się wstecz. Tamtego miasta już prawie nie widać. Allah robił się coraz mniejszy. Góry coraz wyższe.

Jacek Moskwa

Horror vacui¹¹

Jacek Moskwa | ur. 1948. Dziennikarz, pisarz, watykanista. Autor książek biograficznych o Janie Pawle II. Wiceprezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Pałac wznosił się pychą ostrołuków nad zbiorowiskiem słomianych strzech, żydowskich karczem, szlacheckich dworów, koślawych chałup, chlewików i płotów, robactwa i gnoju, które tworzyły to miasteczko. Wiele par wołów ciągnęło rozjeżdżonym traktem wozy naładowane wysoko worami soli. Brodaci czumacy kierowali je na bok, przeklinając, bo środkiem drogi gnała najeżona pikami sotnia kozaków na mierzynach niewiele większych od psów pana Potockiego. Jego oficjałści skakali tu i ówdzie na swoich dzielnych konikach. Chasydzi w czarnych kontuszach i lisich czapach gromadzili się do odlotu na rogach uliczek, przecinających gościniec; rozmawiali o interesach lub końcu świata. Gęsi w klatkach podnosiły larum, że jutro już szabas. Z tego zamieszania skorzystał woźnica bractwskiej furki i smagnął pod ogonem zdychającą szkapę; poderwała głowę i niechętnie przyśpieszyła kroku, z wysiłkiem ciągnąc środkiem opustoszałej nagle drogi przeładowany wóz. Napakowało się nań w pośpiechu

z dziesięć osób: jejmość w peruce z trójką rozwrzeszczanych bachorów; kupiec w siwym chałacie, zwieszający nogi na zewnątrz plecionej kosza furmanki; handlarze drobiu z towarem. Pod płóciennym wańtuchem, szarpanym porywami marcowego wiatru ukrył się cadyk. Nachman i tym razem zabrał w drogę tylko Szymona. Uczeń nie dziwił się już tym nagłym wyjazdom i temu, że podróżują tak nędźnie. Wierzył, że jego mistrz jest zapowiadany Jakubem i niebawem zostanie namaszczone. Nieodgadniona tajemnica nakazywała jednak ukrywać to jeszcze przed światem.

Wysiedli na skraju miasta, bo pałac wznosił się tuż przy bractwskim gościńcu. Bałagała z szacunkiem przyjął opłatę za

11. Domniemany przebieg rozmowy odbytej w Tulczynie wiosną 1808 r. przez hrabiego Jana Potockiego i rabina Nachmana z Bractawia. Fragment powieści *Ex nihilo czyli Golemowie polscy*, powstającej dzięki stypendium Funduszu Rozwoju Twórczości Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

obydwóch i powiedział, że chętnie podwiezie ich, gdzie zechcą, ale Nachman odprawił go zniecierpliwionym gestem dłoni. Wcale nie pragnął, aby obydwa miasta wiedziały, dokąd wybrał się już po raz trzeci. Poczekali więc przez dłuższą chwilę, aż Żydzi na przeładowanej furmance odjadą ku swoim nieodgadnionym przeznaczeniom. Niepiesznie omijając roztopy, poszli lipową aleją w stronę pałacu. Pomnik na placyku zagroził im drogę; obelisk wzniosł pan tego domu ku chwale konfederacji, która przyniosła koniec Rzeczypospolitej.

– Przeminał państwa tego świata – powiedział Nachman, gdy zbliżyli się do pałacu. Zmierzchało już, ale polski napis na frontonie można było jeszcze odczytać: „Oby zawsze wolnych i cnotliwych był mieszkaniem”. Wielki Szczęsny, który dla swojej pychy pogrzebał Polskę, w swoich włościach dobrze gospodarzył. Nie żył od paru lat, a w Tulczynie rezydował jego syn. Nachman z Szymonem pokornie zmiierzali do oszklonego wejścia w bocznym skrzydle. Lokaj już na nich czekał. Bez słowa otworzył drzwi, spluwając dyskretnie na boku.

Jan Potocki czekał na gościa w komnacie, która zwykle bywała sypialnią jego żony. Teraz, gdy ich separacja stała się rodzinną tajemnicą, a Konstancja została w Dymidówce, szwagier chętnie udzielił mu gościny, lokując w dawnym apartamencie. Żywoł rezydenta niósł takie drobne upokorzenia. Niewiele się jednak nimi przejmował. W dawnej sypialni przesiadywał całymi godzinami. Służba szeptała pewnie, że tęskni za żoną, ale nie było to prawdą. Gdy myślał o Konstancji, niczego nie czuł: ani pożądania czy zazdrości, ani gniewu, jedynie kompletną pustkę. Chwilami zdawało się, że pozostał tu zapach ich miłosnych zmagañ, ale nie jego przecież szukał. Siadał na ozdobnym pufie przed francuską toaletką, aby patrzeć w lustro. Stawiał pojedynczy świecznik w miejscu, gdzie zachował się jeszcze ślad po słoiczku z pudrem, w chybotliwym świetle płomienia widział rysy starzejącego się mężczyzny, coraz bardziej przypominające mu twarz ojca. W pewnym oddaleniu mógł dostrzec inne dwie świece i dwóch ludzi, również zwróconych ku sobie twarzami: zgarbione plecy w ałasowym szlafroku, posiwiałą potylicę jednego i wyostrzony przez czas profil drugiego. Za jego plecami zaś następna parę, a dalej jeszcze kolejną, a za nią już tylko punkciiki światła. Gdy obejrzał się, mógł obserwować identyczną amfiladę w ogromnym lustrze na drzwiach szafy z Petersburga. Najlepsze pomysły przychodziły mu tutaj do głowy. Ze sceny, gdy Rebeka widzi w lustrze dwie ludzkie postacie, których nie może ujrzeć, odwróciwszy się, był naprawdę zadowolony. Kładł więc wielki kajet na toalecie obok świecy i zapełniał jego strony linijkami drobnego pisma. Porządek odbijających się w nieskończoność scen uległ jednak zakłóceniu. Hrabia zobaczył w lustrze, jak do stolika o wygiętych nogach, tuż za jego plecami, zbliża się mocne światło. To lokaj wprowadził rabina w czarnej sukni i czapie z rudych lisów.

– Mały błękitny rabinek, który zaczął wybijać pokłony przed pulpitem, jak to zwykli czynić rabini podczas modlitwy. – Potocki uśmiechnął się do siebie na to wspomnienie i powiedział:– Witaj geniuszu dwudziestego siódmego stopnia.

Zwykle tytułował rabina wielbnym, bo radował się zgorszeniem służącego, że jego pan przyjmuje czarownika, a zwraca się do niego jak do księdza. Lokaj, odprawiony niecierpliwym

gestem ręki, odszedł z wyraźną urazą, pozostawiając na okrągłym stoliku świecznik o czterech ramionach.

– Kpi sobie wielmożny pan z małego rabinka – uśmiechnął się Żyd. Wyglądał na starca mimo swoich trzydziestu sześciu lat. Zmierzwiona broda miała jednolicie stalową barwę, przez pergaminową skórę, zapadniętą na policzkach i skroniach, niemal przezieierały kości czaszki. Jednocześnie było w nim coś z dziecka. Gdy mówił, radował się lub zasmucał nawet do łez z niezwykłą łatwością. W niespodziewanie błękitnych oczach coraz to zapalały się żartobliwe ogniki. Z uszanowaniem zdjął teraz lisią czapę i stał, skłoniwszy lekko głowę. Potocki nie prosił go jednak od razu, aby usiadł.

– Chcę ci coś pokazać. – Poprowadził gościa w głąb komnaty, gdzie znajdowało się małżeńskie łóże. U jego stóp kazał postawić sztalugi z obrazem. Kiedy przybliżył do niego rękę ze świecznikiem, wydawało się, że bijący z niego blask przenika w głąb malowidła. Scena przedstawiała bowiem grupę osób, wydobytych z mroku pojedynczym źródłem światła. Tylko w prawym górnym rogu przez okienko zaglądał księżyc w pełni, lekko przysłonięty chmurami. Ludzie skupieni w kręgu światła obserwowali scenę, która budziła ich lęk. Ubrany w amarantowy szlafrok mężczyzna z grzywą stalowych włosów, okalających podświetloną z dołu twarz demonstrował tajemnicze urządzenie; jego mechanizm nie dawał się zupełnie pojąć. Na czworograniastej kolumiencie, w szklanym kloszu, trzepotała się synogarlica. Mężczyzna demonstrował to gestem uniesionej ręki magika. Do kuli prowadziła węzowato gięta rurka od dziwnej maszyny, również złożonej z kolumnienek, którą obsługiwał odwrócony profilem młodzieniec. Scena ta przeraziła dwie dziewczynki, mniejsza z nich nie mogła się mimo to powstrzymać, aby nie patrzeć na los ptaka. Druga odwracała twarz, wznosząc rączkę do skroni, pocieszana przez kogoś, może ojca. Nieco starsi chłopcy popatrywali z zaciekawieniem. Inny jeszcze mężczyzna, siwy już, chociaż młody, zamyślił się nad czymś. Tylko dwoje młodych po prawej wyglądało na zainteresowanych bardziej sobą niż demonstrowanym zagadnieniem, chociaż i oni rzucali ukradkowe spojrzenia. Światło, wydobywając owe twarze z mroku, malowało niepojęty dramat. Nie rozumiał go także Nachman. Wydawał się jedną z postaci tej sceny, gdy migotanie świec pogłębiało cienie jego zapadniętych oczu i skroni. Wpatrywał się w obraz z ogromną uwagą.

– Ten ptak umiera – powiedział. – Co to jest?

– Pompa powietrza – objaśnił Potocki. – Wszędzie wokół nas, w naszej komnacie i tam – dotknął ręką obrazu – znajduje się gaz, którym oddychamy. Jest on nie tylko żywiołem, ale i ciałem, jedynie bardziej rozrzedzonym. Podobnie jak woda: zamarnięta staje się lodem, a gotowana paruje, nie znikając jednak zupełnie.

– Cóż zatem?

– Poczekaj. Jeśli za pomocą pompy, takiej jak przedstawiona na obrazie, usuniesz z naczynia wodę lub parę powstałą po jej zagotowaniu, co będzie na jej miejscu?

– Niczego nie będzie. – Rabin lekko się wzdrygnął, słysząc swoje słowa.

– Dostanie się tam powietrze. Ma ono bowiem tendencję do zajmowania każdej wolnej przestrzeni. Dlatego samego powietrza nie sposób usunąć, bo zaraz inne z otoczenia przychodzi na jego miejsce. Jeśli jednak... jeśli wykonać naczynie,

do wnętrza którego nic nie jest w stanie przeniknąć i posługując się pompą, usunąć jego zawartość? Takie pytanie trapi ludzi uczonych od dawna.

– Niczego tam nie będzie – powtórzył Nachman półgłosem.

– Oto masz przebieg tego eksperymentu. – Potocki uniósł rękę, powtarzając gest magika z obrazu. – Ze szklanej kuli, wykonanej jak gąsior do wina i odpowiednio uszczelnionej, usuwa się powietrze. Służy do tego ta tutaj pompa i biegnąca do niej rurka.

– A gołębica?

– Rolą ptaka jest pokazać nam, co dzieje się w środowisku, z którego wyciągnąć powietrze.

– On umrze.

– Umiera w okrutny sposób – potwierdził hrabia. – Najprzód się udusi z braku powietrza, tak jak człowiek czy inne zwierzę, które żyje, oddychając. Nie koniec jednak na tym. Gdy dalej gaz ze szklanej kuli odciągają będziemy, ciało gołębia zacznie się wzdymać. To zawarte w nim fluidy szukają ujścia na zewnątrz. Najpierw wytrysną martwe już oczy, potem z dzioba popłynie krew...

– ... która dawała mu życie – przytaknął Żyd.

– Dlaczego jednak zachowuje się w taki właśnie sposób? Dzieje się z nią to samo, co z powietrzem, gdybyśmy spróbowali usunąć je z jakiejś przestrzeni. Inne natychmiast dąży do tego, aby zająć jego miejsce. Podobnie krew gołębia rozpaczliwie chce wypełnić sobą – jeśli takie określenie będzie w tym przypadku właściwe – chce wypełnić sobą tę pustkę, którą wytwarzamy, odciągając powietrze. Tryska więc z dzioba i oczodołów, wypływa spośród piór, rozmazuje się od wewnątrz na szkle kuli w rozpaczliwym wysiłku unicestwienia Niczego. Nie jest, rzecz jasna, w stanie tego dokonać. Jej objętość jest przecież znacznie mniejsza niż usuniętego powietrza.

– A jeśli nadal będziemy je odciągać?

– Prawdopodobnie kula pęknie – zastanowił się Potocki. – Pęknie, zapadając się w sobie. Powietrze znajdujące się na zewnątrz zachowa się podobnie jak krew gołębia, zapełniając próżnię. Już starożytni znali ów *horror vacui*, Arystoteles dowodził, że w strukturze świata nie ma miejsca na pustkę.

– Błąd ten dotrwał do naszych czasów. Wielki Kartezjusz... – wtrącił nagle Nachman.

Potocki spojrzał nań zaskoczony. Wiedział już, że rabina ekscytuje tajemnica nicości, ale nie spodziewał się wymiany uwag o autorze *Principia philosophiae*.

– Wielki Kartezjusz był przekonany, że każda cząstka przestrzeni zostaje niezwłocznie zapełniona przez materię.

– Widzę, wielebny, że nie jest ci obce to zagadnienie. Niewątpliwie słyszałeś zatem o eksperymentach Galileusza i EwangelistyTorricellego, które wskazywać mogły, że to, co brano za *horror vacui*, jest efektem działania ciśnienia powietrza. Dalsze elementy dorzucił tu Blaise Pascal, również kwestionujący drogą doświadczalną aksjomat, że natura nie toleruje próżni. W Magdeburgu Otto Von Guericke udoskonalił swoje pompy, zanurzając je w wodzie, aby zahamować możliwość dostępu powietrza, które jest ciałem nieskończenie delikatnym i zdolnym do przenikania przez najdrobniejsze nawet pory materiału. On też przeprowadził w Magdeburgu sławny eksperyment, gdy szesnaście mocarnych perszeronów nie było w stanie rozerwać metalowych półkul w żaden inny sposób nie połączonych, jak tylko przez znajdującą się

między nimi próżnię. Aż wreszcie Robert Boyle i jego asystent Robert Hooke tak udoskonallili pompę powietrza, że byli w stanie usunąć powietrze z wnętrza szklanego klosza, aby obserwować, co się tam będzie działo. Prawdopodobnie to ich prace przedstawiono na obrazie. Kiedy zobaczyłem go w Londynie, nie mogłem wprost oderwać oczu od tej sceny. Oryginał był nie do kupienia, kazałem więc sporządzić wierną kopię; widzisz ją przed sobą. Istnieje czy nie ów *horror vacui*, ale artysta z pewnością odmalował stan duszy postawionej w obliczu nicości.

– Nie ona przecież nas przeraża, skoro jej zobaczyć nie możemy, ale raczej zachowanie materii, która próżni nie znosi – powiedział z namysłem Nachman.

– *Horror vacui* wydaje się raczej konstrukcją ludzkiego umysłu: nie potrafi on sobie wyobrazić, że jest coś, czego nie ma – Potocki przypomniał rabinowi ich pierwszą rozmowę w Bracławiu.

– Są rzeczy, które pojąć będziemy w stanie dopiero przy końcu czasów – powtórzył jak wtedy jego gość.

– W swojej pysze ludzie uczeni nie chcą czekać aż tak długo. Boyle skonstruował aparat w ten sposób, że do klosza, z którego usuwa się powietrze, mógł wprowadzać różne przedmioty, a nawet nimi manipulować. Wiadomo stąd, że magnes zachowuje tam swoją siłę przyciągania, światło zaś przenika przez klosz, pozwalając obserwować, co znajduje się z jego drugiej strony.

– Rozsunął kurtyny światła... – powiedział Nachman półgłosem. – A więc człowiek w swojej pysze chce małpować dzieła Najwyższego! Niech Imię jego będzie pochwalone do końca czasów! Daremny to trud.

– Powiedziałeś mi, że Bóg zebrał się w sobie, aby móc stworzyć świat z niczego. Oto masz próżnię, którą daje się zamknąć w butelce. Świat otaczający stara się ją zniszczyć, przez nacisk powietrza. Jest ona jednak jego częścią, jak dziury w serze. Dziury w serze świata! Diabełek w butelce! Żadnej metafizyki. Niektórzy twierdzą zresztą, że to, co bierzemy za próżnię, tak zupełnie puste nie jest. Zakładają oni, że w miejscu, z którego usunięto wszelką materię, nawet powietrze, znajduje się eter – substancja nieskończenie bardziej delikatna, pozbawiona barwy i zapachu, wypełniająca przestrzeń nawet po wyciągnięciu z niej powietrza. Właśnie ona przynosić ma magnetyzm i światło. Gdyby bowiem Nic było naprawdę tym, za co je bierzemy, nie byłoby w nim ani promieni, ani przyciągania. Nikt jednak nie dostarczył dowodu na istnienie owego eteru. Wydaje mi się on – jak ów *horror vacui* – czystym wymysłem tych, którzy boją się pomyśleć o Nicości.

– Ty się nie lękasz?

– Zbyt dobrze poznałem wasze święte księgi. To o czym mówisz – *creatio ex nihilo*, wcześniej w waszym świętym języku nazwane **יְצִיאָה מִן הַיָּם**, jest późną ideą rabinów i scholastyków Kościoła. Nie pojawia się ona w żadnym miejscu Biblii hebrajskiej, ani w greckich Ewangeliach. Wykazać, że takie pomysły nie znajdują solidnego oparcia w Piśmie, odważają się jednak tylko heretycy. Weź pierwsze słowa *Genesis*...

Potocki ujął gościa pod ramię i poprowadził do stolika. Kłasnieniem dłoni przywołał lokaja. Walenty pojawił się bezszelестnie, niosąc na tacy kryształową karafkę i dwa duże puchary z rżniętego szkła. Na skinienie nalał do nich przezroczyстого

płynu. Podczas pierwszej wizyty u Nachmana w Bractawiu Potocki zauważył, że uczniowie cadyka raczą się niezwykle mocną wódką, pędzoną ze śliwek. I on w niej zasmakował. Teraz kazał ją podać, aby uhonorować rabina.

– Przypominasz sobie drugi wers Księgi Rodzaju?

Ten zacytował z pamięci:

– „A ziemia była pusta i próżna i ciemności były nad głębokością, a Duch Boży unaszał się nad wodami”¹².

– Masz zatem scenę już wypełnioną bytami.

– W wierszu pierwszym mowa jest jednak ponad wszelką wątpliwość: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”.

– Stworzył, owszem, ale nie powiedziano jak. Co było przedtem? Może zrani cię to, wielebny, ale cała hipoteza *creatio ex nihilo* służy nader wyraźnemu celowi. Bez niej Bóg staje się niepotrzebny. Pełni rolę sztukmistrza manipulującego przedmiotami. – Potocki uważnie przyglądał się Nachmanowi.

– Mówisz jak ten pogański filozof do naszego rabba-na Gamaliela: „Zaprawdę wasz Bóg nie jest nikim innym, jak wielkim rzeźbiarzem. Trzeba jednak przyznać, że miał w dyspozycji wspaniałe materiały – ciemności, wody, wiatr, otchłań – mógł z nich zrobić to, co zrobił”.

– Zaiste! Bez marmuru, czy choćby ordynarnej gliny, nawet boski Canova byłby bezsilny. Z pustego nawet król Salomon nie naleje – to przecież wasze żydowskie porzekadło.

– Czym jednak jest otchłań, jeśli nie mroczną przepaścią, w którą zstępujesz, nikogo nie spotykając po drodze? Musisz doświadczyć tej pustki, jeśli szukasz Boga. Dopiero na samym dnie rozpaczysz, gdy do niego dotrzesz, wyczuwasz obecność Kogoś.

– Nikogo ani niczego nie wyczuwasz, mój wielebny. Właśnie dlatego Nicość nawet mi się podoba, bo stałem się samotnikiem. To sen pozbawiony majaków. Wieczna cisza i ciemność bez śladu natrętnych myśli. Spokój! – mówiąc to, Potocki bawił się machinalnie pokrywką srebrnej cukiernicy, pozostawionej na stoliku przez nieuważnego lokaja. Jej zwieńczenie stanowiła kulka, odkręcił ją i obracał w palcach, o czymś rozmyślając. – Można by nią nabić pistolet – powiedział z namysłem i ostrożnie położył kulkę na blacie, a następnie pstryknięciem palców wprowadził w ruch.

Potoczyła się do krawędzi; spadając, uderzyła o marmurową podłogę z takim hałasem, jakby istotnie ktoś wystrzelił z pistoletu. Odbijała się jeszcze przez chwilę, niczym echo w ścianach sypialni. Potocki zerwał się, aby ją podnieść, ale grymas bólu wykrzywił mu twarz.

– Przeklęta podagra. Nie mogę już pić wina, wasza paschalna okowita lepiej mi służy. – Uniósł kryształowy puchar. – Twoje zdrowie!

– Trunek służy człowiekowi, jeśli otwiera serce i budzi radość – powiedział rabin. Wypił zawartość kielicha, nie odrywając go od ust. Potocki powtórzył jego gest. Napitek na chwilę pozbawił go tchu. W milczeniu napełnił powtórnie puchary, przepijając do Żyda. Widział teraz Nachmana jakby za mgłą.

– O czym to mówiliśmy? Prawda, o stwarzaniu z niczego. Wszystko to bajki arabskie i kuglarstwa teologów. Albo i waszych kapłanów, co swoją wiedzę czerpali z egipskich świątyń. Wymyślił sobie Jedynego...

– Grzeszy wielki pan, na próbę wystawia małego rabinka – powiedział z pokorą Nachman. Potocki nie słuchał go wcale, lecz perorował dalej, machając rękoma.

– Zmyśliście sobie Nic, aby napełnić je Bogiem, zawrócić Nim ludziom w głowach. Wasze Nic naprawdę jest Niczym, bo go nie ma nigdzie i nigdy. – Nieostrożnym gestem dłoni potracił kryształ, z którego resztką płynu rozlała się na blat. Spojrzał na stół mętnym wzrokiem, gdy nagle myśl szalona przyszła mu do głowy. Uchwyciwszy świecznik, przybliżył płonący knot do rozlanej wódki, która zapaliła się błękitnym płomieniem. Zgasił go, przykrywając odwróconym kielichem. W jego wnętrzu przez chwilę pełzał kopeć, a potem szkło pękło, rozsypując się na tysiące igiełek. Hrabiego rozśmieszył własny żart: – Doktorzy takie bańki stawiają. A wiesz dlaczego tak trudno je od pleców chorego oderwać? Płomień spalił powietrze, powstała próżnia zaś wszystko w siebie wsysa, poczynając od skóry pacjenta. Byłby twój Bóg takim doktorem, co sztuczki z Niczym pokazuje?

– Nie bluźnij Najwyższemu. – Rabin wstał, zbierając się do odejścia. – Upiłeś się, Wasza Miłość, ot co.

– Nie chciałem cię urazić, wielebny. Usiądź jeszcze, porozmawiamy. – Potocki opanował już chwilowy odruch niechęci, który niespodziewanie obudziła w nim osoba cadyka. Przywołał znowu lokaja, aby sprzątnął pobojowisko ze stolika. – Nie odchodź jeszcze, tobie jednemu mogę się wypowiedzieć. Ha! Zgorszyłyby się do reszty moje ciotki, gdyby nas tutaj usłyszały. Goj szukający konsolacji u rabina. Toć to jeszcze gorsze od ateusza. Przypięto mi już taką łatkę, bo z dzieł moich o chronologii historii powszechnej jasno wynika, że Mojżesz wziął ideę Jedynego nie z gorejącego krzewu, ale od egipskich kapłanów.

– Cóż mogę na to odpowiedzieć? To rzecz wiary – mojej lub twojej.

– Właśnie. Tej to łaski mi poskąpiono. Cicho sza! Jeszcze usłyszysz ktoś niepowołany. Ty, mój wielebny rabinie, gdy masz mówić o Bogu, kluczysz, by ominąć Jego imię. Łekasz się nazwać niewypowiedziane. Ja słowo „Bóg” wymawiam bez wahania. Ale – uważaj! – jest ono dla mnie tylko nazwą bez przedmiotu. Mówię Bóg, a widzę tylko nicość, pustkę. Nic!

– Boże Nic, które ożywia świat – rzekł z namaszczeniem Nachman.

wybór: Ewa Elżbieta Nowakowska
przeł. Michał Bzinkowski i Rita Winiarska

Grecy i Polacy w podróży

Nikos Kazantzakis

Podróżując. Anglia

BRITISH MUSEUM

Gdyby Czas miał swój dom, gdyby on również był wyrafinowanym władcą, który by kochał, pamiętał o minionych, pięknych chwilach, z pewnością British Museum byłoby jego siedzibą.

Jak wielkie to szczęście gubić się w bezkresnych korytarzach, przemieszczać się z jednego krańca czasu i świata na drugi, i radować się tym najbardziej uszlachetnionym ludzkim trudem. Godzinami możesz przechadzać się po tym domostwie Czasu, całymi dniami, i nie mieć dość. Czym zatem jest ta glina, którą nazywamy „człowiekiem”, która potrafi, ponad głodem, chorobą, śmiercią, podnieść głowę, wyciągnąć dłoń i ukształtować nieśmiertelne dzieła?

[...] Wraz z asyryjskimi płaskorzeźbami schodziłem, pełen mięsa i błota, do przerażających jaskiń podświadomości; z owymi miniaturowymi wznosiłem się i pływałem, niczym różany puch, we śnie. Zatracałem twarz ludzką: raz dzikie zwierzę, raz obłok. I wtedy usilnie pragnąłem uchwycić się ziemi, powierzchni ziemi, mocno i zarazem lekko stąpać po glebie. Ani dzikie zwierzę, ani obłok, człowiek.

Szedłem wówczas pewnym krokiem, wiedząc, że już znalazłem właściwą drogę, do wielkiej sali z greckimi marmurami. Radość bałwochwalcza, nagie, spalone słońcem ciała, piersi głęboko oddychają, wiatr wiosenny powiewa, w końcu uśmiechnęły się nasączone trucizną usta Mojry. Grecka wizja, nieprawdopodobna, na wygnaniu, zawieszona pośród gęstej mgły.

Londyn trzyma w swym przymglonym wnętrzu owe marmurowe boskie chwile, tak jak ponury purytanin będzie trzymał w głębinach swojej pamięci jakąś miłosną chwilę z przeszłości, pełną radości i najsłodsze grzechu.

Stoję przed płaskorzeźbami z Partenonu – dziewczęta o sterzających piersiach niosące dary dla bogini, młodzi jeźdźcy, czcigodni starcy – i czuję, że wielka tajemnica doskonałości życia i sztuki nazywa się: równowaga. Nie gwałtowny ruch ani rajski spokój; wielkie przeciwstawne siły, choćby i równoważyły się, to jednak z mocą i w niezauważalny sposób zaczynają się chwiać.

W sztuce greckiej ciało nie zostało zmuszone ani do tego, by ciężyć, żeby zdobyć siłę, ani do tego, by stać się eteryczne, żeby użyć wdzięku. Udało mu się osiągnąć lekkość materii, nie odbierając jej siły; udało mu się to dokładnie, aż do punktu, w którym wdźwięk bierze początek. Gdyby zatrzymało się trochę bliżej, stałoby się mocne i nieporuszone; gdyby posunęło się trochę dalej, okazałoby się słabe i zbyt pełne wdzięku. Dotarło do wyjątkowej, niezwykle cienkiej, niewidocznej gołym okiem, granicy doskonałej równowagi. To jest właśnie grecki cud.

Grecki artysta wszedł do lasu życia – zawiłego, mrocznego, gdzie nie widzisz nieba i dusisz się – wszedł do lasu życia i zaczął pracować. Posprzątał chaos, wyrzucił to, co zbędne, uczynił z lasu drzewo, a z drzewa kolumnę. Wyszedł i cały las zmieścił w jednej doryckiej kolumnie. Owa kolumna była esencją lasu i właśnie tej esencji poszukiwał. I ta kolumna pachniała sosną lub cyprysem, nie była oderwanym, mdłym ideogramem; pachniała drewnem, miała żywicę, dotykając jej, czułeś jej pochodzenie.

[...] Jak długo wytrzymał grecki cud? Jedną chwilę, jeden błysk? Ale co to znaczy?

Doskonałość nie trwa dłużej, ani nie ma potrzeby, by trwała. Wskazała, jaki wierzchołek może osiągnąć człowiek, a ten szczyt już stoi jako wieczny punkt graniczny wartości człowieka. Niedługo potem dorycka kolumna wypuściła liście na swoim wierzchołku, zapragnęła znów powrócić do postaci drzewa, sztuka helleniska stała się hellenistyczną, hellenistyczna orientalną. Ale co to oznacza? Skończyła się jej misja, mogła odejść.

¹² Rdz I, 2, Księgi Rodzaju po Żydowsku Bereszith, w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r.

[...] Pamiętam, jak w kolejnych dniach wchodziłem do British Museum i przechadzałem się, oczarowany, niezdecydowany pomiędzy moimi trzema miłościami – asyryjskimi płaskorzeźbami, orientalnymi miniaturami, greckimi marmurami. Próbowałem odkryć tajemnicę każdej z nich, ułożyć w hierarchii moje pragnienia i zaprowadzić porządek w mojej wewnętrznej anarchii.

przeł. Michał Bzinkowski, Rita Winiarska

Przekład na podstawie: Νίκος Καζαντζάκης, *Ταξιδεύοντας*. Αγγλία, Αθήνα 2014.

(Nikos Kazantzakis, *Podróżując*. Anglia, Ateny 2014)



Kostas Ouranis

Płynąc wśród brzegów dzikiego Mani

(fragment)

[...] Ulewa ustała i słońce przebijało się przez chmury, kiedy przybiliśmy do Kardamili – dużej wioski zwróconej w stronę morza, leżącej pod olbrzymim ciężarem Tajgetu, u ujścia stromego wąwozu. Domy, wszystkie kamienne i szare, stłoczone obok siebie wokół dwóch – trzech kwadratowych wież należących do dawnych familli, sprawiały melancholijne wrażenie. Jednak ta kamienna wioska, wypełniona podejrzliwością i odosobniona, jakie mogła mieć mury? Pas kwitnących oleandrów! Pomiedzy skałami wybrzeża a kamienną szarością domów te oleandry wyglądały jak ogromny koralowy naszyjnik.

Zostawiając za sobą Kardamili i mikroskopijną wysepkę w pobliżu – która ze swoją roślinnością i zrujnowaną wieżą wyglądała niczym niespodziewana wizja brzegów Renu pośród dramatycznej nagości Mani – popłynęliśmy wzdłuż malowniczego wybrzeża, pełnego cypli i zatoczek. Gdzieśgdzie zżarte skały jak olbrzymie gąbki, gdzie indziej jałowe pasma górskie ze spękanymi, karłowatymi drzewami. Miejscami na zboczach pojawiały się niewielkie siedliska ludzkie, jakby zapomniane przez świat, a osamotnione wieże daremnie pełniły wartę na pustkowiu górskich zboczy bezkresnego Tajgetu i wzburzonego morza. [...]

Na jałowym i targanym wiatrem Mani

(fragment)

[...] Na Mani miałem wrażenie, jakbym przeżywał stronicę romansu Teofila Gautiera. Jakby zaprosił mnie jakiś osamotniony szlachcic, ostatni z rodu, do jednej ze sławnych i opustoszałych wież, wzniesionych na środku koszmarnego pustkowia i jakbym dzielił z nim w ogromnej jadalni ostatniego kurczaka z jego kurnika – kurczaka chudego i wysuszonego, niewiele większego od drozda... Doprawdy, nie ma nic uboższego, ale zarazem nic o bardziej dumnym charakterze niż Mani.

Odnosisz wrażenie, że na tej górskiej, jałowej i opustoszałej ziemi nie wyrasta nic prócz wysokich i wąskich kwadratowych wież, i domów zbudowanych z solidnych kamieni. Te wieże są na Mani tym, czym gdzie indziej byłyby cyprysy. Widzisz, jak wszędzie się odcinają, czy na tle niedostępnych skał, czy ubogich wiosek – milczące pozostałości po czasach piratów i dniach, gdy wrogie wobec siebie rodziny żyły w nieprzerwanej podejrzliwości, spoglądały na siebie nawzajem przez otwory strzelnicze i na przemienne oddawały strzały ze strzelby, a czasem i z wielkich dział umieszczonych na blankach wież...

Można przemierzyć całe Wielkie Mani, nie spotykając żadnej roślinności prócz rachitycznych, dzikich, karłowatych drzew i udręczonych drzew oliwnych z podziurawionymi kikutami, zgiętymi ku ziemi przez nieprzerwanie wiejące wichry, galopujące po tych skalistych, górskich stepach. Kiedy na drodze wiodącej z Anopoli do Gythio minąłem strumień wylewający się spośród zieleni i kwitnących oleandrów, poczułem to samo mocne, radosne zdumienie, jakie z pewnością czuje podróżujący przez Saharę na widok oazy.

Zazwyczaj oko nie dostrzega nic prócz dzikich skał, głębokich rozpadlin i ognistych lub szarych skalistych gór, łysych jak żółwie skorupy i podzielonych – jak one – na mnóstwo nieregularnych geometrycznych kształtów: niskich ścian, które z daleka sprawiają wrażenie zrujnowanych prehistorycznych murów. Mowa o gospodarstwach – każdy jednak zastanawia się, dlaczego ich właściciele zadali sobie trud, by je ogrodzić (albo raczej: obwarować), skoro nie mieli do ochrony nic innego oprócz cierni i głązów...

Na zboczach niektórych gór ludzki trud i imperatyw życia umocniły na kamiennych tarasach tę niewielką ilość czerwonej gleby, występującej tu i ówdzie, aby nie zabierały jej ze sobą deszcze i wichry. Właśnie te „pola”, które obsiewają pszenicą lub jęczmieniem, są bardzo małe: ich długość wynosi od pięciu do dziesięciu metrów, a szerokość zaledwie od czterech do pięciu.

To wszystko sprawia, że łatwo jest zrozumieć, jak ciężkie i ubogie musi być życie na tych dzikich greckich kresach. To tutaj

osiąga swoją kulminację słynna „grecka oszczędność”, którą, oddając należny jej honor, uwzniośliśmy do rasowej cnoty! Powiedziano mi, że najlepszym i najbogatszym daniem na Mani, z dumą ofiarowanym cudzoziemcowi, którego sami Manioci próbują przy wyjątkowych okazjach, są drozdy, solone i przechowywane przez wiele miesięcy w oliwie. Oczywiście, łatwo można wyobrazić sobie, jaki smak mogą mieć te z mumifikowane ptaki zatopione w oliwie. Ja, który w pewnej wiosce na Mani zjadłem mięso nie-poddane mumifikacji, a jedynie przyrządzone z oliwą, zapewniam was, że nigdy nie zapomnę ani jego smaku, ani zapachu. A jednak nigdzie indziej w Grecji nie spotkałem ludzi tak gościnnych i tak dobrych, jak na Mani. Każdy mieszkaniec mógłby powiedzieć, parafrazując słynne wersy Verlaine’a:

Jestem ubogi, nie mam nic;

to, co mam, gościu, ofiaruję tobie...

Wszyscy, aż do największego biedaka, mieli wrodzoną uprzejmość, wielką łagodność w manierach, a dobre nastawienie, które okazywali, nie miało w sobie nic ze służalczości.

W Areopoli, w małym hotelu, w którym zatrzymaliśmy się, żona właściciela, pokazując nam nasz pokój, powiedziała: – Zmienię wam pościel, bo jesteście gośćmi! – Spojrzałem na pościel – i z radością pomyślałem, jaka to niesamowita rzecz, być gościem na Mani...

przeł. Michał Bzinkowski, Rita Winiarska

Przekład na podstawie: Κώστας Ουράνης, *Ταξίδια: Ελλάδα*, Αθήνα 2008.

(Kostas Ouranis, *Podróże: Grecja*, Ateny 2008)



Krzysztof Lisowski

Gdzieś w Tessali, blisko Larissy

podchodzi przemiana przez trawy wysokie
skrada się do oliwek
suchy jasny szmer

nic nie będzie jak było
jeszcze wszystko trwa
w swoich ciałach i kształtach

z drugiej strony nadciągają cykady
ich wieczne chóry
między gałęziami

ogień jest
wściekłym psem
nigdy się nie cofa

Świetlitość

rano siedziałem w ogrodzie
widziałem jasno poszczególność
jak tamci dawni

smocze drzewa między starymi oliwkami
cztery bawiące się koty
lustro na dachu z napisem „Minos”
chwytające promienie słoneczne

na ścieżkach nikogo
zniknąłem i ja skoncentrowany na samym patrzeniu

musiało się to zdarzyć gdy godzin nie było
w tamten dzień kiedy z dużym trudem
stwarzał się wiatr i zaczynał oddzielać
niebo od morza

Na skałach, w podziemiu

klasztory na skałach
o świętych napowietrznych imionach
przez orła przyniesione kolebki

Klasztor Metamorfozy
Święty Warłaam
Świętej Trójcy
Świętego Stefana Męczennika
Rusanu
Świętego Mikołaja Odpoczywającego

dzwony i hymny
wzniesione ponad głowy
na niewidzialnych drabinach

i te drugie
podziemne świątynie sprzed narodzin Pana Naszego

>>

groby gdzie prócz królów znaleźli mieszkanie zwykli
/Macedończycy

Alkietas Teokryt Teofanis Landros
Pefkolaos Filotas i Klio
czerwony napis na wazie
MATKA BOGÓW I ZAGŁADA
złoty wieniec zapomnianego władcy

a między nimi
błękitem i ciemnością
ktoś szukający Eurydyki
pośród spadłych fig
w galeriach upału

Michał Bzinkowski

★ ★ ★ ★ ★

stara Greczynka
siwa jak gołąb
zanurzony w popiołach wieków
przemierza plac Arystotelesa
szeroką aleją
schodzącą ze wzgórz
wprost do zatoki
w której kołysze się
jeden tylko tankowiec
przez morze w kolorze stali
posyłający smutne pozdrowienie
osamotnionej Białej Wieży

znaki niejasne
dawno minionego blasku
bizantyńskiej metropolii w ujścia Wardaru
rodzimego miasta Ojca Turków

jednak bezzębna staruszka
chwiejąc się na krzywych nogach
ściskając w dłoniach
dwa foliowe worki
z niewielką zawartością
nieznużona odmową udzielenia pomocy
bezbłędnie cedzi słowa
z kosmopolitycznej mowy
dzisiejszego świata

strażniczka nieprzemijającej chwały
dawnych imperiów

17.10.2016, Saloniki, Plac Arystotelesa

★ ★ ★ ★ ★

zadziwiająca
najstarsza budowla Salonik
wzniesiona na początku naszej ery
zwalista Rotunda
pogańska świątynia
mauzoleum pewnego zagubionego cesarza
bizantyńska bazylika
i turecki meczet
z którego pozostał osamotniony minaret
strzelisty kolec
pokruszonego z upływem stuleci
drapieżnego jeżozwiera
który przysnął znużony
pokrywając pół starego kontynentu
otępiałym od nargili cielskiem

ale
najbardziej zdumiewające
są resztki mozaik
na sklepieniu
gdzie w centralnym punkcie kopuły
czterech archaniołów
obejmuje dłońmi
niebieski okrąg

tyle że
z jednego z nich
pozostała zaledwie dłoń
i skrzydło
więc może niepewny los
niebieskiego kręgu
i nieuchronnie oddała się gdzieś
wytrącony na zawsze
z opiekuńczych anielskich dłoni
sunąc w mrok
rozpędanego w próżni wszechświata

czyż jest ten krąg
którego strzegą archanioły

nie wiedzieli tego wówczas
nie wiemy tego i my

w opisie w języku angielskim
the *celestial sphere*
jednak Grecy widzą to inaczej
sfera *tou kosmou*

a prawda jak zwykle zapewne jest
gdzieś pomiędzy

19.10.2016, Saloniki, Rotunda

Ewa Elżbieta Nowakowska

Café Kosmogonia

W miasteczku Paleochora
wiatr wyszarpuje włosy
przygodnym gościom.

Podszywa się
pod Ducha Świętego,
choć przy takich metodach działania
nietrudno wykryć maskradę.

Jestem tu
przez mgnienie oka.

Starczy, by zrobić zdjęcie
farbkowej zatoce
i gmatwaninie skał.

Idę ku dzwonnicy
zaryglowanej cerkwi,
na chwilę wychyla się zza rogu
Café Kosmogonia.

Zaczepy planet w porcie
pachną dzikimi kaparami.

Powstający przez godzinę kosmos
wydaje się jadalny.

Spija się go potem z filiżanek
i zagryza wargi,
by nie wybuchnąć śmiechem.

Zapalniczka

W Grocie Mądrości Bożej
w Katsomatado
przy ikonie Pantokratora
leży zapalniczka.

Widać żarliwość wiernych
nie wystarczy,
by płonęły świece.

Miód

Nie pozostaje mi nic innego
jak uwierzyć
wbrew krótkowzrocznym oczom
w istnienie rowków znaków
choć tabliczki tak zamazane

Ostatecznie coś tam odczytali
umieścili w gablocie z objaśnieniem
w językach całkiem obcych
śladom pierwowzorom

Notuję są tu imiona tkaczy
ofiary z miodu dla Zeusa i Dionizosa
wzmianka o pobliskim sanktuarium
uszaty znak jak spłoszony zajęc
o umorusanym pyszczku
przekreślone koło – unieważniony bóg
grzbiety górskie i linie faliste

Na tabliczkach szkli się miód

Nikt nie przystaje
Nie wolno fotografować

Mimo to obok nagrobnej steli
z siedzącą kobietą
i połową stojącego młodzieńca
dwie czarnoskóre dziewczyny
pozują ze śmiechem do zdjęcia

Ich usta lśnią od błyszczyku

Nikos Kazantzakis | ur. 1885, zm. 1957. Powieściopisarz, poeta, dramaturg, tłumacz. Autor głośnych powieści *Grek Zorba* i *Ostatnie kuszenie Chrystusa*

Kostas Ouranis | ur. 1890, zm. 1953. Grecki poeta, dziennikarz, autor esejów podróżnych.

Krzysztof Lisowski | ur. 1954. Poeta, eseista, redaktor Wydawnictwa Literackiego. Ostatnio wydał *Niektóre miejsca na ziemi. Przewodnik wojażera* (2017).

Michał Bzinkowski | ur. 1975. Tłumacz m.in. Jorgosa Seferisa. Eseista, poeta. Wykładowca w Instytucie Filologii Klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ewa Elżbieta Nowakowska | ur. 1972. Poetka, tłumaczka, eseistka.

Rita Winiarska | Absolwentka filologii klasycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tłumaczy literaturę nowogrecką, zwłaszcza poetów współczesnych.

Współczesna literatura grecka

Jorgos Markopoulos

Jakikolwiek wyślij mi znak

Twoim imieniem wołać cię już nie mogę.

Jednak jakikolwiek wyślij mi znak.

Bo jestem sam
jak dym po zabójstwie w lufie pistoletu
i jak dziki figowiec
który nagle wyrósł na pogorzelisku.

Jak łyżka z komunią
od wieczora w ustach konającego o poranku
i jak dąb w miejscu egzekucji,
jestem sam i na ciebie czekam.

Ze zmysłami wytężonymi
jak koty na wezwanie tawerniarza.
Z okiem, którego nerw wzrokowy
jest odbiciem nieba w mikroskopie
i z uchem, którego bębenek
jest niczym cygański namiot.

Ze słowami pierzchającymi w panice
jak kozy nagłym widokiem pociągu,
oraz z duszą mroczną, która jednak wiele widzi
niczym zamknięte w soczewce oko zegarmistrzów,
jestem sam.

Jestem sam i na ciebie czekam.

Mówi rozbójnik

Zmęczyłem się już wyżynami
i pragnę na niziny zstąpić,
dłoń ziemskiej ucałować Marii
która przycina w ogrodzie bluszczyt
i wyrabia, w zagrodzie obok, marmoladę.

Zmęczyłem się, mówię wam, zmęczyłem się,
noc coraz bardziej mnie rani
a gorączka nie do powstrzymania,
niczym wróg zwaloną wieżę strażniczą, zagarnia mnie.

Minęło już popołudnie
i wioski, zielone rzeńskie pola
gdzieś tam w oddali na równinie oglądam.

Minęło popołudnie i już zmierzcha.

Śmierć w pordezwiątych wodnych młynach się płacze,
ptaki odlatują, znikają,
a szaleńców głęboko w uszach
ścigają psy,
ścigają psy i dzwony.

Sylvia Plath

Pewną ręką i mężnym sercem
odkrywa rozpad po jego podszewkach.
Jej słowo jak czarny ptak, którego niespodziewana ręka
wyciągnęła z gniazda szukając czegoś innego;
ostre i gorące słowo, dziecięcy płacz niemowlęcia
i pierwszy wyrwany ząb dziecka
na białej chuście chrzcielnej, czerwony, skrwawiony.

Głos lwicy, ale i skarga kobiety,
która rozbiera się w innym pokoju
po daremnej próbie upragnionego wyjścia.
Odgłosy nieokreślonych kroków, wizyt śmierci.
Melodyjny trzask drewna, rozmowy milczerń, rozpadliny próżni
i proch strzelniczy zdyszany w zagłębieniach deszczu.
Przecucie strachu i jeszcze jesień, morze,
wieś, łyż, przeszłość, przejrzystość, samotność
a w głębi jeziora
pierścień pamięci niech błyszczy.

Psie

Psie, który biegniesz za koniem,
i psie, który pilnujesz czapki swego pana.
Wyprowadzasz ze szronu nomadów,
którzy ci bezgłośnie ufają.
Oto i wy, podążacie razem,
widzę was w głębi równiny jak obłoki pary,
gdy zmierzacie, by zastukać w drzwi losu raz jeszcze.
Psie, jesteś beztroski,
jednak wyczuwasz śmierć i łkasz przy studniach.
Psie, głowo twarda i czaszko rozedrgana przy księżycach.
Jesteś bratem, lecz dyszysz jak ojciec.
Zmierzch z twego pyska zstępuje
a z oczu umykają iskry, z pradawnego pożaru.
Wysyłasz swój głos w zaświaty
a potem osłupiały jak cudzoziemka siadasz i słuchasz go.

Psie, który zjadasz, psie, który zjadasz chmury.

przeł. Michał Bzinkowski

Przekład na podstawie: Γιώργος Μαρκόπουλος, Κρυφός κυνηγός,
Τρίτη έκδοση, Κέδρος 2010.

Jenny Mastoraki

Opowieści o głębi

fragment

I ZWIĘZŁY OPIS OWEGO MIEJSCA, GDZIE DOKONUJE SIĘ WSZYSTKICH STRASZNYCH RZECZY

Najpierw niech rozszałe się wiatr, ciężki i czerwony od wiekowych bitew.
I dymy z gór, gdzie lśnią starożytne ruiny, sceny triumfów i mordów.
Niech puszcza będzie cienista, by królowie na nocnych łowach gubili drogę; bądź rebelianci, bladzi, dobywali sztyletów.
Jednak łowca wszędzie sam, a za nim ścigający.

II MIŁOSNE CIERPIENIA (PODZIEMIA)

W tajemnych stoach, z wisielcami i wodorostami, szum jakby płynącej wody. Dużo wody.
Za ścianami coś pełźnie, ogromne i ciężkie, już przypieczone na przeraźliwym ogniu, być może studnia, jakieś podziemne przejście, które wybuchła, wciąż kurcząc się i zasysając. Bezdźwięcznie.
Tam będą czekać delikatni mężczyźni we łzach. Z długimi włosami, opadającymi prosto w mroku, jak u topielców.

Z PODZIEMNEGO ŚWIATA

Piękne kobiety z Podziemnego Świata, z szerokimi spódnicami i oczyma pełnymi łez. „Urocz, urocz!” mówili im, przypierając je do ściany. Później zmienili je w piosenki. Pouczające kobiety. Z szyjami pełnymi sińców. Ze zmiętymi halkami. A na ich lnianych pantalonach pęcznieje wielka plama krwi, jak ciemny liść.
Niechaj to właśnie pozostanie ze starożytnych smutków. Ze starożytnych miłości.

MIŁOSNE CIERPIENIA

Wszędzie woda, jak na flamandzkich pejzażach, których nie przenika światło ni ryba, a z otchłani głosy, pieśni bojowe wojsk oblężni-
czych, pęknięcia, średniowieczne rany, pozłacane oblicza barbarzyńców i ból.

Lutnia w poprzek piersi, gwóźdź w oku, a jeszcze dalej nieustraszeni mężowie, szlachetna panna, a wokoło wojska w bitewnym szale –
Piękny obraz i zielony, który nazwę „Miłosnymi cierpieniami”.

PIWNICE

Domy, które nigdyś budowano, były puste od spodu, a miejsca te nazywano wówczas piwnicami. Trzymano w nich przeróżne
rzeczy: stare ubrania, obuwie, kosztowności i piękne szkła, sztywne suknie ślubne i albumy, kawałki mebli o trudnych nazwach,
a często także niektóre osoby, które bardzo kochano. W takich przypadkach całowano je mocno i zamykano w środku, a zaraz
potem zamurowywano wszystkie drzwi, żeby nie mogły ich otworzyć i uciec.

Skoro nie było wyjścia, a ściany mocno ścisnęły, trzymały się dobrze dawne miłości i wszyscy myśleli, że są nieśmiertelne.

NIEWIERNI

Niech pozostanie niepojęty ten łoskot w żłobieniach podziemnych i tunelach, niczym uciekinier nad jeziorem o świcie.

Smutkami stuleci niech dmą wichry, wlokąc lęki skrytych miłości, talizmany, czarne warkocze, małe nabożne dary wotywnne, mło-
dzieńców zmokniętych do szpiku kości w nagłej ulewie, o zmierzchu.

I rozliczne rzeki porywające dachy nędzników, ogłoszenia o małym zasięgu, przynaglenia, napomnienia i przysięgi, uściski i łzy.
Unoszące łoża niewiernych małżonków i niemęskie słowa „tęsknię za tobą”.

przeł. Michał Bzinkowski

Przekład na podstawie: Τζένη Μαστοράκη, Ιστορίες για τα βαθιά, Κέδρος 1986.

Jorgis Manousakis

Pod parasolką

Panny z dawnej epoki
trzymały słońce z dala od siebie.
Pod białą parasolką
światło dyskretnie muskało
ich twarze, cienie spoczywały
na delikatnych policzkach.

Pod płóciennym skrzydłem
szeleściły ich słowa
jak liście topoli.
Ich sekrety nie wymykały się nigdy
poza cienisty krąg
ich parasolki. Nie ulegały
nachalnemu letniemu światłu.

Ciernie

Krzewy różane w ogrodzie nie kwitną w tym roku. Jedynie ich ciernie wydłużają się, stają się bardziej zakrzywione, wyczeku-
ją naszego nadejścia. Nie masz odwagi się zbliżyć. Wczepiają się w twoje ubranie, złośliwie drapią cię w ręce. Podstęp-
nie potrząsają swoimi gałązkami, jak koty, mierząc w stronę twojej twarzy, w oczy. A im bardziej zmagasz się, by się uwolnić
z potrzasku, w tym większą pułapkę wpadasz. W żadnym wypadku nie możesz stracić opanowania. Metodycznie i szybko musisz
odcinać pędy, które się ciebie uczepiły, nożyczkami – koniecznie masz je mieć przy sobie.
W przeciwnym razie kto wie co może się stać. Niedawno znalazłem naszego psa martwego, owiniętego w ich sploty. Jeszcze
bieleje jakiś gołąb u korzenia nigdyś najpiękniejszego krzewu różanego.

Rzeczy w domu

Kiedy powracasz do domu
po wielomiesięcznej nieobecności
rzeczy zachowują się wobec ciebie
dziwnie. Witasz je
spojrzeniem, głaskasz
palcami, a one pozostają
nieme i zimne, bez
odpowiedzi.

Przesuwasz fotel
on zaś trzeszczy na podłodze
przestraszony. Bierzesz jakąś książkę
a jej kartki, sklezione, nie chcą
się odwrócić. Wazon wyslizguje się
z rąk i roztrzaskuje.
A kuchenny nóż
podstępnie przecina twą dłoń.

Każdy twój ruch wzbudza
ich nieufność. Mają wątpliwości
co do twych zamiarów. Rzeczy
łatwo zapominają. Musisz mieć
do nich cierpliwość. Potrzeba czasu,
by do ciebie przywykły.

Odmowa wyjścia

Powiadają, że dawny właściciel, który zbudował ten dom, za żadne skarby nie chciał się odcepić – nawet gdy był już martwy – od
tego, co przez czterdzieści pięć lat było jego skorupą. Chwytał się drzwi, łapał się ścian jak ośmiornica niewidzialną magnetycz-
ną substancją, która jakby wyciekała z porów jego żółtej skóry. Ci, którzy nieśli trumnę, musieli przebijać się siłą, i mimo że była
zima i padał deszcz, czuli, że się pocą z wysiłku, aż zdołali przejść przez drzwi wejściowe.
Od tamtej pory dom zaczął marnieć w przyspieszonym tempie. My, oczywiście, gdy go kupowaliśmy, nie znaliśmy tej historii. Teraz
jednak widzimy, jak łatwo poluźniają się dachówki, jak tynk odpada kawałkami albo odklejają się płytki podłogowe. Ciągłe musimy
go naprawiać.

przeł. Michał Bzinkowski i Rita Winiarska

Jorgos Markopoulos | ur. 1951. Poeta. Autor m.in. Μη σκελάξεις το ποτάμι (*Nie przykrywaj rzeki*) nominowanej w 2000 do European Union Prize.

Jenny Mastoraki | ur. 1949. Grecka poetka i tłumaczka.

Jorgis Manousakis | ur. 1933, zm. 2008. Jeden z najbardziej znanych poetów kreteńskich, eseista, filolog. Uhonorowany nagrodą Kazantzakisa
za całokształt twórczości (1977) i Państwową Nagrodą w kategorii Esejów Podróżnych za zbiór *Dziennik podróży po Sfakiá* (1981).

Wojciech Ligęza

Utajone pod powierzchnią rzeczy

(o poezji Beaty Szymańskiej)

Beata Szymańska, bez wątpienia autorytet w dziedzinie filozofii kultury oraz trudnej do zrozumienia przez ludzi z naszego kręgu kulturowego myśli wschodniej, jest autorką książek *Poeta i nieznane. Poglądy filozoficzne Antoniego Langego, Przeżycia i uczucia jako wartość w filozofii polskiego modernizmu, Mistycy i pesymiści, Co to znaczy "być sobą". Filozoficzne aspekty pojęcia samorealizacji, Kultury i porównania, Chiński buddyzm chan*. Jakkolwiek w wywiadach oraz autokomentarzach uczona oddziela naukową refleksję filozoficzną od sztuki poetyckiej, gdyż oba obszary aktywności wymagają uwagi wyłączonej, jak również odrębnych metod tworzenia tekstów, to jednak w jej utworach literackich zauważalne są filozoficzne inspiracje. Krytycy wskazywali na Bergsonowskie wątki rozważań o czasie, rozpoznawali również ślady egzystencjalizmu – na przykład w refleksjach o samotności jednostki w świecie. Wskazać też warto w wierszach Szymańskiej podejście fenomenologiczne, kiedy świadomość podąża ku przedmiotom – w uważnych i spontanicznych poetyckich studiach przedmiotów i zjawisk.

W wierszach Beaty Szymańskiej przemknę cytaty z Hegla (*Chyćność rozumu*), da się rozpoznać przekształcony słynny aforyzm Kanta (*Niebo gwiazdziste nade mną; Chwała tym wszystkim*), wtrącony zostanie fragment wykładu o jońskich filozofach przyrody (*Wielkie wody*), tu i ówdzie wyłowimy pogłos a to Platona, a to Heideggera, niekiedy pojawi się jakiś filozoficzny termin, ale wiedza filozoficzna wraz z metodami poznawczymi przemieszczają się w obszary indywidualnej wrażliwości. Filozoficznemu wtajemniczeniu towarzyszy tutaj dystans – z przymieszką autoironii, niekiedy żartu. Jednakże zauważyć należy pewną grę. Otóż Beata Szymańska, sięgając po retorykę dowodzenia, równocześnie kompromituje taki dyskurs. Zadowolenie poznawcze trzeba bowiem odrzucić. Ciekawsza i bardziej skuteczna w spotkaniu ze światem jest – według poetki – milcząca kontemplacja.

13 Twórczość Beaty Szymańskiej wyróżniona została w 2014 r. Nagrodą Miasta Krakowa.

Szymańska stroni od uczonych abstrakcji pojęciowych, ważkie pytania metafizyczne zadaje w sytuacjach codziennych, nie gardzi potocznym doświadczeniem. W tych wierszach przygody myśli łączy z działaniami konkretnej osoby, która wyraźnie określa granice swojego świata – w sensie terytorium duchowego, ale również realnej topografii zamieszkiwania oraz wędrowania. Co więcej, intensywne świadectwa zmysłów nie zostają oddzielone od zdziwienia filozoficznego. W przypadku utworów Beaty Szymańskiej refleksje istnieniowe przechodzą przez próbę zdrowego rozsądku. Zatem każdy wrażliwy czytelnik staje się filozofem amatorem, któremu wolno w sposób niesystematyczny rozmyślać o wszystkim, co go spotyka podczas dziwnej podróży zwanej życiem. Za istotną cechę tej poezji uznałbym zaciekawienie małymi sprawami codzienności, które, obserwowane z uwagą, odświeżają reguły naszej niejasnej gry z istnieniem.

Ważna jest zatem oscylacja pomiędzy doznaniem a myślą. Uwaga poetycka skupia się na zwykłych realiach życia, których nie należy lekceważyć, a dopiero na dalszym planie ujawnić się mogą – choć rezultat nie jest pewny – zakryte obszary doświadczenia. Światy ludzkie konfrontowane są z pozaludzkimi obszarami natury i wielkim oddalonym kosmosem. Poetka tworzy obrazki liryczne połączone z nastawieniem refleksyjnym, z postawą kontemplacyjną. Woli poezję pytań od poezji odpowiedzi. Sięga po subtelny retorykę powtórzeń, układa rytmiczne frazy, które wspierają precyzyjnie myśli. Skłonność do wypowiedzi skrótowych jest w tym przypadku niezwykle istotna. Proporcje między milczeniem a mową zostają precyzyjnie wyznaczone. Uważność i skupienie lokują się na antypodach nerwowego migotania obrazów, charakterystycznego dla obecnie panującej estetyki poetyckiej.

Jednym ze źródeł, choć przecież nie jedynym, lakonicznej, opartej na kondensacji znaczeń liryki Beaty Szymańskiej jest krąg poezji Dalekiego Wschodu. Mikroobrazy przechodzące w milczenie, nagłe zatrzymanie chwili, próby przeniknięcia w świat natury, oglądanie małych rzeczy o wielkim znaczeniu

układają się w cykl miniatur zatytułowany *Basho* (ze zbioru *Anioły mojej ulicy*). Podobnie w zbiorze *Złota godzina* ćwiczenie uważności skupia się na pojedynczym przedmiocie, bądź wyizolowanej sytuacji. Jakby od szczegółu wszystko zależało. Wysoką pozycję uważnego skupienia poświadczają miniatury liryczne *Na parkingu* oraz *Tama*. W wierszu *Zniknąć można tak lekko* przeczytamy natomiast, że: „Świadczą na naszą korzyść zwykłe rzeczy”.

W zbiorze *Słodkich snów, Europo!* wyraźne inspiracje poezją *haikai* współuczestniczą w tworzeniu specyficznego widzenia świata, w którym wyeliminowane zostają nagłe emocje, górę zaś bierze uspokojenie oddawane słowem *mushin*. Wykształcona na tym gatunku lirycznym wrażliwość apeluje do zmysłów, rozpoznając wielkie w małym, ale też w grze przypadku odkrywa zaskakujące sensy. Nie wyklucza to wcale subtelności żartu:

Przy piaszczystej drodze źródło.
Słuchaj – płyną pod nami
Wielkie wody głębi
(*Źródło*)

Lecący z wiatrem kapelusze
Opada na kamienną głowę Buddy.
Ukłon.
(*Ukłon*)

Wyobrażenia, rekwizyty i sposoby wyrażania przejęte z kultury Wschodu, ujawniają się najmocniej w najnowszych książkach poetyckich Beaty Szymańskiej. Znajdziemy tam odniesienie do buddyjskich czterech szlachetnych prawd i nauki o Przebudzeniu (*Na poboczu*), wzmiankę o ogródkach *bonseki* – z ich naśladowaniem wielkich krajobrazów, z ich drobinowym pięknem (*Rzeczy zwracają się ku rzeczom*), przywołanie wiersza Busona Yosy (*Drzemka*), odsyłacz do opowiadki o śnie motylim Chuang Tzu, mistrza Tao, i zarazem śnie motyla (*Las nie za blisko*), wypis z Li Bo (bądź Li Bai), poety chińskiego z VIII wieku – wraz z legendą jego śmierci (*Księżyc wczesną jesienią*), przywołanie obrazu Ni Zana (*Chiński krajobraz*). Oczywiście wyliczenie nie gromadzi kompletu poetyckich nawiązań.

Co znamienne, świat roślinny, owadzi i zwierzęcy Beaty Szymańskiej ulega pomniejszeniu, dostosowaniu do mikrologii charakterystycznej dla wierszy *haikai*. W lirykach Szymańskiej kwiaty wiśni i uważnie obserwowane listki, żaby i motyle, muchy i ryby, jak również inni mali mieszkańcy łąk i wód przywodzą na myśl utwory Bashō, Issy i Busona. Lakoniczne historyjki o zwierzętach znikomych uchylają, a może tylko uzupełniają tradycję bajki zwierzęcej Ezopa. Najogólniej rzecz biorąc, każdy, nawet najdrobniejszy twór poszczególny, godny jest uznania w swej odrębności, gdyż tym sposobem wiele możemy się dowiedzieć o wspólnocie, do której należymy. Spełnić trzeba jeden warunek, mianowicie duma człowieka panującego nad stworzeniem winna zostać zamieniona na pokorę współobecności. Niweluje się odległość między wysokimi ideami a niską realnością. Rzecz zostaje wyłożona z ironią najwyższej próby:

... świat został stworzony
dla piękna, dobra, prawdy
osy i padalca.
(*Domek wiejski po moim wyjeździe*)

Powrócić wypadnie w okolice debiutu. Pierwszy wiersz Beaty Szymańskiej *Drogi* ukazał się w prasie – w roku 1958, a pierwszy cykl jej utworów poetyckich znalazł swoje miejsce w książce zbiorowej *Próba porównania* (1962) – obok wierszy Mieczysława Czumy, Wincentego Fabera, Leszka Aleksandra Moczulskiego. W roku 1977 Szymańska opublikowała zbiór prozy ascetycznie zatytułowany *Opowiadania*, a w latach 1965-2013 ukazało się siedem tomów poetyckich (*Sny o porządku, Szttychy reńskie, Trzciny, Wiersze, Anioły mojej ulicy, Słodkich snów, Europo!, Złota godzina*) oraz dwa Wybory wierszy (1987 i 2009).

Rozwój talentu poetyckiego Szymańskiej oraz krystalizowanie się jej oddzielnego świata nie tyle wywróżyć można, co wywieść z samodzielnej próby, czyli ze zbioru *Sny o porządku* (1965), którego tytuł ironicznie minimalizuje Staf-fowskie „sny o potędze”. Istotne w tym pierwszym autorskim zbiorze są diagnozy pokolenia, które pojawia się na scenie życia społecznego, przeto poetka często używa gramatycznej liczby mnogiej. Kolejne wiersze jednoczą napięcie między umykającym łańcem świata, a pragnieniem sensu, między ambicjami porządkującego umysłu a wielością rzeczy niepoddających się klasyfikacji.

Opowieść poetycka o generacji pełnej złudzeń, lecz marginalizowanej, wycofanej, niezdolnej do wypowiedzenia własnej prawdy, zbliża się niekiedy do rozpoznania Ewy Lipskiej z tego czasu, choćby w wierszu *Potrącając o sen*. „My”:

od urodzenia opłakujący utraconą młodość
Za każdym krokiem cofamy się aby zmyć
lekkomyślnie postawiony ślad stóp
przemykamy się pod specjalnie w tym celu
ustawionymi ścianami

Podobne portrety generacji znajdziemy na przykład w wierszach *Gdyby rozmyślać było nam zwyczajem* czy *Powrót nas nieobecnych*. Jednak w zbiorze *Sny o porządku* mocniejsze od kwestii socjologicznych są relacje z całym istnieniem – w chwili i trwaniu, doznawanie czasu, refleksja o zjawiskach, które nie poddają się nazwaniu. Poetka nie może się wyzbyć niepokoju, że pozostawiony ślad będzie nieczytelny, ulegnie rozmyciu. Mirażom porządku przeciwstawiane jest „chodzenie”, błędzenie, rozmiianie się ludzkich ścieżek, doznanie obcości (*Kiedy drogi się rozchodzą, Przechodząc miastem, Ścieżka za rzeką, Miasto*).

W *Snach o porządku* właściwy głos poetki jest słyszalny, choć napotkamy tam pewną liczbę poetyckich ozdobników i retorycznie wypracowanych zdań. Beata Szymańska odrzuca złudę władzy umysłu nad wielością form istnienia, kpi z pewności poznawczej („trująco pachniało grzybobraniem niezawinionych wyobrażeń”), za nic ma abstrakcje i hipostazy, ceni natomiast nieład żywiołów natury (*Sny o porządku*). Jan Pieszczachowicz w szkicu *Poezja dramatycznego szepotu* pisał o „powściągliwym sceptycyzmie”, „delikatności rysunku

i nastroju”, „dyskrecji emocjonalnej”, wreszcie – o przekornym widzeniu świata.

Studia poranków i zmierzchów, rozpoczęte w debiutancim tomie, powracają w *Sztynchach reńskich* (w kolejnych tomach Szymańskiej ten temat będzie uprzywilejowany). Przebudzenie jest powtórzonym otwarciem gry w życie, momentem wrażeń odnowionych, czasem, w którym nie działa jeszcze rutyna zachowań. W tej liryce istnienie ludzkie, zawieszone między światłem a ciemnością, wyrazistą tożsamością a utratą odrębnego „ja”, wpisuje się w rytm następstwa poranków i zmierzchów, kiedy relacje ze światem nie zostają jeszcze ustabilizowane, określone przez świadomość, bądź już się rozluźniają, kiedy przechodzimy pod władzę nocy.

O poranku niezaludnione przestrzenie nie należą do nas i właśnie ta „niczyjóść” staje się fascynująca. W przełomowej godzinie narzucone światu „nazwy i racje” nie mają żadnego znaczenia (*Wczesne godziny przedwiośnia*). Wyzwolony od ludzkich spojrzeń i słów „Ren piękny jest jeszcze / zielony i pełen / ryb i ciszy – ” (*Rozmowa pierwsza*). Inną postać ma zmierzch – pora sprzyjająca samotnej kontemplacji. Przypływanie rzeczy na pograniczu snu kwestionuje naszą dominującą pozycję w świecie, gdyż odrzucone zostają tego rodzaju hierarchie. Najwyraźniej zmierzch nie chce być zwierciadłem naszego losu (*Rozmowa druga*).

Liryka rozmowy w tomie *Sztychy reńskie* ma znamiona autoperswazyjne, nawet autowychowawcze. Zasadą mówienia staje się *soliloquium* tak skonstruowane, żeby wejście w siebie wyzbyło się kulturowych klisz. Księgi o złożonych grzbietach – powiada poetka – oferują jedynie „słodką” i słowiczą erudycję, wytwarzają sztuczny luksus myśli już opracowanych. Nie na wiele się przydają w poszukiwaniu osoby autentycznej. Paradoksalnie Beata Szymańska wiedzę o sobie utożsamia z zagubieniem oraz ogołoceniem. Zauważmy, iż pochwała zbawiennej niepewności posiłkuje się celnym żartem, by obrazy metaforyczne przemówiły, a przesłanie zachowało swą lotność:

*i biegasz tam i z powrotem tam i z powrotem
wśród zimnych białych rzeźb bez głowy
jak bardzo biedna mysz kościelna
zgubiona
w wysokich rejestrach organów
(Kiedy mówią o tobie)*

Tom *Trzciny* pozarozbudowanym (poematowym) wierszem *Nocna podróż* tworzy cykl miniaturowych liryków. W małych szkicach poetyckich, w których zmodernizowana zostaje tradycja epigramatu, odnajdziemy apologię ocalonego miejskiego drzewa – ubożego kuzyna czarnoleskiej lipy (*Na lipę*) oraz rozpoznamy ślady Przybosiowego opisu wieczoru (*Miasto*). Lapidarność wyrazu odpowiada przelotnym i polotnym doświadczeniom, a także nietrwałej relacji z miejscem. Na chwilę i w chwili ustala się związek między człowiekiem a przestrzenią. W *Trzcinach* najczęściej pojawiają się metafory potoku, rzeki, morza, oceanu oznaczające przepływ czasu i niepewność zanurzenia życia wobcym żywiole. Podobna jest w tym przypadku semantyka wiatru. Symbolikę trzciny (poetka umieszcza w tomie cztery wiersze o tym tytule) można odczytywać jako kruche bytowanie

na pograniczu stałego lądu i obszaru wód o zmiennym nurcie. Wskażmy jeszcze powtarzające się obrazy przygasającego światła, ciemniejącej wody, które skłonny byłbym pojmować jako przejście w strefę nieokreślonego, tak przecież ważnej w omawianej poezji.

W tamtym okresie twórczości poetyckie zdania Beaty Szymańskiej nabierały mocy sentencji: „słowo jest szybsze niż światło / i gaśnie nim jeszcze się stało” (*Czuwanie*); „Dorastać to wchodzić w rzekę / mądrą i niechętną” (*Dorastać*); „Cóż jest lepszego w ten wieczór / jak stracony czas” (*Spokój*). Ważkie miejsce zajmują dociekania dotyczące powstawania wiersza, który swój początek bierze z delikatnego sensualnego sygnału, nie z gwałtownego wstrząsu. W innych wierszach z tomu *Trzciny* poetka posługuje się skrótami obrazowymi, sięga również po odległe skojarzenia, a nade wszystko nie zapomina o krystalizującym się programie – zawartym (na przykład) w pytaniu: „czy przez dwie minuty / nie można się powstrzymać od wyjaśnień?” (****Być może ta czy owa sprawa...*).

Między *Trzcunami* (1970) a tomem *Wiersze* (1983) powstał spory odstęp w czasie. Można by nawet mówić o zmianie perspektywy związanej z historią. I jakkolwiek jedyny raz uderzy nas słowo „polityka” (*Podróże. Wakacje*), to jednak pojawiają się refleksje o lęku i odwadze, przemilczaniu i mowie, „bezprzyjaznej nudzie” otoczenia i niezależnej prywatności, smaku życia i gnębiącym dyzguście. W trudnym czasie stanu wojennego w Polsce, kiedy poeci starali się wypełniać w słowie zbiorowy obowiązek, mówiąca broni ocalającej wrażliwości, skali odczuwania w miarę szerokiej, osobnych osądów, prawa do zdumienia – pomimo wszystko. Wielkiej sprawie społecznej przeciwstawia się tutaj małe zadania i wzruszenia. Oto, co może (w jakimś wymiarze) uratować zbiorowość:

*... kwitnąca piwonia,
porządek w pokoju,
szarlotka, kawa, skrzypce,
choćiaż trochę skrzypiec
(Czy jestem dość odważna?)*

Okoliczności wypowiedzi zatarły się w czasie, odniesienia do zapaści PRL-u oraz do stanu wojennego nie są teraz zbyt czytelne, ale wyczuwa się depresyjną aurę oraz opresję skłamanych słów (np. *Na obrzeżu deszczu*). Z drobnych napomknień można odtworzyć niewygodne reguły komunikacji międzyludzkiej, zapoznać się z kryzysem zaufania, powrócić do kwestii literatury zaangażowanej, a przez to zredukowanej. Głoszone prawdy, choć to niewygodne, muszą zostać sprawdzone. Rówieśnicy bowiem: „zielone ordery racji / przypinają zaraz po wstaniu” (*Ludzie z mojego pokolenia*), a zgodność poglądów ustala się bez dowodów (*Rozmowy z przyjaciółką. Rozmowa natchniona*). Wieszcza trojańska odwraca swoją rolę, powiada mianowicie, że będzie dobrze, wiedząc, że zbliża się katastrofa. Klęska ma wymiar duchowy: choćby jeden radosny poniedziałek zdarzyć się może tylko na wyspie Utopii, do lamusa odesłać trzeba zachwyt nad naturą, przekreślić tradycje literatury, uchylić mądrość filozofii: „przesłanie pisane / dawno i daleko / zginęło przed włożeniem w kopertę” (*Kasandra*). Beata Szymańska posługuje się krytycznym myśleniem

wspieranym przez ironię – tyleż bezbronną, co konieczną. Dość na tym, że możliwy jest kolejny ruch rozpoczynający następny dzień, kolejną wiosnę.

Liryka Beaty Szymańskiej zachowuje czysty ton kontemplacji. O odniesieniach do haiku, o estetyce medytacyjnej i motywach przyrodniczych, już pisałem na wstępie tego szkicu, teraz chciałbym przerzucić się na kwestię przeżywania przestrzeni lokalnej – ograniczonej do własnej ulicy, do oswojonej dzielnicy. Chciałoby się powiedzieć, że wszędzie, gdzie umieszczona zostanie nasza uwaga, znajduje się centrum kosmosu. Życie różnorodne, złożone z mikrosceń i drobnych epizodów, wyzwala myślenie o niepojętej całości. W wierszach z tomu *Anioły mojej ulicy* Szymańskiej w topografii krakowskiego Kazimierza obserwacje rodzajowe mieszają się z dociekaniem filozoficznymi. „Luźni” ludzie ulicy (od czasów Villona niewiele się zmieniło) łączą występek z poczuciem wolności. Pani Władzia pijąca denaturat okazuje się wizjonerką przeżywającą ogrom bytu w postaci morza z archaicznej przeszłości miejsca (*Chłodny dzień na mojej ulicy*), a złodziejasek i karciarz pan Rysio prowadzi monolog o hedonizmie, wyrzeczeniu i pustce jako zasadzie czy też formie świata. Świadomość pana Rysia to projekcja, bohater wiersza *Chłopcy siedzą nad Wisłą* sprawia bowiem wrażenie, jakby zapoznał się z *Sutrą Serca Wielkiej Doskonałej Mądrości*, o której Beata Szymańska pisze w książce *Chiński buddyzm chan*. Zarazem wyrazista kreacja obwiesia z Kazimierza przypomina Schulzowskiego moralistycznie i filozoficznie usposobionego złodzieja Szłomę z opowiadania *Genialna epoka*.

Cykl *Anioły mojej ulicy* oscyluje między echem folkloru miejsko-podmiejskiego, gdy weźmiemy pod uwagę sylwetki plebejskich bohaterów i małe studia obyczajowe, a uczoną tradycją angelologiczną. W trybie na pół żartobliwego traktatu, którym poetka inkrustuje cudowną zwyczajność ulicy, przywoływani są z imienia Matatron (według żydowskich przekazów anioł w hierarchii najwyższy) i Sandalfon, brani na świadków dociekań – święty Ambroży i Hildegarda z Bingen, przy czym zagmatwane klasyfikacje anielskie – podziały ról i funkcji anielskich: „Strasliwe Cherubiny / Serafiny, Moce Trony” – pomimo „pracowitości” mówiącej nie uzyskają klarowności (*Anioł Stróż, Anioły z Czernej, Anioł mojej ulicy*), choćby z tego powodu, że uczeni w piśmie i święci pozostawili zbyt wiele sprzecznych ustaleń w tej ponadziemskiej materii.

Jak wiadomo, u Rilkego „Straszny jest każdy anioł” (*Elegie duinejskie*, 2), natomiast w omawianym cyklu Beaty Szymańskiej zdolna unicestwić człowieka siła nadprzyrodzonych istot ulega znacznemu ograniczeniu. Te Anioły trzymają się blisko ziemi, sekundują podniosłej zwykłości, albo inaczej – anioły stoją na kazimierskich trotuarach. Biedni aniołowie – bliscy ludziom – znaleźli się poza angelologicznym katalogiem, poza niebiańskim protokołem (*Anioł Stróż; Anioł mojej ulicy*). Wyżynne *sacrum* i nizinne *profanum* nie potrzebują tutaj obszarów oddzielnych. Nie można pominąć wyrafinowanego humoru, który polega na wykorzystaniu conceptualnego porównania („dym z papierosów / płynie nad głowami chłopców / jak bogini Nut”, *Chłopcy siedzą nad Wisłą*) lub utworzenia pomysłowej peryfrazy („słodka

polska winorośl / krąży między nami”, *Na mojej ulicy zaczyna się jesień*). W omawianym cyklu wartości peryferyjne, prywatne, autentycznie przeżyte liczą się bardziej niż światowe splendory i pozory, ponieważ przynależą do naprawdę własnych przestrzeni obserwacji oraz poszukiwań poetyckich. Beata Szymańska łączy ze sobą kilka jakości – metafizykę życia w małej skali, aurę (nieraz parodystycznie traktowanej) uczonej dyskusji, pochwałę sąsiedzkiej wspólnoty, solenną obrzędowość i trywialne jej formy.

Na osobnym planie refleksji Beata Szymańska umieszcza zagadnienia mowy i milczenia. Ta druga jakość – rzadsza w rozgadanim świecie, jest wyżej ceniona. Człowiek medytacyjny trzyma się z dala od gwaru świata, od wielości słów, które nieustannie płyną i powiększają chaos. Raczej należy istnieć przytomnie w świecie, niż świat tłumaczyć. Bracia mniejsi stają się tu nauczycielami milczenia. Broniąc się przed hałasem produkowanym przez ludzkie stada, programowo w tej poezji odnaleźć należy uciszenie, uspokojenie i zdolność zdumiewania się światem (*Zdziwienie i cisza*).

W tomie *Słodkich snów, Europo!* znajdziemy passus odnoszący się do chwil, które się nigdy nie powtórzą, i wówczas, podczas nieśpiesznej celebracji zwykłych zdarzeń, nasuwa się supozycja: „Może wcale nie trzeba / ani mówić, ani słuchać” (*Pijmy kawę, obierajmy jabłko*). Wielokrotnie poetka wznawia kwestie rozmów daremnych, nieporozumień w dialogu, milczenia. I jeszcze zacytujmy czterowiersz o wycofaniu się, potrzebie ciszy, a przede wszystkim o dotkliwej pladze wypowiedzi niekoniecznych:

*Milczenie przystoi temu,
kto już wie.
Dla pozostałych
żyć, to znaczy mówić.
(Mowa)*

Postawa uciszonej kontemplacji, dzięki której dostrzegalne staje się zróżnicowanie i wielość istnień, wiąże się z zejściem na marginesy przestrzenne naszej codzienności, opuszczenie rojowisk ludzkich, uważne przyglądanie a to mrówce, a to wróblom, a to kwiatom nasturcji. Przy czym słowo „zobaczyć” nie oznacza „zawładnąć”. I oto władczy gest demiurga czy właściciela świata zawisa w powietrzu, poddaństwo rzeczy zaś okazuje się pozorem:

*Kiedy wyciągasz rękę do świata,
aby uczynić go swoim,
rzeczy mówią: nie!
Nic z tego. Nawet nie próbuj.
(Wymij lusterko)*

Czytając wiersz *Trzeba było inaczej* (z tomu *Słodkich snów, Europo!*), zapoznamy się ze szczególną utopią wszechwiedzy, która, wbrew temu, co się sądzi, mogłaby okazać się mniej atrakcyjna niż tajemnica, a nawet szkodliwa dla poszukujących duchowości, etycznie podejrzana, bo wyzbyta dylematów. Zatem na szczęście nikt nie widział „grubej Księgi Złego i Dobrego”, a uzurpacje „władzy i wiedzy” na wstępie trzeba odrzucić.

Do boskich ambicji naszego gatunku poetka podchodzi z ironią. Co najwyżej w mikroskopijnej skali możemy uczestniczyć w dramatach braci mniejszych, bywa, że w sposób pomocny (np. *Trzeba kochać małych i nieszczęśliwych, W trawie, Pasikonik i strumień*). Niejako przy sposobności sformułowane zostają pytania o Niepojętą Istotę Najwyższą, o to czy, jak można przypuszczać, Jej opiekuńcze czuwanie ustawia ludzi w uprzywilejowanej pozycji, czy raczej tego rodzaju wyróżnienie nam się nie należy. Musi się więc pojawić podkopująca wyobrażenia antropocentryczne wątpliwość: „wcale nie jest pewne, / czy moje sprawy i sprawy komara / rozpatruje ta sama Osoba” (*Komar*).

Nieźle jest, jeśli czasami dobitnie do nas przemówi nieludzka strona świata. Na tym terytorium czujemy się mniej pewnie, a przez to uwaga musi zostać zwielokrotniona (*Rzecz zwracają się ku rzeczom*). W wierszach Beaty Szymańskiej nierozstrzygalność okazuje się zbawienna, wymagająca od nas więcej niż pewność. Poetka raz po raz wskazuje sfery, w których mieszka „nie wiadomo co” – za kurtyną, pod pokrywką rzeczywistości (np. *Przejaw*). Jak się powiedziało, znaczenie „ja” ulega redukcji, jak u mistrzów Zen, wtopione bowiem zostaje w porządek wszelkich bytów. Powtarzana jest tutaj cierpliwie zasada obecności, uczestnictwa. „Tyle małych, mocnych zdarzeń / przypomina mi, po co jestem” – przeczytamy w wierszu *Roślina pije wodę*.

W ostatnich zbiorach Szymańskiej przekonanie o znakowości zjawisk zostaje osłabione. Można by zaryzykować taką próbę interpretacji, która eksponowałaby znoszenie przeciwności. Otóż jawne jest ukryte, a ukryte – jawne, między powierzchnią rzeczy a głębią dokonują się wymiany i nie sposób oddzielić od siebie warstw obserwacji. Na przykład wlatująca do pokoju pszczoła jest zarazem znakiem i nie-znakiem (*Znaki*). Beata Szymańska – w klarownych sekwencjach słów, w wyrazistych obrazach oferuje odbiorcy niełatwą lekcję poznawczo twórczej niewiedzy, lekcję paradoksalnej jasnej niejasności. W zdaniach, które kwestionują potrzebę ingerencji naszego umysłu w porządek świata (a znajdziemy w tych utworach takich sformułowań sporo) – jak to już zostało zaznaczone – przejawia się delikatnie zarysowana kpina z pewników i prawideł rozumienia. Według poetki ład świata konstituuje się poza naszym porządkowaniem.

Pozostawiona sama sobie natura spełnia własne niepojęte plany – bez ludzkich ulepszeń. Co więcej, człowiek-agresor, nie zdając sobie sprawy z własnej kruchości, niszczy małe istnienia, nieznaczące, według jego miar brzydkie (*Jesteśmy tu tylko przejazdem*). Zwróćmy uwagę na to, że w poezji Szymańskiej udogodnienia cywilizacji (najczęstszym rekwytem jest samochód) wyglądają jak stwory przybyłe z innej planety, jak narzędzia ludzkiej inwazji naruszające dobrze ustanowiony ład przyrody. Może więc lepiej pomyśleć w sposób dla nas nieprzyjemny, rujnujący dobre samopoczucie: „im mniej będzie mnie, tym więcej świata” (dwuwiersz to fraza tytułowa wiersza ze zbioru *Złota godzina*).

Nasze przelotne istnienie obserwowane jest przez poetkę w zmiennych chwilach: w przestrzeni wilegiatur – z dala od światowego gwaru, a często w ruchu z miejsc odwiedzanych w przelocie, w podróży. Doświadczenie w tych wierszach oznacza wątpliwości. Po drugiej stronie zachwyty lokuje się

obcość człowieka w świecie, a także cierpienie – niedające się przezwyciężyć czy oswoić. Nie samym zachwytem żyje bowiem człowiek. Jeśli szukać pewnego dowodu na istnienie świata, to – według poetki – może być on wywiedziony „ex dolore – z bólu”, gdyż każdy z nas utworzony został „z tego, co obce, / a co obce boli” (*Jeszcze jeden dowód na istnienie świata*).

Warto przywołać celną formułę Krzysztofa Lisowskiego, który pisał, iż Beata Szymańska jest „poetką łagodnej mądrości”. W jej wierszach ważną rolę odgrywa zatem spór z przyjętymi sposobami odbioru świata, skierowanie refleksji w strony rzadko odwiedzane. Równocześnie wspomniana dojrzała mądrość zyskuje przejrzysty kształt poetycki, wyzbyty słów podniosłych, czyli zbytecznych, przekazujący czułą aprobatę istnienia i otwarcie na małe epifanie. Wystrzegając się mentorstwa i dydaktyki, poetka zapisuje na pół niedopowiedziane rady, na pół milczące wskazówki, które dalece odbiegają od praktyk społecznych siły, władzy, przemocy, pewności, aktywnego działania za wszelką cenę, które aż nadto dobrze znamy. Oto kilka przykładów (ze *Złotej godziny*) zdań gramatycznie imperatywnych, perswazyjnych bez ostentacji, w istocie wskazujących tylko możliwości wyboru: „... jeżeli nie masz własnej drogi, / bez wahania obierz drogę cudzą (*Bezdroża*); „Wejź na ten kruchy most / z potłuczonego szkła [...] Jeśli znajdziesz choć jeden zamek, / żeby niewiedomo jak biedny, / zdobądź go!” (*Odwagi!*); „Idź szybko przez pomarańczową noc / już dnieje” (*Już dnieje*). Ogólniejsze przesłanie natomiast tak brzmi: „Sznujcie małe sprawy / i bywajcie zdrowi (*List. Wysłać do wielu*). W jakimś sensie to kuszenie przez nieoczywistość, albo też zachętę do ryzyka, określić można mianem antyaforyzmów. Przypomina się komentarz Julii Hartwig do *Błysków* – z rozmowy z Jarosławem Mikołajewskim: te mikroformy stanowią „rodzaj porozumienia nie tyle ze światem, ile z innymi ludźmi myślącymi, z którymi – pisze poetka – spotykam się na drodze niepewności i poszukiwań”. Ta analogia okazuje się w naszej lekturze pożyteczna.

W poezji Beaty Szymańskiej zachwyt towarzyszy mądrości, która niczego nie orzeka raz na zawsze, lecz utwierdza niesłabnące zdumienie. Oto w liryku *Słońce świeci pionowo* z cyklu *Wiersze sądeckie* gradacyjne następstwo wersów przekazuje zauroczenie, które, w miarę patrzenia, narasta:

*Lśnienie.
Migotanie rybich łusek, kamieni,
błyszcząca puszka po konserwach,
samo światło!*

Światło w odbiciach i odbłaskach tworzy ulotną materię tych wierszy. Mistrzostwo artystyczne objawia się w niuansach i odcieniach. Właśnie studiowanie rodzaju, barwy oraz intensywności światła w lirykach o porankach i zmierzchach, od czasów debiutu rozwijanych i wzbogacanych przez poetkę, wyraża zmienność rzeczy i stwarzające się od nowa piękno. Każdego poranka, każdej nowej wiosny następuje zaskakujący i zachwycający „...rozkwit rzeczy, / któremu jeszcze raz trzeba sprostać” (*Wiosna, może i tak*). Afirmatywne są odpowiedzi na wezwanie świata. Wszakże, jak w fotografii, nie będzie daremne oczekiwanie na odpowiednie światło, czy raczej na właściwe oświetlenie życia – w prześwicie, w chwili.

*Każdemu powinna się zdarzyć
po południu w środku lata:
złota godzina –
plaster miodu
dymiący ciepłem na talerzu dłoni.
(Złota godzina)*

W wierszach Beaty Szymańskiej zgoda na dane nam istnienie z pozoru tylko wydaje się spontaniczna, gdyż w istocie poprzedzona zostaje ćwiczeniami uważności, cierpliwości, nawet – wyrzeczenia. I w poezji ze znakomitym efektem można poprzestać na małym. W utworach w formie haiku, w lapidarnych notatkach, w strzępach przypowieści, obrazkach-medytacjach przekazana zostaje wielka pochwała ciszy i milczenia, czułego zachwyty, nieśpiesznych wędrówek, prywatnych odkryć, poszanowania wszelkich istnień – od zaby do człowieka. Poezja myśli nie przekreśla jakości emocjonalnych. Lektura wierszy Szymańskiej skłania do namysłu nad utraconą wrażliwością naszych współczesnych, którzy w hałasie, jazgocie, zamęcie poszukują oparcia i ocalenia.

Beata Szymańska

Kto jeszcze nigdy nie zblądził

Kto jeszcze nigdy nie zblądził
będzie gorzko żałował.
Ale jeszcze nic straconego!
Niech wyjdzie nad daleki staw
tętniący rybim życiem
i tam śmiało ruszy
stąpając lekko po powierzchni wody.
Odwagi! Musi się udać!
A kiedy już dotrze spokojnie
między splątane wodorosty
na piaszczystym dnie,
wtedy sam zobaczy,
że tak w gruncie rzeczy
nie było się czego bać.

Co jest prawdziwe

Każde dzieciństwo
jest trochę zamazane,
jak niewyraźna fotografia.
Coś na kółkach?
Mały wóz strażacki?
Ja na zielonej łące?
W zimie? Niemożliwe!
A najzabawniejsze,
że już nikt o tym nie opowie.

Twórczość poetycka Beaty Szymańskiej wyróżnia się osobnym stylem łączącym w sobie zapisy chwil epifanicznych oraz partie refleksyjne, wprowadzane jakby mimochodem, tylko jako sugestie drogi do przebycia. Przy tym odsłonięta zostaje metoda poetycka – szkicu, drobnego spostrzeżenia o głębszym sensie, precyzyjnej mikroanalizy. Zwykle w swych lirykach poetka operuje pytaniami, domysłami, niedopowiedzeniami, zawieszając niezbitą pewność. Unika wiedzy wspólnej, już spożytkowanej wielokrotnie. Dzieli się z czytelnikami wahaniami poznawczymi, pragnie dotrzeć do nienazwanych odczuć przelotnych, spraw nieoczywistych, stających się zjawisk. Przedmiotem domysłów i dociekań jest w tych wierszach to, co niedostrzeżone, przeczuwalne, utajone pod powierzchnią rzeczy.

Wojciech Ligęza | ur. 1951. Historyk literatury, eseista, krytyk literacki. Profesor tytularny na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor m.in. opracowania i wstępu do *Wyboru poezji* Wisławy Szymborskiej, który ukazał się w serii Biblioteki Narodowej (2016).

Chyba trzeba postanowić
że to wszystko mnie nie dotyczy
i wędrować wesoło o poranku
przez bardzo prawdziwe ulice.

Idę, oddycham

Idę, oddycham.
Zielony sznurek Plant skręca się i rozkręca
Jak dobrze, kiedy na pytanie „Co słyszać?”
można odpowiedzieć „Nic!”
Obok dziewczynka mówi
do małego ubłoconego psa:
„Jesteś niegrzeczny! Ale i tak cię kocham”.
Kończy się zima
więc może niedługo coś się przebije
przez zamarzniętą ziemię
i będziemy świętować,
każdy na swoją miarę!
Idę, oddycham, może zdążyć!

Beata Szymańska | ur. 1938. Poetka. Profesor filozofii związana z Uniwersytetem Jagiellońskim.

Na dobry początek

Jerzy Franczak | ur. 1978. Prozaik, eseista, poeta, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ostatnio wydał *Rozkład* (2017).

Pogoda była w sam raz na rower i akurat wypadła sobota – dzień, w którym Anthime mógł sobie pozwolić na wolne, więc po obiedzie wybrał się na przejażdżkę. Chciał wygrzać się w słońcu, odetchnąć świeżym powietrzem i pewnie też wyciągnąć się z książką na trawie, bo do roweru przytroczył sprężyną jakieś tomisko, zbyt ciężkie jak na druciany bagażnik. Wyjechał z miasta na wolnym kole, bez wysiłku zrobił dziesięć kilometrów po płaskim, a potem, gdy droga zaczęła piąć się w górę, stanął na pedałach i balansując ciałem na prawo i lewo, nieco spocony, dotarł na szczyt. Nie była to jakaś duża góra, w Wandei takich nie ma, ale stanowiła dobry punkt widokowy.

Jean Echenoz, 1914, przeł. Anna Michalska, Warszawa 2014.

Jak wiadomo, pierwszy akapit jest najważniejszy. W inicjalnych zdaniach autor wykonuje wiele znaczących wyborów: kreuje jakiś świat, nierzadko wprowadza bohatera, wybiera perspektywę, z której będzie mu się przyglądał, ustawia głos i dykcję, a także definiuje wstępne gatunek i konwencję. To swego rodzaju gest w stronę odbiorcy – pisarz sygnalizuje, na jakich warunkach przebiegać będzie komunikacja,

proponuje nam pewien pakt czytelniczy, który możemy zaakceptować lub nie. To rodzaj kontraktu, a także zaproszenie do opowieści, czasem zagadka, niekiedy prowokacja. Wyjawszy dzieła o zmiennej strategii narracyjnej (jak choćby *Ulysses* Jamesa Joyce’a) pierwszy akapit zawiera w sobie *in nuce* całość książki; po jego lekturze możemy się spodziewać, czy rzecz będzie klarowna, czy raczej zawiła lub enigmatyczna, realistyczna czy fantastyczna, prosta językowo czy metaforyczna. Z początkowego passusu – jeśli przeczytać uważnie wszystko, co zawiera się między wierszami, a także w międzysłowniu – można wydobyć nawet więcej, od światoobrazu autora po horyzont myślowy epoki. Przekonują o tym liczne uczone analizy i subtelne eseje poświęcone właśnie tym epickim zagajeniom (np. *Opowieść się rozpoczyna*, gdzie Amos Oz pochyla się nad utworami Antona Czechowa, Franza Kafki czy Gabriela Garcii Márqueza).

Jean Echenoz to jeden z najbardziej poczytnych autorów francuskich, pisarz wielkiej wrażliwości i znakomity warsztatowiec (co, rzecz jasna, powinno brzmieć jak największy komplement!). Opublikowana kilka lat temu powieść pt. *1914* to bestsellerowa minisaga osnuta wokół wydarzeń sprzed stu lat. Używam określenia „minisaga”,

bo książka liczy sobie raptem siedemdziesiąt stron, a przy tym zawiera bogatą fabułę budowaną na rozległym epokowym tle i jako żywo mogłaby stać się materiałem na serial historyczny. Ta zwięzłość sama w sobie wydaje się frapująca. Może to znak czasów? Może pisarz na tyle szanuje czas czytelnika, że proponuje książkę, której przeczytanie zajmuje nie więcej niż obejrzenie pełnometrażowego filmu? A może ta literacka asceza stanowi odpowiedź na pisarskie automatyzmy i czytelnicze przyzwyczajenia (wielki temat – opasła powieść)? Może to nawet wstęp do żałoby po freskach w rodzaju *Wojny i pokoju* albo ukryta polemika ze współczesnymi trendami, które faworyzują powieści-cegły (*nota bene* w roku premiery *1914* triumfy święcił *Au revoir là-haut* Pierre’a Lemaitre’a, sześciusetstronicowy epos o weteranach Wielkiej Wojny)? Przy odrobinie dobrej woli dałoby się nawet powiedzieć, że otrzymujemy dokument pracowanej traumy: żałoba po Wielkiej Wojnie dopełniła się i oto groza powraca pod postacią garści oswojonych obrazów! Sam Echenoz puszcza do nas oko, gdy pozwala sobie na przyrównanie wojny do opery – obie, jak twierdzi, są „widowiskowe, pompatyczne, przesadne, bardzo hałaśliwe, pełne męczących dłużyzn i w sumie dość nudne”.

Otwarcie *1914* jest pod wieloma względami tradycyjne. Otrzymujemy klasyczny opis, w którym wyraźnie nakreślone zostają przestrzeń i czas zdarzeń, a także pierwszy szkic do portretu protagonisty. Echenoz ponawia gest pisarzy realistycznych i podsuwa nam znany cyrograf: sugeruje, byśmy właściwie oswojony tryb lekturowy, w którym równocześnie rekonstruujemy akcję i sprawdzamy akuratność *mimesis* (aktywizujemy wiedzę historyczną, oceniamy prawdopodobieństwo zdarzeń, wiarygodność psychologiczną postaci, adekwatność językową etc.). O jego niebywalej sprawności warsztatowej świadczy nagromadzenie danych, które budują powieściowy świat. Ile informacji przemycił w tym krótkim akapicie! Poznajemy miejsce zdarzeń, w skali mikro i w skali makro, czyli zarówno konkretny pejzaż (miasto, równina, wzgórze), jak lokalizację (Wandeja, Francja). Poznajemy czas akcji: porę dnia (popołudnie), dzień (sobota) i porę roku (lato); datę roczną precyzuje tytuł, a datę miesięczną potrafiemy z łatwością dopowiedzieć po przeczytaniu kolejnych czterech akapitów, gdyż za chwilę zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja (mamy zatem 1 sierpnia). Poznajemy wreszcie głównego bohatera – sympatycznego młodzieńca, który wybiera się na wycieczkę rowerową i piknik z grubą (!) książką.

Fakt, że pisarz wyprowadza go na wzniesienie, wydaje się wymowny. Anthime ma szansę ogarnąć spojrzeniem okolicę – a metonimicznie: Francję, świat, swoje życie – nim dostrzeże z góry niezwykle poruszenie w miasteczku i usłyszy, jak dzwony biją na trwogę. Rzuca pożegnalne spojrzenie Europie doby belle époque, która za chwilę zniknie bezpowrotnie, żegna się też ze swoją niewinną młodością. W przeciagu doby – dopowiedzmy – zostanie powołany, otrzyma numer ewidencyjny i stanie się mięsem armatnim. Pierwszy akapit buduje więc kontrastem dalszej opowieści. Echenoz nie oszczędzi nam szczegółów okopowego koszmaru: ogłuszający ostrzał artyleryjski; żołnierze brnący przez księżycowy pejzaż, by odbić z rąk przeciwnika kilka metrów błotnistej ziemi; stosy trupów pożeranych przez szczury; kłęby trującego gazu; schowani w transejach

ludzie w maskach podobni istotom z fantastycznego bestiarium... Sielankowa scena przerwana piknikiem nabierze znaczenia w kontekście obrazów okropności wojny. To ostatnie chwile spokoju, za chwilę *locus amoenus* zmieni się w *locus horridus*, prywatna idylla ustąpi miejsca teatrowi przemocy, a Stary Kontynent obudzi się z długiego snu i wkroczy w burzliwe „najkrótsze stulecie”.

Z początkowego passusu – jeśli przeczytać uważnie wszystko, co zawiera się między wierszami, a także w międzysłowniu – można wydobyć nawet więcej, od światoobrazu autora po horyzont myślowy epoki.

Kto mówi w tym fragmencie? Nie jest to określona postać, lecz bezcielesny byt, abstrakcyjna instancja narracyjna, czyli dziwny i niepokojący twór, który obłaskawiamy nazwą „trzecioosobowy narrator wszechwiedzący”. Jest trzecioosobowym, gdyż nie mówi niczego o sobie, a tylko relacjonuje przygody bohaterów. Wycofuje się z wykreowanego świata w tym sensie, że nie stanowi jego części, ale przyznaje sobie quasi-boskie prerogatywy. Jest wszechwiedzącym, ponieważ ma dostęp do pełnej wiedzy o tym świecie i o zamieszkujących go ludziach, ma dostęp nawet do ich myśli i emocji. Wszechwiedza pozostaje konwencją, zdążyliśmy się do niej przyzwyczaić, choć nie ma w niej nic oczywistego i w ogóle nie występuje w pozapowieściowym świecie. Pisarze zresztą ułatwiają nam oswojenie tej nieoczywistości i każą narratorom ukrywać swoje supranaturalne zdolności, dawkują nam tę wszechwiedzę stopniowo, niczym truciznę. Zaczynają na przykład tak: „Na początku lipca, w dzień nadzwyczajnie upalny, przed wieczorem wyszedł na miasto ze swego nędznego, sublokatorskiego

pokoiku, odnajmowanego przy ulicy S-kiej, pewien młody człowiek i wolnym krokiem, jakby niezdecydowanie, skierował się w stronę mostu K-go” (Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*). Oczywiście za chwilę ów przebiegły opowiadacz odkryje karty i okaże się, że o „pewnym młodym człowieku” wie absolutnie wszystko i zna każde poruszenie jego skołataną duszy. Echenoz wykonuje podobny manewr, choć czyni to dyskretnie: udaje, że domniemywa („pewnie chciał”) i że nie dostrzega detali („jakieś tomisko”), słowem kryguje się leciutko i markuje ignorancję, choć przecież od razu zna imię tego kawalera, jego rytm pracy („mógł pozwolić sobie na wolne”) i jego zachcianki („chciał wygrzać się w słońcu”).

Fabula jeszcze nie ruszyła, dopiero w drugim rozdziale zawiąże się wielopłaszczyznowy konflikt: ten zbrojny (wyruszenie na front) i ten rodzinno-melodramatyczny (rozstanie z narzeczoną). Zostawmy więc *mythos* i skupmy się na *lexis*. Fragment ten jest, powiedzielibyśmy, dość neutralny (czy „nienacechowany stylistycznie”), ale z drugiej strony wiemy dobrze, że nie ma języka neutralnego (i pisania bezstylowego). W każdym razie mało tu słownej wynalazczości, brak metafor i oryginalnych sformułowań, wyjąwszy może dość tajemnicze „wyjechał na wolnym kole”, będące w istocie kalką francuskiego zwrotu *en roue libre*, który znaczy tyle, co „z łatwością, bez wysiłku” (gdzie indziej natomiast tłumaczka zrezygnowała z obrazowych detali, takich jak „pełne, sierpniowe słońce” czy „wzniósł się na pedałach niby tancerka”; ponadto wyciszyła porozumiewawczy sygnał wysłany do czytelnika francuskiego: „wiemy, jak wysokie są pagórki w Wandei”). Moją uwagę zwraca fakt, że opis ten jest wybitnie okulocentryczny; spośród wszystkich bodźców sensorycznych wybiera jedynie te wzrokowe. Nie ma tu żadnych zapachów i smaków, żadnych wrażeń dotykowych, nie dobiega nawet dźwięk (choć może celowo: to całkiem dosłownie „cisza przed burzą”). Jak wyglądałby ten tekst, gdyby uzupełnić go o opisy innych doznań zmysłowych?

To jedna z (nieskończenie) wielu wariacji tekstowych, które możemy sobie wyobrazić. Tutaj pozwolę sobie na dygresję. Otóż w tekstach z cyklu

Wariacje – pora wyjaśnić ten sprytny tytuł – zamierzam proponować takie „przymiarki do przeróbki”, czyli rozważać inne, potencjalne wersje cytowanego tekstu. Wielu może uznać tę praktykę za bezczelną, zważywszy, że będę przytaczać teksty znakomite, a nierzadko klasyczne. I będę mieli rację! Jest w tym pewna doza bezczelności, ale bezczelność, skoro w ogóle chwytna za pióro, wydaje się absolutnie konieczna. Każde dobrze wykonane dzieło dałoby się wykonać nieco inaczej, a przy tym wcale nie gorzej. Arcydzieło, jak sama nazwa wskazuje, to dzieło, co wyszło spod ręki mistrza, dowód rzemieślniczego kunsztu i precyzji wykonania (co podkreślają słowa takie jak *Masterpiece*, *Meisterstück*, *Chefs-d’oeuvre*). Czytając je, podziwiamy sobie do woli zawrotną technikę, dlaczego jednak mielibyśmy się powstrzymać od nanoszenia zmian? Ani to obraz olejny, ani rzeźba

i ostatecznie, jeżeli coś spartaczymy, bez trudu uda się przywrócić wersję pierwotną.

Akurat Echenoz nie onieśmiela zaudto, pofantazjujemy więc swobodnie. Co by się zmieniło, gdyby zwiększyć wyjściową dawkę niewiedzy i pozostać przy zewnętrznym oglądzie „pewnego młodzieńca”? Albo przeciwnie, gdyby nasycić ów fragment informacjami o bohaterze, jego spostrzeżeniami, myślami, emocjami? Te dwa rozwiązania zupełnie inaczej regulują dystans między czytelnikiem a bohaterem. Czy któryś z nich ułatwia albo utrudnia utożsamianie się z nim? Po drugie, możemy się zastanowić, w jaki sposób na wydzwięk tego akapitu wpłynęłoby uszczegółowienie opisu lub „podkręcenie” jego stylistycznych walorów (dodanie przenośni, archaizacja, zmiana składni itp.)? Na pewno tekst stałby się cokolwiek gęstszy, zaczęłyby stawiać opór,

a pośrednio ujawniłaby się instancja narratora – przez sam fakt, że przemawia do nas w sposób ozdobny lub niezwykajny. I wreszcie, po trzecie, jaki skutek przyniosłoby przerzucenie narracji do pierwszej osoby? „Chciałem wygrzać się w słońcu, odetchnąć świeżym powietrzem i pewnie też...”. Nie, tego nie da się zrobić przez mechaniczną podmianę końcówek. Taki manewr wymaga podwojenia perspektywy; należy zachować część boskich prerogatyw, żeby kontrolować przebieg zdarzeń, a przy tym trzeba stać się Anthimem, przyjąć jego punkt widzenia (tudzież słyszenia, wąchania, smakowania i czucia!) i wyruszyć ku przeznaczeniu (które uprzednio powinno się starannie obmyślić).

Co czeka Anthime’a u kresu jego drogi, nie powiem, bo jednak nie wszystko wypada. Dodam tylko, że rzecz kończy się zaskakująco, a mordercą wcale nie jest stary kamerdyner.

Maciej Miłkowski

Fatalizm gramatyki

Jak skonstruowana jest „Aura” Carlosa Fuentes’a?

Maciej Miłkowski | ur. 1980. Prozaik, krytyk literacki, tłumacz. Ostatnio wydał tom opowiadań *Drugie spotkanie* (2017).

Aura Carlosa Fuentes’a to jeden z nielicznych – obok *Na zawsze w górze* Davida Fostera Wallace’a, *Pani położyła się obok ciebie* Julio Cortazara czy kilku rozdziałów *Jeśli zimową nocą podróżny* Italo Calvino – przykładów udanego i konsekwentnego zastosowania narracji w drugiej osobie liczby pojedynczej.

W literaturze klasycznej druga osoba liczby pojedynczej pojawia się w zasadzie tylko w partiach, w których autor zwraca się bezpośrednio do czytelnika. Co ciekawe, taki zabieg jest zupełnie naturalny u Cervantesa czy Sterne’a, u Tomasza Manna (*Doktor Faustus*) robi wrażenie jakiejś programowej sta-

roświeckości, a w rękach Calvino czy Bartha (*Bakunowy faktor*) staje się niezwykle wyrafinowaną i nowoczesną techniką. Istotnie, zwrócenie się wprost do czytelnika w dziele fabularnym (bo już nie w esejie czy traktacie) jest przekroczeniem pewnej granicy, czy wręcz złamaniem jakiegoś tabu – bo czytelnik

jest jedynym „bohaterem” fikcji literackiej, który nie jest fikcyjny, który realnie (czy choćby potencjalnie) istnieje.

Pisarze współcześni niekiedy sięgają po drugą osobę liczby pojedynczej nie po to, by zwrócić się do czytelnika, ale by zwrócić się do swojego bohatera (tak jest we wspomnianych tekstach Cortazara i Wallace’a). U jeszcze innych (Calvino) obie te techniki występują łącznie – czytelnik z *Jeśli zimową nocą podróżny* jest zarazem czytelnikiem, jak i bohaterem. Fuentes w *Aurze* zwraca się wyłącznie do swojego fikcyjnego bohatera, ale musi być w pełni świadomy tradycji zwracania się do rzeczywistego czytelnika: opowiadanie zaczyna się swego rodzaju grą z tą konwencją.

„Czytasz to ogłoszenie...”¹⁴ – rozpoczyna się *Aura*, a rzeczywisty czytelnik utworu Fuentes’a znajduje się wówczas w sytuacji, w której faktycznie coś czyta: traktując rzecz dosłownie, można powiedzieć, że czytelnik czyta, że właśnie czyta. W kolejnym zdaniu Fuentes jeszcze pogłębia i podkreśla tę sytuację („Czytasz [...] i odczytujesz na nowo”), jeszcze mocniej igrając z konwencją, gdy w trzecim zdaniu oświadcza, iż „[oferta] wydaje się skierowana tylko do ciebie, do nikogo więcej”. Rzeczywiście, myśli czytelnik, naprawdę teraz czytam i w jakimś sensie to, co czytam, skierowane jest wyłącznie do mnie. Ta fikcja zostanie jednak przez Fuentes’a rozbита jeszcze w pierwszym akapicie, kiedy to okaże się, że czytającym ogłoszenie jest młody historyk, niejaki Felipe Montero. Nie jestem żadnym Montero – rozpoznaje sytuację czytelnik, orientując się, że pisane w drugiej osobie zdania wcale nie są skierowane do niego. W pułpkę tej podwójności wpada oczywiście też sam Montero (będzie w nią stale wpadać na kolejnych kartach opowiadania). Przecież to on miał wrażenie, że tekst jest „skierowany tylko do niego”, a równocześnie z nim takie samo wrażenie miał ktoś inny. W ten sposób w pierwszym akapicie Fuentes każe swojemu bohaterowi się omylić co do swojej wyjątkowości czy może wręcz tożsamości, a dzięki zastosowaniu narracji drugoosobowej

pomyłkę odkrywa – a nawet mimowolnie stwarza – sam czytelnik, zręcznie przez autora uwikłany w całą tę sytuację.

Zastawiona na Montero pułapka rozwija się w drugim akapicie, kiedy mężczyźni nie zaczynają towarzyszyć obawy, że jakiś inny młody historyk mógł przeczytać wcześniej to ogłoszenie. Pozornie jest to tylko wyraz naturalnego zaniepokojenia, że ktoś inny mógłby sprzątnąć mu sprzed nosa atrakcyjną posadę, ale w istocie Fuentes w ten sposób drugi raz sygnalizuje, że Montero wcale nie jest bytem pojedynczym, niepowtarzalnym i jedynym – że tuż za rogiem może czaić się jakiś jego sobowtór. Temu samemu zresztą służy przedstawienie bohatera nie wprost, ale za pomocą treści ogłoszenia. Fuentes nie informuje bezpośrednio czytelnika, że Montero jest młody, że jest historykiem, że zna francuski – tylko przedstawia treść ogłoszenia (poszukiwany jest młody historyk ze znajomością francuskiego) i oznajmia nam, że Montero świetnie spełnia wszystkie te kryteria.

Skoro jednak ustaliliśmy już właściwego odbiorcę narracji drugoosobowej (nie jest wcale skierowana do czytelnika), czyli bohatera, to można powiedzieć, że Fuentes informuje samego Montero o tym, że jest młody, że jest historykiem, że zna francuski. Taka jest zresztą natura narracji prowadzonej w drugiej osobie. Postać informuje się o jej własnych perypetiach. Komuś opowiada się jego własną historię. Taka konstrukcja w nieuchronny sposób zakłada istnienie jakiegoś narratora – kogoś, kto opowiada. Okazuje się więc, że narracja w drugiej osobie jest w jakimś sensie zamuflowaną narracją pierwszoosobową.

Trudno wyobrazić sobie rzeczywistą sytuację, w której jakiejś osobie opowiada się jej przygody. (W epoce przedkomputerowej istniały papierowe gry RPG dla jednego gracza, które polegały na czytaniu książki, podejmowaniu decyzji i przeszkakiwaniu do odpowiednich dalszych paragrafów. W tych książkach-grach tekst napisany był właśnie w takim stylu. „Wchodzisz do komnaty, rozglądasz się, na północnej ścianie widzisz drzwi”). Tego typu opowiadanie ma siłą rzeczy charakter rekonstrukcji, a powodem jej prowadzenia musi być jakiś niedostatek poznawczy lub świadome przekłamanie po stronie bohatera.

Można na przykład wyobrazić sobie, że postaci dotkniętej amnezją opowiada się jej własne perypetie. Albo że konfrontuje się z nimi kogoś, kto nas wcześniej okłamywał, czy kto próbował przed nami zataić wydarzenia, w jakich brał udział. Drugiej osoby użyje na przykład policjant w czasie przesłuchania, mówiąc: „Dnia takiego a takiego byłeś tam i tam, rozmawiałeś z tym i z tym, zrobiłeś to lub owo”.

Tego typu rekonstrukcja zakłada jednak użycie czasu przeszłego. Tymczasem w *Aurze* narracja prowadzona jest konsekwentnie w czasie teraźniejszym, momentami zaś również w przyszłym. Nie jest to więc re-konstrukcja, a raczej jakaś proto-konstrukcja. Opowiadający narrator usytuowany jest w przeszłości wobec opisywanych w książce zdarzeń. Narrator niejako zapowiada nieszczęsnemu Montero jego przyszłe losy. Raz jeszcze okazuje się, że jest on postacią bezradną, niejako z góry skazaną, niesamodzielną, bezwonną. To odwrócenie porządku czasowego Fuentes dodatkowo podkreśla w kilku akapitach, które rozpoczynają się czasem przyszłym, przechodzącym następnie w teraźniejszy. Przyszłość jest w jakimś sensie wcześniejsza od teraźniejszości – jest wcześniejsza nie w czasie, ale w porządku przyczynowo-skutkowym. Teraźniejszość wynika z przyszłości. Fatalizm, który dopadnie (dopada, dopadł) Montero, wyrażony jest już w samej gramatyce.

Dalsza fabuła opowiadania daje się streścić w trzech zdaniach. Montero dostaje pracę, która polega na zredagowaniu zapisków zmarłego kilkadziesiąt lat temu generała Llorente. Na czas pracy nad rękopisem ma zamieszkać w starym domu wiekowej wdowy po generale, gdzie oprócz staruszki mieszka również jej młodzianka siostrzenica, tytułowa *Aura*. Montero zakochuje się w *Aurze*, by rychło się przekonać, że młoda dziewczyna i staruszka są w istocie tą samą osobą, czy może raczej dwiema emanacjami tej samej osoby. (Ciekawe, że streszczając fabułę opowiadania, mimowolnie „prostuje się” narrację, przerabiając drugą osobę na klasyczną trzecią).

Każdy uważny czytelnik szybko odkryje, że wdowa i młodzianka *Aura* są jakoś ze sobą ponadnaturalnie powiązane.

¹⁴ Wszystkie cytaty za: Carlos Fuentes, *Aura*, przeł. Kalina Wojciechowska, Kraków 1974.

Fuentes wielokrotnie to sygnalizuje. Obie kobiety, kiedy pojawiają się razem, wykonują te same gesty, stanowią swoje odbicia lustrzane. Sam Montero również w jakimś sensie wie, że Aura, w której się zakochuje, jest tą samą osobą, co stuletnia staruszka. Nie wie tylko, że on sam również jest kimś na kształt Aury – sobowtorem przywołanym, by odegrał rolę kogoś innego.

**Rzeczywiście,
myśli czytelnik,
naprawdę
teraz czytam
i w jakimś sensie to,
co czytam,
skierowane jest
wyłącznie
do mnie.**

Tę drugą podwójność Montero przejrzę dopiero w ostatnich akapitach książki – i sądzę, że nawet najbardziej uważny czytelnik nie odkryje jej wcześniej. Czytelnik, podobnie jak i sam Montero, będzie omamiony wyraźnie widocznymi sobowtórami kobiecymi i przypuszczalnie nie dostrzeże, że mężczyzn łączy również ten sam rodzaj relacji. Na pierwszy rzut oka w opowiadaniu występuje zresztą tylko jedna postać męska, jednakże Fuentes wielokrotnie sygnalizuje, że za Montero czai się ktoś inny, dokładnie tak samo jak za Aurą czai się wdowa. Sama symetria konstrukcji domaga się czwartej postaci – drugiego, starszego mężczyzny, który domknąłby kwadrat (warto podkreślić, że w tekście nie ma żadnych postaci drugoplanowych: żadnego przyjaciela Montero, żadnej kelnerki, żadnego listonosza). Podając do stołu, Aura ustawia zresztą cztery nakrycia, na co Montero w żaden sposób nie reaguje, jakby przyjmował naturalnie ten układ rzeczy, ten wyrok odczytany mu równocześnie z odczytywaniem mu jego własnych losów.

Czwartą postacią jest oczywiście zmarły generał, który wciela się w młodego Montero, tak jak wdowa wciela się w Aurę. Każda kolejna lektura opowiadania pokazuje wyraźnie, że Fuentes od

samego początku takie rozwiązanie zapowiadał. Odarty w pierwszym akapicie ze złudzenia wyjątkowości i skonfrontowany w drugim akapicie z przecuciem istnienia kogoś innego, Montero będzie przez cały tekst dostawał sygnały dotyczące swojej roli. Patrząc na cudzą poduszkę, zorientuje się, że „nic nie jest twoje”. Nad ranem poczuje się, jak „sobowtór poczęty w nocy”. Zresztą już w samej powierzonej mu pracy kryje się zapowiedź przyszłych (przeszłych) losów. To tylko Montero wmawia sobie, że ma „zredagować” notatki generała, podczas gdy wdowa wyraźnie mu mówi, że ma je „dokończyć”.

Całe opowiadanie otacza specyficzna atmosfera (specyficzna aura). Dom, z którego nie da się uciec, tajemnicze rękopisy, przemierzające dom zwierzęta, ciemność – wszystko to elementy, po które z powodzeniem mógłby sięgnąć autor powieści gotyckiej. Rekwizitorium Fuentesa jest jednak znacznie szersze. Aura jest dziełem niezwykle plastycznym. Autor gorliwie wymienia barwy niemal wszystkich przedmiotów (poszczególne: zielona, czarna, biała są zresztą związane z konkretnymi postaciami, a ich przenikanie się sygnalizuje zacieranie się granic między samymi postaciami). W dodatku drobiazgowo przedstawione są również faktury przedmiotów, materiały, z których je wykonano. Zawsze dokładnie opisane jest oświetlenie (część jego brak). Sporo tu dźwięków, mnóstwo zapachów. To bardzo zmysłowa – w sensie dosłownym – literatura. Wiadomo jednak, że to właśnie zmysły są tym, co nas łądzi i co w Aurze łądzi samego Montero. Kontrastem wobec zmysłowej rzeczywistości są sny, które w tajemniczym domostwie wdowy nawiedzają bohatera. To w snach dochodzi do wszystkich zbliżeń Montero i Aury – nie wiadomo więc, czy w ogóle mają one miejsce. Przy opisach tych snów, czy półsnów, Fuentes stosuje specyficzną, rwaną narrację, wprowadzając akapity w środku zdań. Z jednej strony więc zdania płyną naturalnym, racjonalnym, linearnym rytmem – z drugiej zaś ulegają sennemu przemieszaniu i rozproszeniu.

Dialogi prowadzone w snach są kontynuowane na jawie. Jawa jest równocześnie snem, tak jak wdowa jest Aurą, a Montero jest generałem. Cała

ta podwójność wyraźnie rysuje się w ostatnim dialogu, kiedy już sam zaimiek osobowy odnoszony jest do dwóch różnych (teoretycznie) postaci. „Ona może wrócić w każdej chwili” – mówi do Aury Montero, mając na myśli wdowę. „Ona już nie wróci” – odpowiada mu wdowa, mając na myśli Aurę. Chwilę później Montero zaczyna mówić do staruszki „Auro”. Po chwili całuje „białe włosy Aury” – fuzja postaci osiągnęła pełnię.

Można rozmaicie rozplątywać liczne dychotomie tej idealnie kwadratowej opowieści, napisanej z doskonałą symetrią. Dwie kobiety spotykają się z dwoma mężczyznami: to dwa boki kwadratu. Dwoje jest młodych, dwoje jest starych: to kolejne dwa boki. Dwoje żyje (młody mężczyzna i stara kobieta), dwoje nie żyje (stary mężczyzna i młoda kobieta): to są dwie przekątne. Podstawowym tematem jest oczywiście relacja życie – śmierć i biegnąca z nią nierównoległa relacja młodość – starość. Już sama fraza „młody historyk” wyznacza wszystkie dwukierunkowe osie tego opowiadania. Aura jest jednak również opowieścią o spleceniu kultury europejskiej (starej i męskiej) z amerykańską (młodą i kobiecą) – tak jak u Nabokova, u którego Lolita jest Ameryką, a Humbert Humbert Europą.

Do rozplątania pozostaje ostatnia zagadka. Kim jest narrator Aury, którego pozornie wcale tu nie ma, a którego istnienie można wywieść jedynie teoretycznie jako gramatyczną konieczność? Moim zdaniem jest nim sam zmarły generał, który stwarza czy przywołuje młodego Montero, tak jak wdowa przywołuje Aurę. Generał powołuje Montero do życia i zapowiada mu jego losy, prowadząc go po kolejnych liniach opowieści, aż do nieuniknionego finału.

Przy całym wyrafinowaniu konstrukcyjnym Aura daje się również czytać jako mroczna opowieść o duchach i liryczna historia o „miłości, która zwycięży śmierć”. I chyba najwspanialszym osiągnięciem Fuentesa w tym idealnie wykrojonym i oszlifowanym opowiadaniu jest udowodnienie, że tajemniczą, oniryczną i magiczną aurę opowieści da się stworzyć bez zamożnych, likworów i komentarzy. Wystarczy gramatyka.

Sprawy | 1

Anna Nasiłowska

Czego nauczyłam się od Skandynawów?

Anna Nasiłowska | ur. 1958. Poetka, pisarka, pracownik Instytutu Badań Literackich PAN, Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Nigdy nie byłam w Skandynawii. Zawsze ciągnęło mnie na Południe. Łatwo zrozumieć powody, wystarczy popatrzeć za okno, za którym rysuje się szarość. Te same marzenia mają Finowie, Norwegowie i Szwedzi, podobnie cierpią z powodu braku światła, krótkiego dnia, depresyjnego klimatu. Trudno więc nie poczuwać się do emocjonalnej wspólnoty. Pisarzy ze Skandynawii spotykałam w Grecji i w innych słonecznych miejscach.

Wiele nas z nimi łączy, są jednak głębokie różnice. Należy do nich stosunek do praw autorskich. Pewien Fin wyjaśniał mi, że umowy autorskie nie są żadnym problemem, wszyscy wydawcy i autorzy korzystają z jednolitego wzorca, który jest powszechnie dostępny w Internecie. „Jak to, u was nie? Przecież wszystko wynika z prawa autorskiego, nie ma co kombinować, a wydawca, biorąc gotowy wzór, nie musi płacić prawnikom, którzy zawsze sporo sobie liczą!” Pamiętam moje zaskoczenie, a także zdumienie mojego rozmówcy, który spodziewał się, że mówi rzecz absolutnie oczywistą.

Niestety, u nas nie, choć rozumowanie Fina wydaje się poprawne i logiczne. Koszty obsługi prawnej są zawsze wysokie, więc jeśli można je obniżyć, wykorzystując gotowy wzór, po co utrzymywać rozbudowany dział prawny lub korzystać z pomocy wyspecjalizowanej kancelarii? Takie rozwiązanie wymaga jednak szacunku dla pewnych zwyczajów,

dotyczących relacji wydawca – autor. A więc powinno być jasne, że umowę zawiera się na pięć do dziesięciu lat, a nie bezterminowo. Dlaczego? Czy nie powoduje to nierówności stron?

Wydawca wykłada przecież swoje pieniądze, a więc dokonuje inwestycji i ponosi całkowite ryzyko finansowe, jeśli książka (czy inne dzieło) nie przyniesie zysku. Poza tym pojawia się wątpliwość, co właściwie kupuje poważna instytucja od osoby prywatnej, jeśli owo „coś” nie przechodzi na jej własność. A więc twórca dostaje często nie tylko umowy bezterminowe, ale i takie, w których strona nabywająca prawa żąda ich całkowitego przekazania, łącznie z wykasowaniem z pamięci komputera odpowiednich plików. Zmiana tego typu zapisów w trakcie negocjacji może być trudna, gdy na przykład pojawia się cały łańcuch instytucji, albo gdy – co stało się dość częstą praktyką – w ogóle brak personalnej relacji, wszystko toczy się za pośrednictwem Internetu. Poza tym twórca – wiemy coś o tym! – może być zdesperowany, niepokorny, co właściwie stworzył i jaką to ma wartość, przerażony własną odwagą wypowiedzi, może po długim okresie intensywnej pracy znaleźć się na skraju załamania nerwowego i mieć poczucie, że przed nim rysuje się tylko ciemność albo otchłań, w którą zaraz wpadnie, jeśli tylko nie wypuści swego dzieła w świat. Może

wreszcie pilnie potrzebować pieniędzy, co sprawi, że łatwo podda się szantażowi i wszystko albo nic.

A jednak podpisanie umowy bezterminowej, przewidującej całkowite przekazanie praw jest wyjściem bardzo złym i niezgodnym nie tylko z interesem samego twórcy, ale i pewnym ogólnym interesem społecznym. Zacznę od razu od dwóch najcięższych argumentów, pomijając inne, bardziej oczywiste. Żadne wydawnictwo ani tym podobna instytucja w Polsce nie może być pewna, czy i w jakiej kondycji będzie istniała za lat dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści. Może zostać przejęta przez inną firmę, kupiona, może też bez swojej winy, z powodu jakiegoś fatalnego splotu okoliczności, zbankrutować z masą długów i to niezależnie od „aktywów” w postaci podpisanych umów autorskich, bo to takie trochę pasywne i iluzoryczne aktywa, jeśli nie wprowadza się do obrotu książek. Tymczasem podpisanie umowy połączonej z przekazaniem praw reguluje stan prawny dzieła na przyszłość, rozstrzygając na siedemdziesiąt lat od śmierci autora, gdy utwór przechodzi do domeny publicznej. Założmy, że w momencie podpisania umowy twórca ma przed sobą jeszcze trzydzieści lat życia. Oznacza to decyzję na najbliższych lat sto!

Z tym łączy się drugi argument: nikt z nas nie może być pewny, jaka będzie przyszłość praw autorskich przy zmianie

środków przekazu w wyniku odbywającej się rewolucji medialnej. Prawo autorskie zostało wprowadzone na mocy konwencji berneńskiej w 1886 r. Porządkowało tę sferę skutecznie, ale nie wiemy, czy wobec globalnej wymiany i rewolucji technologicznej nie będzie potrzebny następny tej rangi akt dotyczący kultury.

Na razie panuje wielkie zamieszanie. Pewien Szwed przekonywał mnie, że za to zamieszanie odpowiada język angielski i niejasność pojęcia *copyright*, które dotyczy zarówno produktów, marek handlowych, programów komputerowych, jak i dzieł. Każdy zresztą może się przekonać, uruchamiając komputer, na którym pojawia się zwykle informacja, że obsługujący go program jest chroniony międzynarodowym prawem autorskim... Tymczasem istnieje specyficzna dziedzina twórczości artystycznej i myląca analogia do programu, który jest stworzonym przez wielką firmę narzędziem i nie zawiera ani treści, ani nie jest wyrazem indywidualności. Z braku dobrego rozróżnienia w języku angielskim mój szwedzki rozmówca

radził trzymać się koncepcji zawartej w niemieckim słowie *Urheberrecht*. Początkowe -ur wskazuje, że mamy do czynienia z kimś pierwszym, najdawniejszym czy też początkowym, czyli z właściwym twórcą, który nadał dziełu określony kształt duchowy. To, co zawiera niemiecki termin *Urheberrecht*, obejmuje jedynie część problemu *copyright*.

Nikt z nas nie może być pewny, jaka będzie przyszłość praw autorskich przy zmianie środków przekazu w wyniku odbywającej się rewolucji medialnej.

Nie wiemy, co będzie za sto lat. Pisarz Piotr Müldner-Nieckowski przekonywał mnie niedawno, że za trzydzieści lat cały Internet zostanie skomercjalizowany,

dostęp do wszystkich ważniejszych stron zostanie obłożony opłatami, a więc uregulowanie sprawy praw autorskich nie będzie trudne, gdyż istnieć będą zarządcy wprowadzanych treści. Przeciwny pogląd reprezentują ci, którzy przyszłość wyobrażają sobie jako realizację nieograniczonej wolności dostępu do wszelkich wytworów kultury. I w pierwszym, i w drugim wariancie twórca powinien mieć prawo decyzji, co dzieje się z jego dziełem i w jaki sposób jest ono udostępniane. Poza prawami majątkowymi pojawia się tu problem przestrzegania zasady integralności tekstu, czy też szerzej: integralności pewnej idei, którą wyraził autor i której nośnikiem jest dzieło.

Warto zapamiętać słówko *Urheberrecht* i różnicę wobec koncepcji *copyright*. W zasadzie język polski rzecz ujmując dobrze, prawo autorskie dotyczy twórcy, a nie firmy czy wydawnictwa. Nie jest jednak powszechna świadomość, że chroni ono stronę słabszą i że taka ochrona ma sens kulturowy, i jest czymś nieodłącznym od demokracji.



Janusz Głowacki

ur. 1938, zm. 2017

Prozaik, scenarzysta m.in. filmów *Rejs* i *Wąseł*, autor felietonów i wystawianych na całym świecie sztuk teatralnych. Mieszkał w Warszawie i Nowym Jorku.

Anna Frajlich

O Januszu Głowackim w Nowym Jorku

(winiетки z dziennika i fragmenty recenzji)

Nie mogę znaleźć notatki, kiedy pierwszy raz spotkałam Janusza Głowackiego. Wiem, że była to prezentacja *Kopciucha* w Nowym Jorku; bardzo krótko po Jego przyjeździe, ale nie pamiętam w jakiej sali, pod czyimi auspicjami. Pamiętam tylko, że sztuka wywołała na widzach ogromne wrażenie i to egzystuje gdzieś we mnie do dziś.

Bardzo szybko stał się osobą znaną w środowisku polskim i nie tylko w Nowym Jorku. Można go było zobaczyć na spotkaniach towarzyskich u Piotra i Gogi Chełkowskich, u Barbary Szafiańskiej, u Moniki i Wiktora Markiewiczów i w innych salonach (w których nie bywałam lub bywałam i nie pamiętam), a także na galach z okazji Nagrody Jurzykowskiego, zwanej wówczas polskim Noblem. A często również w siedzibie redakcji „Nowego Dziennika”, znajdującej się wtedy w centrum Manhattanu, gdzie odbywały się promocje książek, odczyty i gdzie w znakomitym i nieodżałowanym „Przeglądzie Polskim” Julity Karkowskiej publikowaliśmy oboje.

W książce Urszuli Dudziak znalazłam niedawno scenkę:

Nowy Jork, lata dziewięćdziesiąte. Jest impreza organizowana przez „Nowy Dziennik”. Idę z Januszem środkiem sali, podchodzi do nas znana poetka Anna Frajlich. Przed nią idzie jej wielki biust. Witamy się, a Janusz mówi: s„O rany, jakie piersi”. Anna na to: „Ale mam też talent”. „Talent to ma każdy” – odpowiedział¹⁵.

Ale pamiętam, że poznaliśmy się osobiście wkrótce po Jego przyjeździe i nawet niedawno znalazłam notatkę o wspólnym obiedzie w popularnej wówczas restauracji ukraińskiej, gdzie po spotkaniu autorskim Henryka Grynberga udaliśmy się z Renatą Gorczyńską, moim mężem i siostrą, Felicią Bromberg. O tym, że był to początek, wiem, bo mówiliśmy o jego trudnej sytuacji, gdyż w Polsce została jego żona (Ewa Zadrzyńska) i mała córka Zuzanna.

Janusza często też można było zobaczyć przy stoliku w węgierskiej kawiarni naprzeciwko słynnej katedry Świętego Jana przy Amsterdam Avenue. Wprawdzie to tylko kilka minut od Columbia University, gdzie pracowałam, ale rzadko odwiedzałam ten przybytek, podobnie jak inne miejsca towarzyskich spotkań. Janusz zawsze odnosił się do mnie z serdecznością i być może to on zarekomendował mnie w Manhattan Theater Club do przygotowania wieczoru poezji Wisławy Szymborskiej na niecały rok przed Noblem.

Od chwili Jego niespodziewanej śmierci ukazało się wiele wspomnień osób, które znały go bliżej, zajmowały się Jego twórczością i biografią. Postanowiłam zatem pozbierać notki lub winiетки o spotkaniach z nim, rozproszone w moich dziennikach i kalendarzach.

Dziennik

21.02.1987 | w teatrze na Karaluchach

Nie pamiętam, czy na zaproszenie, czy z własnej inicjatywy napisałam recenzję, która ukazała się w 1987 w „Arce”, ważnym piśmie drugiego obiegu, które mało kto dziś pamięta.

¹⁵ U. Dudziak, *Wyśpię wam wszystko*, Warszawa 2011, s. 54.

Choć może to się wydać mało stosowne, decyduję się włączyć fragment owej recenzji do tego tekstu:

Polski Marzec w nowojorskich teatrach

Chociaż Nowy Jork nie bez powodu uchodzi za miasto ogromnych możliwości, jest to jednocześnie miasto niezwykle trudne, oporne, zdobyć łatwo się nie daje. Tym większej wagi jest sukces Janusza Głowackiego, którego najnowsza sztuka „Polowanie na karaluchy” spotkała się z jednogłośnie aprobatą nowojorskiej krytyki teatralnej i miała takie powodzenie, że już po dwóch tygodniach trudno było o rezerwację biletów. Nie jest to pierwsza sztuka Głowackiego wystawiona na nowojorskiej scenie. W 1983 wystawił on kilka swoich jednoaktówek w teatryku na off-off Broadway, a w rok później jego popularny „Kopciuch” doczekał się bardzo starannej realizacji w Teatrze Publicznym Josepha Pappa. Produkcja u Pappa wydaje się najlepszą wizytówką dla dramaturga i trzeba powiedzieć, że Głowacki niewątpliwie zjednał sobie sympatię nowojorskiego środowiska teatralnego i nawet jego próby czytane przyciągają najlepszych aktorów.

„Polowanie na karaluchy” różni się jednak zasadniczo od poprzednich scenicznych utworów tego pisarza, jest to bowiem sztuka o Nowym Jorku napisana w Nowym Jorku, w której temat polskich posolidarnościowych emigrantów staje się metaforą tzw. „American dream”. Widz, będący świadkiem bezsennych nocy pary polskich inteligentów, odnajduje w nich swoje zmagania i marzenia o wielkim sukcesie życiowym w mieście, które potrafi dać wspaniałą szansę, ale i boleśnie odrzucić. Spojrzenie z humorem na koszmar emigracyjnej inicjacji jest niewątpliwie tajemnicą sukcesu Głowackiego.

Sztuka, napisana na zamówienie festiwalu teatralnego w Woodstock, już w swej początkowej wersji zdobyła uznanie krytyki. Główne role w oryginalnej produkcji odegrali Elżbieta Czyżewska i Olek Krupa, polscy artyści znający ból adaptacji z własnego doświadczenia. Już samo przeniesienie sztuki z festiwalowego teatru eksperymentalnego na off Broadway jest wydarzeniem dużej miary. Sceny „off Broadway”, jak sama nazwa wskazuje, umiejscowione są – faktycznie i prestiżowo – tuż przy legendarnym Broadway, a jednocześnie dzięki przyimkowi „off” zachowują atrybut pewnej świeżości i eksperymentu. Manhattan Theater Club, który sztukę Głowackiego wystawił, zadbał o gwiazdorską reżyserię i obsadę. Odtwórczyni głównej roli, Dianne Wiest, wystąpiła ostatnio w trzech filmach Woody Allena, otrzymując za kreację w jednym z nich Oscara; Ron Silver, jej partner i swego rodzaju „alter ego” autora jest również popularnym aktorem filmowym i teatralnym. Miarą popularności tej dwójki może być fakt, że zwyczajowo podawane w programie informacje o aktorach dla tych dwojga wydrukowane zostały po polsku. Reżyser Arthur Penn, laureat nagrody Pulitzera, potrafił docenić i wydobyć doskonały, gorzki, humor sztuki.

4.09.1987

Pisałam o teatrach. Wieczorem poszliśmy na występ „Piwnicy pod Baranami”. Spotkaliśmy Krystynę Olszer, Ewę Kuryluk, Janusza Głowackiego. Nasza grupa – Władek, Mama i ja, Pear-sowie, Elżbieta Lipton i Halina Wittlin itd. Rozmawiałam też z Elżbietą Czyżewską.

24.04.1988

Wieczór poświęcony Gombrowiczowi, z Miłoszem, Susan Sontag, Johnem Simonem, Januszem Głowackim. Jakkolwiek dyskusja nie była dostatecznie żywa. Potem znów witanie się i rozmowy ze wszystkimi. Ewa Hoffman powiedziała mi, że recenzja moja ewentualnie ukaże się, a także że jej matka przyjaźni się w Vancouver z Giną, siostrą mojej przyjaciółki Liny. (Ta zamówiona przez Nią recenzja nigdy się nie ukazała)

1.04.1989

Wieczorem kolacja w gronie rodzinnym w „Teresie”, z Barbarą oraz Iziem Rachmańskimi. Spotkałam Janusza Głowackiego, umówiliśmy się na ewentualny wspólny wypad do restauracji w Brooklynie.

5.08.1989

Wczoraj przeczytałam Marka Nowakowskiego *Bożydar* – jęk przebijający się przez warsztat: że Głowacki, że Głowacki, że Głowacki. Tak jakby pomiędzy Bogiem i Jego darem drzazgą tkwił sukces Głowackiego.

8.03.1990

Przed południem prasowanie, fryzjer, kosmetyczka. Stwierdziłam jednak, że wolę prasować bez radia lub telewizora. Cisza, cisza...

Wieczorem u Gogi i Piotra (Chełkowskich)¹⁶. Poznałam panią Minister – Izabelę Cywińską. Miałam książkę (przeznaczoną właściwie dla kogoś innego, kogo tam nie było), więc zapytana – podarowałam jej. Wszyscy byli bardzo serdeczni – szczególnie dla mnie: p. Ada Lubomirska, Liz Lipton, p. Kropka Gośławska, Dudzińscy i Janusz Głowacki. On szczególnie. Powiedział, abym zdała sobie sprawę, że oferta z Czytelnika jest bardzo ważna, bo (o czym wiem) oni rozwiązują umowy z wieloma pisarzami. Wstyd mi było, bo okazało się, że nie czytaliśmy jego felietonu (zresztą bardzo dobrego) w *Arts and Leisure* w „New York Times”.

8.10.1990

Rano jak zwykle przygotowania do wyjścia. Wszystko miałam, więc już bez większych przeszkód pokonałam zwykłą poranną inercję. Studenci skończyli test znacznie wcześniej, niż przypuszczałam, toteż zaczęliśmy dopełniacz. Druga klasa –

16 Piotr Chełkowski, znakomity orientalista, obecnie emerytowany profesor New York University; Goga Chełkowska – malarka. W ich domu odbywały się znaczące spotkania. Obecnie mieszkają w Turynie.

celownik z użyciem wielu ćwiczeń z serii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Przy wyjściu spotkałam Janusza Głowackiego. On przy całej dezynwolturze, z jaką podchodzi do wszystkiego, wydawał się szczerze ucieszony ze spotkania. Okazuje się, że raz w tygodniu uczy tu dramatu, czy też pisania dramatu. Powiedziałam mu swój pomysł na jego dramat: Lechoń, homoseksualizm, maccartyzm, potem śmierć Roya Cohna na AIDS. Był zdziwiony, prawie nic z tego nie wiedział. Powiedziałam mu, że powiem mu o źródłach. Zaproponował dość energicznie, abysmy za tydzień w ciągu tej pół godziny między końcem moich zajęć i początkiem jego wypili kawę. OK. Jego koleżeńskie pocałunki też z na wpół rozchylonymi ustami. Śmieszne. (...)

22.10.1990

5:30 – kawa z Januszem Głowackim.

13.12.1990

Dyskusja w studio na temat książki roku. Renata [Gorczyńska] zaprosiła Głowackiego, co jej zresztą zasugerowałam, bo myślała o [Stanisławie] Barańczaku. Ja, licząc na dezynwolturę Głowackiego, przygotowałam się raczej na mówienie bez notatek (odmiennie niż zwykle); Janusz miał notatki. Przygotowałam się też na propagowanie *Szkieł rodzinnych* Grynberga, podczas gdy inni forsowali Miłosza, Zagajewskiego, Herberta, Urbana. M.in. powiedziałam, że proza Grynberga jest męska, na co Janusz z życzliwą żartobliwością: – „Heniek jest w ogóle męski”. Miałam naturalnie na myśli, że jest to proza opisująca męski świat. Zacytowałam też Szymborską („tysiąc i jeden to wciąż jeszcze tysiąc”), mówiąc, że Grynberg wypełnia miejsce tego jednego. Głowacki mówił o swoich lekturach amerykańskich, o popularności Urbana. Całe spotkanie zbiło mnie lekko z tropu i musiałam to potem egzorcyzmować.

Joanna Rostropowicz-Clark

Backup of Głowa

Janusz się wyróżniał. Zdecydowanie się wyróżniał w naszej szarawej gromadzie studentów warszawskiej polonistyki, rocznik 1956, gdzie pojawił się po jednym semestrze w PWST. Mówiono, że Głowa – już wtedy nikt go inaczej nie nazywał – nie sprawdził się w szkole teatralnej, bardzo wówczas ortodoksyjnej, ze względu na tendencję do zgrywy. Zbyt bujna własna osobowość przeszkadzałyby mu wcielać się w role. Niech próbuje pióra... Nam, polonistycznym pracusiom i kujo-nom, Janusz imponował nie tylko owym bujnym urokiem kpiarza na każdy temat (jeszcze nie czytaliśmy Gombrowicza!), ale przede wszystkim łatwością, z jaką wszystko zaliczał, łącznie z piekielną gramatyką historyczną. My tkwimy godzinami

(Z notatek znalezionych w teczce dotyczącej emigracji)

It takes two to tango.

W dyskusji z Renatą Gorczyńską i Januszem Głowackim, chyba podczas jakiegoś wywiadu Renaty dla „Głosu Ameryki” albo po wywiadzie, Głowacki proponował, aby „odstukać” literaturę emigracyjną, ale ja uważałam wówczas i teraz, że przede wszystkim należy literaturę emigracyjną odwołać z banicji, a potem odstukać.

A jak ją odwołać? – włączyć do literatury polskiej. Nie odgradzać krajowej od emigracyjnej. Połączyć w całość. Włączyć tych autorów nie do oddzielnych rozdziałów, ale do tych samych. Wymieniać na równi z pisarzami krajowymi poetów: [Wacława] Iwaniuka, [Bogdana] Czykowskiego, [Bronisława] Przyłuskiego czy prozaików: Zofię Romanowiczową i Danutę Mostwin.

W następnych latach widywałam Janusza raczej podczas przyjazdów do Polski, głównie gdy wpadałam do kawiarni Czytelnika. Nie wdawaliśmy się w rozmowy. Spotykałam Go też, jak przyjeżdżał do Nowego Jorku. W 2002 w „Przeglądzie Polskim” ogłosiłam recenzję z przedstawienia *Czwartej siostry* pod tytułem *Otrząśnie się z postkulturowej piany*.

W 2007 zaprosiłam na Columbię Andrzeja Franaszka z wykładem *I will oppress you with my strange love... The Friendship of Czesław Miłosz and Zbigniew Herbert: fascination, disillusionment and bitterness*, który odbył się 26 listopada.

Byłam zdziwiona, jednocześnie niezmiernie się ucieszyłam, kiedy do sali wszedł Janusz Głowacki, który przyjechał właśnie z Polski. Po wykładzie zrobiliśmy sobie zdjęcie. Chyba jedyne z Januszem, ale w Nowym Jorku i na Columbii. Dziś bezcenna dla mnie po Nim pamiątka.

Anna Frajlich | ur. 1942. Poetka, sławistka. Profesora emerytowana Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Laureatka Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1981) oraz nagrody londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (2015).

„Harendzie” sporo od nas starszy kudłaty brunet, podobno jakoś związany z PAN-em, który gromko zapowiadał, że niebawem leci do Ameryki z gotowym wystrzałowym pomysłem na powieść. Runął na kolana. Janusz, wpadający do „Harendy” na pięć minut, zapytany przez nas, czy wie, kim jest ten malowniczy literat, odpowiedział typowym wzruszeniem ramion: „Jakiś Kosiński. Blagier”.

Już podczas studiów Janusz pisał felietoniki dla radia, o czym krążyła zazdrosna plotka, że ich autorką była jego mama, może i wujek Kazimierz Rudzki, może sam król warszawskiego dowcipu Janusz Minkiewicz (Minio) – w co nie wierzyliśmy. Nawet w tych małych formach uderzał inny niż z satyrycznych kabaretów humor, z innej, pozbawionej złudzeń opozycyjnej formacji. Dla niego, a wkrótce dla jego kolegów, współtwórców *Rejsu*, ówczesna polsko-niepolaska rzeczywistość była gorzej niż chora, była absurdalna. Była, jak to określił w tytule swojej pierwszej książki – *Wirówką nonsensu*.

Spotkaliśmy się po blisko dwudziestu latach w Nowym Jorku, ja sprowadzona tam zrządzeniem prywatnego losu (małżeństwem z Amerykaninem), Janusz wyrokiem historii (stan wojenny odciął mu drogę powrotu do kraju). Głowa nic się na pozór nie zmieniła, znów nonszalancko wpadał (i wypadał) na polonijne imprezy – elegancie w Fundacji Kościuszkowskiej i kameralne w parterowym pokoju redakcji „Nowego Dziennika”, gdzie zapraszała fenomenalna Julita Karkowska, redaktor „Przeglądu Polskiego”, dodatku kulturalnego gazety. Miejscowi uczestnicy spotkań reprezentowali kilka fal polskich emigrantów w Nowym Jorku. Najstarsi, „emigranci niepodległościowi”, wybitni polscy uczeni, oficerowie, dyplomaci, artyści, mieli za sobą najtragiczniejszy szok utraty wszystkiego, co stanowiło ich rację bytu, a także najgłębsze upokorzenia na kraju obojętnym na ich zasługi i talenty. Dla emigrantów z późniejszych fal – „marcowej”, „solidarnościowej” oraz indywidualnych uciekinierów do wolności – ci wspaniali Polacy i Polki stanowili wzór godności i źródło pomocy w trudnych konfrontacjach z rzeczywistością „amerykańskiego marzenia”. Janusz bardzo szybko wyżył się iluzji, że Amerykanów interesują tajniki uciśnionej przez komunizm polskiej duszy. Jego gatunkiem artystycznym była zawsze groteska, jego stylem cięta ironia, jego siłą wzrok, słuch i węch realisty. Temat znalazł w czterech ścianach czynszowej rudery na „dole miasta” – dzielnicy kolejno żydowskiej, słowiańskiej, latynoskiej, emigranckiej biedoty. Tytuł był aż nader oczywisty: *Polowanie na karaluchy*.

I tam go parę razy widziałam. Nie samego, ponieważ przy pisaniu towarzyszyła mu sąsiadka, warszawska koleżanka – i muza – Elżbieta Czyżewska: dwie postaci w *Polowaniu*, pisarz i aktorka. Pracowali jak w transie, z furią. Elżbieta po rozwodzie – z renomowanym dziennikarzem, który ją porwał z Polski – po przegraniu roli egzotycznej gwiazdy zza żelaznej kurtyny spadła na niski szczybel „kamiennej drabiny” (tytuł książki Czesława Karkowskiego, solidarnościowego emigranta). Janusz ledwie zaczynał wspinaczkę. Minie dekada, zanim Ela znów się podniesie, zamieszka w centrum Manhattanu i będzie występowała z młodymi wielbicielami jej talentu w nowojorskich teatrach, do ostatniego tchu zatrzymanego przez nowotwór. Wtedy, w złym

dla niej czasie, nie tylko inspirowała Janusza, ale poznała go z Arthurem Millerem, w którego sztuce *Po upadku* grała w Warszawie gasnącą gwiazdę Maggie, czyli Marilyn Monroe... Miller pomógł, ale *Polowanie* wystawione w 1987 w pierwszorzędnym Manhattan Theatre Club odniosło sukces dzięki wartości sztuki i przedstawienia. Niestety Elżbieta nie zagrała tam „siebie”, o co miała żal do Janusza; niesłuszny, ponieważ w kwestii obsady autor nie miał nic do powiedzenia.

Janusz kontynuował motyw dekonstrukcji amerykańskiego marzenia w *Antygonie* w Nowym Jorku i *Czwartej siostrze*, gdzie protagonistami są ludzie bezdomni, strąceni z drabiny albo nawet niepróbujący wspinaczki – postaci trochę z Becketta, a trochę z... *Rejsu*, tu, przy Wschodniej Rzece. Oba dramaty były dobrze przyjęte, grane we wszystkich krajach Ameryki i Europy, Janusz „zaistniał” w uniwersalnym świecie teatru i literatury. Dla nas, nierozpoznawalnych na rynku, był wciąż ten sam, młodzięczy, zawsze miły, żartujący – także z siebie. Czasem mnie się zdawało, że jest w tych żartach nuta melancholii, jakby „to nie to”, nie szczyt, nie Polański, Kundera, czy ja wiem kto. Na pewno nie żal, że nie Kosiński, który po niebotycznym wzlocie długo i boleśnie spadał, najpierw w metaforyczny i wreszcie dosłowny niebyt. Demony źle się starzeją, maska coraz gorzej przylega do twarzy; to, co w (stosunkowo) młodym olśniewało, nagle budzi wstręt i co najgorsze, obojętność. W napisanej po powrocie do Polski powieści o Kosińskim, *Good night, Dżerzi*, Janusz wspomina rozmowę ze znajomym producentem filmowym, któremu narrator chce sprzedać scenariusz o Kosińskim. Odpowiedź byłego entuzjasty autora *Malowanego ptaka* jest odmowna: Kosiński dawno przestał interesować. Względne pojęcie, dawno. Wiosną 2017 wyszła w USA chwalona przez krytyków powieść *Jerzy* Jerome’a Charyna, a *The Painted Bird* jest stale w druku, w księgarniach, w szkolnych lekturach. Kręte są ścieżki sławy.

I znów spotkania w Warszawie – w kawiarni „Czytelnika” i u Bliklego, gdzie Janusz z Tadeuszem Konwickim wymieniają krótkie zgodne zdania o życiu oraz nieco dłuższe o Lechu Wałęsie, o sporze scenarzysty (Janusz) z reżyserem (Wajda) filmu *Wałęsa. Człowiek z nadziei*. Wajda, mówi autor *Sennika współczesnego* i *Małej apokalipsy*, chce ratować Wałęsę dla historii, bronić przed napaściami politycznych zawistników – Janusz pragnie tworzyć postać dla literatury, mniej żelaza i marmuru, więcej bebeczów... Widzę ich obu przy tym okrągłym stoliku: małe kawy, pusta popielniczka, drobny z postury cudowny pan Konwicki i duży, rozwichrzony Głowa. Zaraz wyjdą, starszy do domu zażyć lekarstwo, młodszy popędzi gdzieś Nowym Światem. Serce pęka.

Joanna Rostropowicz-Clark | ur. 1938. Pisarka, publicystka.

Jest autorką artykułów drukowanych m.in. w: „The Polish Review”, „The Nation”, „Rzeczpospolitej”. W 2004 wydała powieść *Romantyczka*.

Miało być wieczne, póki się nie skończyło. Ostatnie sowieckie pokolenie Internat Aleksiej Jurczak Serhij Żadan

Aleksiej Jurczak, *Miało być wieczne, póki się nie skończyło. Ostatnie sowieckie pokolenie, Novoye literaturnoye obozreniye, Moskwa 2014.*

Юрчак. Это было навсегда, пока не кончилось. Последнее советское поколение / Алексей Юрчак; предисл. А. Беляева; пер. с англ. — М.: Новое литературное обозрение 2014.

Serhij Żadan, *Internat, Maridian, Czerniowce 2017.*
Сергій Жадан, *Інтернат. Роман, Чернівці, Maridian Czernowitz 2017.*

Te dwie książki nie mają ze sobą wiele wspólnego. Pierwsza została napisana przez Aleksieja Jurczaka, antropologa kultury, wychodźcę z Leningradu, obecnie wykładowcę w Berkeley, i jest obowiązkową pozycją dla zajmujących się ziemiami byłego ZSRR. Autor postawił pytanie, co takiego wydarzyło się na styku życia codziennego i aparatów władzy, że w efekcie upadło imperium. Serhij Żadan to poeta i pisarz mieszka w Ukrainie Wschodniej; pisze po ukraińsku, jest przez swoich krajan lubiany, również w Polsce zdążył już wypracować markę i tłumaczony jest niemal na pniu. Dużo jeździ po Ukrainie, rozmawia z ludźmi. Jest ze środka i z teraz. Napisał powieść o tym, jak w czasie wojny przestają funkcjonować szkoła, internat, telefon komórkowy i muzeum. Ale po kolei.

W *Internacie* Żadana najważniejszy jest bohater. To nauczyciel języka ukraińskiego. Przydarzyło mu się w życiu już mnóstwo beznadziejnych rzeczy. Niezbyt dogaduje się z rodziną, zostawiła go dziewczyna, nie lubią go w pracy. No i mieszka w Ukrainie Wschodniej, w miasteczku tuż przy linii frontu, gdzie powoli przestaje działać komunikacja miejska, a szkołę zamknięto i przerobiono na polowy szpital. Po linoleum leje się krew. Latają pociski, chłopaکی w mundurach niewiadomej proveniencji wypierają tych, których przynależność do Ukrainy można rozpoznać po naszywkach. Co gorsza, jego siostrzeniec utkwiał w tytułowym internacie, który na linii frontu jest jeszcze bardziej.

Ludzie zachowują się wobec siebie agresywnie, krzyczą i są nieufni, ale od razu widać, że to jedynie maska dla rodzącej się frustracji: rzeczywistość umyka i mimo najlepszych chęci wszystko przychodzi z wielkim trudem, nic nie daje się ogarnąć w miasteczku, na które spadają bomby. Agresja ustępuje, kiedy bohaterowie otrząsają się i widzą, że rozmawiają z człowiekiem, a zdarza im się to dość często.

Żadan w *Internacie* staje się trochę Sienkiewiczem. Pisze ku pocieszeniu serc. Sytuacja społeczno-militarna jest zła i podjęcie słusznej decyzji jest jeszcze trudniejsze niż zwykle. Protagonści jednak się to udaje. Jedzie na wojnę, żeby przywieźć do domu dziecko swojej siostry. Bohaterstwo nie jest rozdęte, raczej racjonalne, na miarę możliwości

nauczyciela z grupą inwalidzką. Czytelniku/czytelniczko, pamiętaj, że zawsze można zachowywać się porządnie.

Z czego składa się świat w *Internacie*? Z rodziny, lokalnych instytucji, przypadkowych spotkań; państwo jest reprezentowane przez paszport i wspomnienia. Jest też wojna, która to wszystko zmiata i unieważnia. Żadan balansuje między niechęcią do instytucji, a tęsknotą za nimi. Wiadomo: szkoła, opresja, obojętność i agresja. Muzeum powinno być z tego samego gatunku. Powstało za czasów ZSRR, ma nudne zakurzone gablotki i mało wyrafinowaną tezę. Do regionalnych muzeów w małych miasteczkach chodzą tylko wycieczki szkolne, krajoznawcy i poszukiwacze kuriozów.



Ale w *Internacie*, kiedy muzeum niszczą pociski, Żadan strzela taką oto scenką niespodziewanej za nim tęsknoty: w jakimś momencie żołnierz zaprasza do bunkra-ziemianki naszego bohatera, który nie wie w czym rzecz, boi się, ale idzie i otrzymuje (żołnierz-obrońca daje nauczycielowi-gwarantowi normalności po wojnie) węgiel z odciskiem paproci, który znalazł w gruzach muzeum. Wkracza inna perspektywa czasowa. Wojna minie. Trzeba tylko przetrwać.

Jak zwykle u Żadana, wspaniałego piewcy postkrajobrazów, rozpadający się świat jest dobrze opisany. Brudne dworce, głodne psy, zapach przemoczonych ubrań są pełne godności i emanują pięknem.

Ludzie zachowują się wobec siebie agresywnie, krzyczą i są nieufni, ale od razu widać, że to jedynie maska dla rodzącej się frustracji: rzeczywistość umyka i mimo najlepszych chęci wszystko przychodzi z wielkim trudem, nie daje się ogarnąć w miasteczku, na które spadają bomby.

A tymczasem czterdzieści lat wcześniej, tysiąc siedemset kilometrów na północ (trzysta czterdzieści godzin pieszej wędrówki) toczy się opowieść Aleksieja Jurczaka: *Miało być wieczne, póki się nie skończyło. Ostatnie sowieckie pokolenie*. Jurczak-naukowiec doczłowiecza „sowieckiego obywatela”, który w kulturę globalną wszedł jako przegrany, bo przecież wygrał „obywatel liberalny”, czego dowodził rozpad ZSRR. (Żadan doczłowiecza mieszkańców Ukrainy Wschodniej, mimo że mają wojnę, na którą sobie zasłużyli).

Jurczak podważa podział ówczesnego społeczeństwa na popierających i przeciwstawiających się systemowi. Uważa, że ci sami ludzie jednocześnie i popierali, i podważali. O dysydentach większość obywateli ZSRR albo nie wiedziała, albo traktowała ich jako niespełna rozumu. W tej perspektywie dysydenci najzwyczajniej w świecie nie rozumieli, że autorytarnego języka nie należy interpretować jako kłamliwego opisu rzeczywistości, bo ów język nic wspólnego z rzeczywistością nie ma. Ponoć powszechnie nie lubiano ani dysydentów, ani kagiebiów.

Dynamiczny obraz nieformalnej kultury późnego ZSRR m.in. mody czerpiącej z zachodu (ach! dzinsy), pokątnie i powszechnie słuchanej zachodniej muzyki, mniej powszechnej sztuki konceptualnej (jest słówko o Prigowie, Kabakowie, Mitkach i nekrorealizmie) to jedna z największych zalet tej książki, chociaż jej znaczenie sprowadza do wymiaru anegdotycznego i nie waży się na wejście w dialog z poszczególnymi pracami. Przy czym skrupulatnie analizuje się tu prywatne archiwa – listy, przemówienia, dzienniki kilkorga szeregowych komsomolców. Pochyla się także nad fenomenem dowcipów politycznych, które w latach 90. przestały być obowiązkową formą towarzyską (jakby rozwał je wiatr).

Kraj Rad tapnął, ponieważ autorytarny dyskurs partyjny przestał reagować na rzeczywistość i projektować przyszłość, a koncentrował się na utrwalaniu poglądu, że możliwy jest tylko stworzony przez ojców bolszewików jedynie słuszny typ reprezentacji świata, który skamieniał wraz ze śmiercią Stalina. Powtarzanie zrytualizowanych, oderwanych od doświadczenia codzienności formuł, doprowadziło do tego, że realny przebieg życia sowieckich obywateli uwalniał się od dyktatu ideologii, zaczął być zróżnicowany i nieprzewidywalny. Niekontrolowane formy funkcjonowania, nowe relacje społeczne, nowe tożsamości i zainteresowania były zatem niewidoczne i aparat władzy nie umiał na nie reagować. Dajmy na to komitety komsomół powołane do ideologicznej obróbki młodzieży; w opisie Jurczaka stawały się strefami kulturowej autonomii. Komsomolcy szybko produkowali oczekiwane przemówienia,

Niekontrolowane formy funkcjonowania, nowe relacje społeczne, nowe tożsamości i zainteresowania były zatem niewidoczne i aparat władzy nie umiał na nie reagować.

plakaty, zebrania i w tym samym gronie zajmowali się rozwijaniem rzeczywistych pasji np. słuchaniem zachodniej muzyki. Upraszczając – obywatele ZSRR żyli na zasadzie „wnie” (poza), byli w państwie, ale ich pragnienia i wyobrażenia pracowały gdzieś wokół szczęśliwego i wspaniałego w ówczesnym mniemaniu Zachodu.

W książce Jurczaka ludzie korzystają z instytucji, kulturowo są jednak poza nimi. U Żadana jest inaczej: dominuje poczucie czegoś w rodzaju straconej szansy. Widać, że bohaterowie chcą mieć do tych spraw osobisty stosunek, wziąć za nie odpowiedzialność i chociaż w czasie wojny jest trudniej, to lepiej ujawnia się ich brak.

Zofia Bluszczyk | Krytyczka sztuki, badaczka kultury ukraińskiej. Mieszka w Europie Środkowo-Wschodniej. Publikowała m.in. w „Czasie Kultury”, „Kulturze Enter”, „Nowej Europie Wschodniej”.



Barwny świat Wiry Wowk

Mieszkająca w Brazylii ukraińska poetka i tłumaczka Wira Wowk pochodzi z Huculszczyny, gdzie urodziła się w 1926 r., spędziła dzieciństwo i skąd odziedziczyła zamiłowanie do tradycji huculskich. Owe tradycje faktycznie są podstawą jej przekonań dotyczących natury świata, wyznaczają jej postawę życiową i sprawiają, że styl wierszy tej poetki jest dość łatwo rozpoznawalny.

Trudno zresztą określić granice świata poetyckiego Wiry Wowk, gdyż jej багаż kulturowy to nie tylko karpackie tradycje ludowe, nie tylko świat pierwotnej natury, obrzędowej sielanki, barwnych pisanek, zdobionej haftem bajecznej odzieży huculskiej, staroświeckich kolęd, aczkolwiek zarówno w jej poezji, jak i w opowiadaniach, legendach i dramatach są to wątki bardzo ważne. Warstwa huculska w jej utworach przeplata się z tą ogólnoukraińską, ogólnostowiańską i poniekąd łączy się z wierzeniami ludności Ameryki Południowej (mianowicie Brazylii, gdzie poetka mieszka na emigracji od 1949 r.). W nowej rzeczywistości pojawiają się nieosiągalne dzikie orchidee, różnorakie diabły i boginie wód, gigantyczne motyle i fruwające kolibry na werandzie, przeludnione targowiska, strome uliczki i kruche domki w brazylijskich fawelach.

Do tego, powiedzmy, pogańskiego zestawu dodajmy też bogatą tematykę chrześcijańską, witalność w połączeniu z hartem ducha oraz głęboką wiedzę z zakresu historii i teorii literatury – Wira Wowk jest doktorem filologii, od lat tłumaczy literaturę piękną, surfując pomiędzy ukraińskim, portugalskim i niemieckim. To właśnie poezja odzwierciedla jej życie, pełne wędrówek, spotkań, pasji, sztuki. Nawet teraz jako osoba w poważnym wieku poświęca cały swój czas i energię na samorozwój. Podziwiam jej siłę życiową, kiedy dowiaduję się o publikacji nowych książek, kiedy w świeżym wywiadzie czytam o jej planie dnia zaczynającym się o piątej rano, i tak samo kiedy po kilkunastu minutach dostaję od niej odpowiedź na maila, zresztą kiedy widzę jej żywe zainteresowanie współczesnymi problemami rodaków. Cały świat, który kręci się wokół niej, Wira Wowk uzupełnia literaturą, muzyką, wzbogaca w wyrazistość wystawiania się i jaskrawe symbole ludowe.

Co zatem jest najważniejsze? Człowiek w świecie poezji Wiry Wowk trzyma się życia, przemysłiwuje każdy szczegół

swojego istnienia i ofiaruje siłom nadprzyrodzonym swoją codzienność. Ciągłe czuwa, łowi zmysły natury, bezustannie obserwuje. Martwi się, gdy otoczenie zaczyna tracić swój sens, i cieszy się jak dziecko, kiedy życie odzyskuje naturalny bieg rzeczy.

W nowej rzeczywistości pojawiają się nieosiągalne dzikie orchidee, różnorakie diabły i boginie wód, gigantyczne motyle i fruwające kolibry na werandzie, przeludnione targowiska, strome uliczki i kruche domki w brazylijskich fawelach.

Twórczość Wiry Wowk, przedstawicielki Grupy Nowojorskiej literatury ukraińskiej, stanowi niepowtarzalny fenomen. Niewątpliwie polskiemu czytelnikowi trudno będzie w kilku zamieszczonych tutaj wierszach wysledzić cały jej bogaty świat poetycki, zatem dobrą drogą będzie zapoznanie się też z jej innymi polskimi publikacjami (tymi w czasopismach i tymi książkowymi), które pojawiły się dzięki tłumaczeniom Kariny Berezy i Tadeusza Karabowicza.

Ostap Nożak | ur. 1983. Tłumacz (polski, ukraiński, rosyjski, białoruski, hiszpański). Stypendysta Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2012) w kategorii przekład na język ukraiński.

Wira Wowk

Księżyc

Księżyc człapie po dachówkach,
zagląda do ciemnych okien,
włóczy się cmentarzem po świeżych mogiłach.

Obija się dziurawymi uliczkami,
szuka na ziemi grosika
by pójść do kina lub do cyrku,
a nuż tam coś nowego.

Bo na świecie kręci się ciągle to samo,
aczkolwiek opowiadają – choć trudno w to uwierzyć –
że kiedyś na ziemi był raj.

Ptaki

Gdzie zniknęły ptaki?
Było ich sporo,
bujały się na obwisłych paprociach
mojej werandy.
Dzikie gołębie gruchały
na parapetach,
jaskółki koncertowały
o zmroku.

A teraz tu i ówdzie
tylko jakiś gwizd z ptasiego gardła,
jak zgubiony głos gitary
w powietrzu.

Słowo pisane

Przyszło do mnie Boże Narodzenie,
a razem z nim drzewko w zielonym keptarze
i słowo pisane na wierchołku.

Słowo pisane kręciło się pisanką,
rozsiewało gwiazdy i cicho powiedziało,
że jestem bardzo szczęśliwa.

Bóg wyjął mi serce z piersi i rzekł:
– Zrobiłem je pogańskim,
zatem spalą cię jako idola pogańskiego
na ognisku.
A z popiołu
wygrzebią gliniany dzbanek,
o którym opowiadałem Samarytance.

Spytałam: – Czy będzie bolało, Panie?
– Tak – odrzekł. – Ale ja wypalę na dzbanku
czarny wzór krzywego tańca.

przeł. Ostap Nożak

Wira Wowk | ur. 1926. Ukraińska poetka,
tłumaczka, historyk literatury. Mieszka w Brazylii.

Biblioteka Antyczna

prezentuje:

Emilia

Żybert-Pruchnicka

Żywa Biblioteka

Gdyby wskazać jednego człowieka, który przeczytał wszystkie dzieła literackie napisane w jego własnym języku, byłby to najprawdopodobniej poeta i filolog Kallimach z Kyreny. Złożyły się na to dwa czynniki: osobista, zachłanna dociekliwość badacza oraz niezwykle czasy, w których przyszło mu żyć. O pierwszej świadczy i to, co sam mówił, i utwory będące istną skarbnicą wiedzy o kulturze i religii Greków. Lata życia Kallimacha przypadają na okres intelektualnego fermentu końca IV i początku III w. p.n.e., gdy po śmierci Aleksandra Wielkiego powstały trzy wielkie państwa, wśród nich Egipt. Nas jednak interesować będzie zwłaszcza Aleksandria, nowa stolica Egiptu, którą Mace-dończyk założył w 331 r. p.n.e.

Miasto samo w sobie pod wieloma względami stanowiło fenomen: wznosiła się tam największa i najnowocześniejsza latarnia morska, zaliczana do siedmiu cudów świata; podziwiano kryształowy sarkofag z zabalsamowanym ciałem Aleksandra, które władca Egiptu złożył w specjalnie do tego celu wybudowanym mauzoleum; ponadto było to najbogatsze, najludniejsze, a jednocześnie całkowicie nowe miasto ówczesnej ojkumeny (świata zamieszkanego), którego ulice, przecinające się pod kątem prostym, rozświetlały nocą latarnie, rzucając światło na wspaniałe świątynie i pałace. Jednak najbardziej fascynujące zjawisko stanowiły dwie instytucje, z których pierwsza zrzeszała największych poetów, intelektualistów i naukowców całego ówczesnego greckiego świata, druga zaś dawała im do ręki narzędzia, sprawiające, że posiadane przez nich najwyższe kwalifikacje osiągnęły poziom wręcz niebotyczny.

Musajon (Muzeum) i Biblioteka, założone przez Ptolemeusza I Sotera, miały uświetnić i rozślawić na cały świat rządzący władcy. Musajon to rodzaj akademii, w której dla dobra szeroko pojmowanej kultury i nauki pracowali i publikowali owoce swej pracy poeci oraz badacze. Dość powiedzieć, że z Aleksandrią związani byli: Euklides, Eratostenes, który m.in. obliczył obwód ziemi, matematyk i konstruktor Heron, Archimedes, wybitny lekarz Herofilos, poznający anatomię za sprawą dokonywanych na skazańcach wiwisekcji, oraz wielu

nie mniej wybitnych naukowców. Z poetów wymienimy tylko najwybitniejszą spośród całej działającej tam rzeszy pisarzy triadę: Kallimacha, Apolloniosa z Rodos i Teokryta. Dodajmy, że wszystkich przybyłych do Aleksandrii intelektualistów hojnie nagradzano z kasy państwowej, a płac nie obciążano podatkiem. Z kolei ściśle związana z Musajonem Biblioteka miała w zamyśle ówczesnych władców Egiptu zgromadzić w swych zbiorach wszystkie spisane w języku greckim dzieła z zakresu literatury, historii, filozofii, retoryki, medycyny, geografii, biologii i wielu innych dziedzin. Ponadto zlecano też przekłady na grekę ważnych dzieł literatury obcej, np. hebrajskiego Pięcioksięgu czy historii Egiptu napisanej przez kapłana z Heliopolis.

Wiele krążyło opowieści na temat metod, jakimi władcy Egiptu zasilali księgozbiór, a raczej „zwojozbiór” Biblioteki, ponieważ dzieła literackie spisywano na rolkach z połączonych kart papirusowych, które następnie wkładano do leżących na półkach glinianych dzbanów. Przede wszystkim obkładano sekwestrem wszystkie prywatne teksty literackie, jakie znajdowały się na pokładach statków przyprawiających z każdej części świata do jednego z trzech wielkich aleksandryjskich portów. W zamian, na osłodę, oddawano kopie sporządzone w jednej z aleksandryjskich oficyn wydawniczych, w owym czasie uchodzących za najlepsze na świecie.

Pewna anegdota opowiada, jak Ptolemeusz III Euergetes zdobył kanoniczne dzieła trzech wielkich tragików ateńskich, Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa. Oto spisano je specjalnie na polecenie ateńskiej polis, aby zachować oryginalny tekst tragedii, który przecież mógłby zaginąć lub ulec zniekształceniu w trakcie „nieautoryzowanego” kopiowania. Władca Egiptu wypożyczył te właśnie poświęcone egzemplarze pod zastaw 15 talentów (ok. 400 kg) złota i... nigdy już ich nie oddał. Pomijając aspekt etyczny całego przedsięwzięcia, na jego przykładzie widać, jak wielkim szacunkiem cieszyła się ówczesnie literatura oraz jakim niezmiernym bogactwem szczycił się Egipt pod panowaniem Ptolemeuszków.

Co jednak zawierał gromadzony tak konsekwentnie, systematycznie i bez oglądania się na koszty zbiór biblioteczny? Oprócz filarów literatury, do których należały m.in. doskonałe edycje Homerowych eposów, edytowane przez pierwszego kierownika Biblioteki Aleksandryjskiej, Zenodota z Efezu, oraz opracowywane przez innych poetów i filologów – m.in. Aleksandra z Etolii, Lykofrona z Chalkis i właśnie Kallimacha z Kyreny – dzieła dramatyczne i liryczne, wreszcie cała proza naukowa, choć kolekcja składała się także z utworów lżejszej natury. Zaliczyć do niej można np. pracę autorstwa Gnathajny z Aten, sławnej hetery z IV/III w. p.n.e., która zde gustowana zachowaniem pewnych swoich klientów napisała podręcznik *savoir-vivre* *u*, uczący, jak należy zachować się podczas sympozjonu wydanego przez szanującą się kurtyzanę.

Nie powinno więc dziwić, że Kallimach mógł poznać dosłownie całą spuściznę literacką Greków. Wiadomo bowiem, że księgozbiór Biblioteki, w której pracował, osiągnął w latach panowania Ptolemeusza III Euergetesa liczbę pięćset tysięcy zwojów, co – z grubsza licząc – przekłada się na sto tysięcy współczesnych książek. Kyrenajczyk zaś żył długo (przed 310 – po 245 p.n.e.), przez całe swe życie namiętnie czytał i pisał. Spod jego ręki miało wyjść osiemset dzieł, zarówno poetyckich, jak też napisanych prozą. Do tych ostatnich zalicza się pierwszą historię literatury greckiej, a co za tym idzie – europejskiej, skoro w tamtym czasie *de facto* nie istniała żadna inna. Praca nosiła tytuł *Tablice tych, którzy odznaczyli się w każdej dziedzinie kultury, oraz tego, co napisali (Pinakes)* i zawierała się w trudnej do wyobrażenia liczbie sto dwadzieścia ksiąg. Oprócz tego wielkiego dzieła napisał też liczne naukowe rozprawy z dziedziny onomastyki, geografii, awifauny, a także pierwszy zbiór niezwykłości świata natury zatytułowany *Zbiór cudów całej ziemi*.

Uwielbienie dla ekstrordynaryjności, będące rysem charakteru Kallimacha, skłoniło go także do stworzenia literackiego *opus magnum*, czyli *Przyczyn (Aitia)*, poematu

o początkach materialnych i niematerialnych zabytków kultury. Nie interesowały go jednak oklepane atrakcje turystyczne, reprezentowane przez Partenon albo posąg Zeusa Olimpijskiego, a tylko lokalne i dziwne, by nie powiedzieć – dziwaczne – relikty kultów. I tak zawdzięczamy Kallimachowi m.in. opisy praktykowanych dawniej w Grecji obrzędów rytualnej defloracji oraz krwawej ofiary z ludzi, a także niezwykłych posągów bóstw, z których jeden nosił na głowie moździerz, nogę zaś innego owijano bandażami. Kallimach ułożył swe dzieło w czterech księgach, liczących pierwotnie ok. sześć tysięcy wersów. Pierwotnie, ponieważ do naszych czasów przetrwało ono tylko we fragmentach. Jest to tym bardziej frustrujące, że tak wielka skarbnica wiedzy z dziedziny antropologii kulturowej antycznej Grecji, którą w istocie były *Przyczyny*, zaginęła nie w starożytności, lecz dopiero po XII w. n.e. A wystarczyłby niewielki cud, jeden zakurzony kodeks ukryty gdzieś w klasztornych magazynach bibliotecznych, aby całość tej przebogatej, a nieznanej szerzej spuścizny weszła do krwioobiegu literatury i sztuki nowożytnej, po wielokroć je wzbogacając.

I choć wciąż jest nadzieja, że pewnego dnia odnajdzie się w całości przynajmniej jeden z zachowanych fragmentarycznie utworów Kallimacha, tymczasem przedstawiamy tylko ocalałe skrawki twórczości poety, który w swej pamięci zawarł całą Bibliotekę Aleksandryjską.

W Serii „Biblioteka Antyczna” ukazuje się właśnie (jako 55. tom Serii) drugi tom *Dzieł poetyckich Kallimacha*, zawierający zachowane fragmentarycznie: *Przyczyny*, *Jamby*, *Pieśni*, *Hekale*, *Epyllia* i *elegie* oraz *Fragmenty z dzieł nieznanych* w przekładzie Emilii Żybert-Pruchnickiej i Agnieszki Kotlińskiej-Tomy (Wrocław 2017); tom pierwszy, z *Hymnami* i *Epigramami* w tłumaczeniu Janiny Ławińskiej-Tyszkowskiej i Agnieszki Kotlińskiej-Tomy został opublikowany (jako 49. tom Serii) w 2016 r.

Kallimach

Przyczyny¹⁷

frg **43** [Ha = frg. 43,1–83 Pf]
[1.1 Il. [1–11] z fragmentami słów w środkowej części kolumny papirusowej]

12 według mnie rzeczy, które na głowę nakładam w czas uczty,
 wieńce pachnące, olejek złocisty,
 stają się bezużyteczne, zupełnie bez życia, a z rzeczy,
15 co w niewdzięcznego głąb brzucha przez zęby
 wpadły, do rana nic nie zostanie, lecz rzeczy włożone
 w uszy na zawsze już będą trwać przy mnie.

17 Numeracja za: Callimachus, *Aetia*, edited by A. Harder, Oxford 2012.

frg **178** [Ha = frg. 178 Pf]

 Świt mu nie umknął otwarcia *pthosów* ni czas, kiedy sługom
 dzień szczęsny niosą dzbany Orestesa;
 święto doroczne więc córki Ikariosowej obchodząc
 – twój dzień, Attydek smutku, Erigono –
5 sprosił na ucztę dobraną kompanię, wśród niej zaś nowego
 gościa, co mieszkał niedługo w Egipcie,
 dokąd przyjechał w prywatnych sprawach; z Ikos pochodził
 i dzielił ze mną tę samą leżankę,
 nie z usadzenia, lecz zgodnie z prawdziwą maksymą Homera,
10 że swego zawsze bóg ze swym połączy.
On bowiem gardził zachłannym, trackim żłopaniem haustami,
 niewielką czarką się zadowalając.
Tak więc przy trzecim obiegu kielicha go zagadnąłem,
 gdy już poznałem jego ród i imię:
15 „Jakże prawdziwe są słowa, że wino wymaga nie tylko
 domieszki wody, lecz także rozmowy.
Ją właśnie – której nam chochłą nie zaserwują ani też,
 patrząc uparcie w brwi nieubłagane
 sług, nie wyprosisz, gdy pan się przymiła do niewolnika –
20 wrzućmy jak lek do groźnego napoju,
Theogenesie, a o czym me serce by chciało od ciebie
 usłyszeć, o tym musisz mi powiedzieć:
 czemuż to czcić Myrmidonów króla jest u was w zwyczaju,
 Peleusa; Ikos co łączy z Thessalią;
25 oraz dłaczego dziewczynka, cebulę ..[.].[...] niosąca
 podczas herosa zejścia do podziemi ..[.

frg **67** [Ha = frg. 67 Pf]

 Eros sam Akontiosa, gdy chłopiec zapłonął miłością
 do pięknej panny, Kydippy, nauczył
 sztuczki¹⁸ – bo ów nie był sprytny zanadto – by zwać go ..[*małżonka?*
 na całe życie tym prawym imieniem.

5 Przybył albowiem z Julidy, ona zaś z Naksos, o Panie
 Kynthijski¹⁹, na twe na Delos ofiary
z byków; on z krwi Euksantiosa, a ona z Prometh[osa
 rodu, oboje wysp gwiazdy przepiękne.
10 Wiele matek dla synów, gdy była malutką Kydippa,
 prosiło o nią za woły rogate,
bo żadna inna dziewczyna do kudłatego staruszka,
 Sylena, zdroju krynicznego nie szła
 z twarzą do świtu tak bardzo podobną i stopy dla śpiącej
 Ariadny w tańcu nie stawiała lekkiej
15]...[.]. zdumienie, kogokolwiek jej

frg **75, 1-56** [Ha = frg. 75, 1-56 Pf]

 Już więc dziewczyna zasnęła z chłopczykiem,
 jak nakazuje obyczaj, że noc ma przedślubną przepędzić
 z chłopcem mającym oboje rodziców.
Mówią, że Hera tak niegdyś... – wstrzymaj się, psie, psie z bezwstydnym

18 Akontios, chcąc zdobyć Kydippę, uciekł się do podstęp u: na pięknym owocu pigwy napisał: „ślubuję, że poślubię tylko Akontiosa” i rzucił go pod nogi dziewczyny, będącej w świątyni Artemidy. Kydippa odczytała napis na głos i w ten sposób, nieświadomie, złożyła w obliczu bogini przysięgę.

19 Bóg Apollon.

5 sercem! Wyśpiewasz, co wbrew jest zakazom!
Masz szczęście, że nie widziałeś świętych obrzędów straszliwej
 bogini, bo byś ich sekret wychłapał!
Srogim dopustem jest wiedza dla tych, co nie mogą powściągnąć
 języka – całkiem jak dziecko są z kordem.
10 Świtem już byki z rozdartym sercem patrzyły na ostry
 sztylet ofiarny, co odbił się w wodzie,
gdy po południu pokryła ją bladość śmiertelna: choroba,
 którą wpędzamy, het, w dzikie kozice
i nazywamy ją mylnie – świętą; więc ciężka przypadłość
15 dziewczę przywiodła pod dom Hadesowy.
Drugi raz łożę małżeńskie już słano, raz drugi dziewczynę
 siedem miesięcy czwartaczki żar nękał;
gdy po raz trzeci wspomniano o ślubie, natychmiast raz trzeci
 w Kydippę zgubna zimnica wstąpiła.
20 Czwarty raz ojciec nie czekał.[
 Fojbosa; nocy tej samej bóg odrzekł:
„Ciężka przysięga Artemis ślub udaremnia dziewczęciu,
 gdyż Lygdamisa wtedy nie gnębiła
siostra ma ani w Amyklach nie plotła z trzcin, ni po łowach
25 w rzece Parthenios się nie obmywała,
lecz przebywała na Delos, gdy córka twa przysięgała,
 że mężem będzie jej tylko Akontios.
Jednak, Keyksie, jeżeli chciałbyś mieć we mnie doradcę,
 ...]... wypełnisz śluby swego dziecka;
30 bo, jak powiadam, ołowiem ze srebrem zmieszanym Akontios
 nie jest, lecz z lśniącem złotem – elektronem.
Ty bowiem, teść, jesteś z rodu Kodrosa, natomiast ów Kejczyk,
 zięć, od kapłanów Deszczowego Zeusa
Aristajosa pochodzi; w ich pieczy jest na szczytach górskich,
35 wschodzącą Majrę złowrogą złagodzić,
Zeusa błagając, by zesłał wiatr, za którego przyczyną
 wiele przepiórek wpadnie w Iniane mgiełki”.
Tak bóg powiedział; on zaraz powrócił na Naksos i córkę
 wypytał, ona mu zaś wyjawiała
40 wszystko i wnet ozdrowiała. ... reszta już twym, Akontiosie,
 \była zadaniem\ pojechać na Dionizjadę.
Tak się spełniła przysięga bogini i druhny rówieśne
 bez zwłoki ślubny hymn wraz zaśpiewały.
Ty, Akontiosie, nie sądzę, byś wówczas tę noc poślubną,
45 kiedy przepaski dotknąłeś dziewiczej,
za Ifiklesa stóp kostki, co biegły ponad kłosami,
 ni Kelajnity Midesa bogactwa
oddał – kamieniem probierczym mych sądów niech będą świadkowie
 dobrze znający okrutnego boga.
50 Z tego małżeństwa narodzić się miało wspaniałe nazwisko;
 bo jeszcze teraz waszych Akontiadów
ród, bardzo liczny i wielce szacowny, mieszka w Julidzie,
 Kejczyk, my zaś dowiedzieliśmy się
o twej miłości od Ksenomedesa starego, co niegdyś
55 w mitologicznej pamięci umieścił
wyspę calutką ...

przetł. Emilia Żybert-Pruchnicka

*Hekale*²⁰

frg. **74** [Ho = SH 288,43B–69; frg. 346, 260,44–69, 351 Pf]

gdybym tylko miała sposób na wstrętny głód brzucha [1 l. [2] z fragmentami słów]
a]le Hekal[e ..]. proste ...[*potrawy?* [1 l. [2] z fragmentami słów]
5 a *kykeonu* ²¹, z którego na ziemię ulewa się krupy,
 ..]...[....]. nikt nie otrzyma[
 ]...[....].[.] herolda złych wieści; och, gdybyś ty bowiem
w tam[t[ych jeszcze] żyła czasach, aby ..]...].
jak darowuję natchnienie starej wronie Thriajki²².
10 Na mą – bo nie minęły dni wszystkie – na mą zmarszczoną
skórę jak figa suszona, tak i na drzewo to uschłe –
bowiem jeszcze nie wszystkie słońca, swe osie i dyszle
roztraskawszy, stopami stanęły na samym zachodzie –
zmierzch czy też noc, południe czy może świt jakiś nadejdzie,
15 gdy kruk, co teraz w zawody iść może z łabędziem o mleczną
biel swego pierza lub z grzbietem fali pienistej wygiętym,
zawsze na piórach już będzie żałobną jak smoła czerń nosił
jako nagrodę za wieści przyznaną mu raz przez Fojbosa,
gdy się dowiedział, że Flegyasa córka, Koronis,
20 czyn popełniła plugawy z Ischysem, co konie popędzał”.
Naraz i tę, co mówiła, i tę, co słuchała, sen zmorzył.
Obie nie spały jednakże zbyt długo, ponieważ wnet nadszedł
świt oszroniony, gdy pracę swą kończą zdobyczy niesyte
ręce złodziei, gdyż lampki poranne już zapłonęły;
25 wtedy ktoś śpiewa u studni piosenkę przy wody ciągnięciu,
kół żałośliwe skrzypienie od wozów trudzących się ciągle
tego obudzi, co dom ma zaraz przy drodze, a liczni
..... nękają kowali, prosząc o ogień.....²³

przetł. Emilia Żybert-Pruchnicka

*Fragmenty dzieł nieznanych*²⁴

frg. **620** [Pf]

oby nie uszło mojej uwagi nic, co piękne
ἄγνωτον μηδὲν ἔχοιμι καλόν

Dzięki kontekstowi, w jakim starożytne komentarze przekazały nam powyższy cytat, wiemy, że sens zdania był rozumiany uniwersalnie: „obym doświadczył wszystkiego, co piękne”, przy czym greckie καλόν ([kalón] – to, co piękne) może być rozumiane także w sensie moralnym: „to, co dobre”. Nie wiemy, kto jest podmiotem zdania – czy sam poeta, czy jakiś bohater jego poematu albo bóstwo.

20 Numeracja za: Callimachus, *Hecale*, edited by A.S. Hollis, Oxford 2009.

21 *Kykeon* był to napój z wina pramnijskiego (z Pramnos na wyspie Ikarii w archipelagu Sporad), pokruszonego sera, zmielonego jęczmienia i magicznych ziół, jaki Kirke podała towarzyszom Odyszeusza (Homer, Od. 10,316); także rodzaj polewki z grubo zmielonego zboża zmieszanego z wodą.

22 trzy nimfy, piastunki Apollona, mieszkające na górze Parnas; nazywano tak również pierwsze nimfy-wieszczki oraz kamienie służące do wróżenia.

23 Aby rozpalić domowe palenisko, jeśli zgasło nocą, należało udać się kuźni, w której ogień płonął całą dobę. W starożytności nie godziło się odmówić udzielenia ognia.

24 Numeracja za: *Callimachus*, edidit R. Pfeiffer, vol. 1: *Fragmenta*, Oxonii, 1949.

frg. **714** [Pf]

Zmartwienia przygnębiają znacznie mniej człowieka
i jedną on z trzydziestu zabiera częsteczkę,
kiedy przyjacielowi lub w podróży komuś,
albo też wiatrom głuchym żale swe wyrzuci.
κουφοτέρως τότε φῶτα διαθλίβουσιν ἀνῖαι,
ἐκ δὲ τριηκόντων μοῖραν ἀφείλε μίαν,
ἢ φίλον ἢ ὄτ' ἐς ἄνδρα συνέμπορον ἢ ὅτε κωφαῖς
ἄλγεα μαψαύραις ἔσχατον ἐξερύγη

Ogólny charakter tego jednego z najdłuższych osieroconych fragmentów Kallimacha nie pozwala przyporządkować go do żadnego znanego dzieła ani nawet stwierdzić, czego pierwotnie dotyczył. Giovanni B. D’Alessio (1996: 787) za Rudolfem Pfeifferem słusznie zwraca uwagę, że mógł to być wstęp usprawiedliwiający jakiś dłuższy monolog dotyczący nieszczęść lub niepowodzeń w miłości.

frg. **724** [Pf]

sakiewki biedaków zawsze puste²⁵
πτωχῶν οὐλὰς ἀεὶ κενεή

przeł. Agnieszka Kotlińska-Toma

Epigramy²⁶

3

AP (7,317)

Nie pozdrawiaj mnie wcale, lecz swoją idź drogą!
Im dalej jesteś, draniu, tym lepiej się czuję.

11

AP (7,447)

Małomówny był ten człek, więc krótko być musi.
„Theris, syn Aristaja, Kreteńczyk” – za długie!

Podmiotem mówiącym jest prawdopodobnie kamień nagrobny. Postać Therisa z Krety, syna Aristajosa, może być fikcyjna, ponieważ epigram ma wymowę nieco dowcipną, nie można jednak wykluczyć, że jest żartem z rzeczywistej postaci.

13

AP (7,524)

[A.] Czy pod tobą Charidas spoczywa? [B.] Z Kyreny?
Z Arimmasa zrodzony? Jeśli tak, to tutaj.
[A.] Jak tam jest, Charidasie? [C.] Ciemno, bardzo ciemno.
[A.] Wyjścia jakieś są? [C.] Kłamstwo! [A.] Pluton? [C.] Mit! [A.] To koniec!
5 [C.] Prawdę mówię, lecz jeśli pocieszenia szukasz,
to wół tu jeden wielki wart jest tylko grosik.

Jeden z najbardziej oryginalnych epigramów Kallimacha: udratyzowane epitafium w formie konwersacji aż trzech postaci. Rozpoczyna jakiś znajomy przechodzący obok kamienia nagrobnego Charidasa, a na jego pytanie odpowiada właśnie zagadnięta stela, dalsza rozmowa toczy się pomiędzy przechodniem i samym zmarłym. Rodzina Charidasa, podobnie jak Kallimach,

²⁵ Wyrażenie przysłowiowe. Możliwe, że – tak jak w innych miejscach – wspomnienie biedy ma kontekst erotyczny.

²⁶ Numeracja za: *Callimachus*, edidit R. Pfeiffer, vol. 2: *Hymni et Epigrammata*, Oxonii, 1953.

pochodziła z Kyreny, co pozwala przypuszczać, że chodzi o postać autentyczną. Pytania przechodnia dotyczą życia w Hadesie. Podział na role stosowany jest w większości wydań dla jaśniejszego odczytania tekstu, choć nawet przy zachowaniu ciągłości wypowiedzi (tak jak w edycji Pfeiffera) nie ma wątpliwości, które kwestie wypowiadają poszczególne postacie.

w. 4 *Wyjścia jakieś są?* (αἱ δ' ἄνοδοι τι;) – nawiązanie do tych mitów, w których pojawia się motyw opuszczenia Hadesu. Udało się to m.in. Heraklesowi (po schwytaniu Cerbera), Orfeuszowi (zszedł po swą małżonkę Eurydykę, ale powrócił sam) i Tezeuszowi (pomagał Pejritoosowi zdobyć Persefonę, ale powrócił bez przyjaciela).

Pluton (ὁ δὲ Πλούτων;) – Kallimach świadomie dokonuje wyboru imienia bóstwa, władcy podziemia. Pluton, choć identyfikowany z Hadesem, jest postacią mniej mroczą. Jako mąż Persefony odgrywał pewną rolę w misteriach eleuzyjskich, a zatem związany był także z odrodzeniem i urodzajem. Pozytywne konotacje wywoływała także zbieżność jego imienia z nazwą boga bogactwa Plutosa (Πλοῦτος).

w. 6 *wół tu jeden wielki warty jest tylko grosza* (Πελλαίου βοῦς μέγας εἰν Αἴδη) – w oryginale słowo Π(π)έλλαιον [P(p)éllaion], które bywa różnie tłumaczone. Najbardziej prawdopodobne, że chodzi o niewielkiej wartości monetę macedońską, na której rewersie przedstawiano byka. Inni autorzy antyczni wspominają ponadto o deprecjacji przedmiotów w Hadesie i zdaje się, że wyrażenie tego typu było przysłowiowe; np. Focjusz (*Lex. o 314,17*) przytacza powiedzenie: w *Hadesie szata warta obola* (ὀβολοῦ χίμαιρα ἐν Ἄδου [obolú chímaira en Hádu]). Jeśli rzeczywiście mowa o monecie, wówczas puenta nabiera podwójnego znaczenia: wół wart jest monetę „byczka”.

21

AP (7,525)

Ty, co obok przechodzisz grobu mego, wiedz to:
Kallimacha z Kyreny syn jestem i ojciec.
Obu znać powinienieś: pierwszy z nich dowodził
niegdyś ojczyzny wojskiem; drugi pieśni śpiewał,
które zawiść zwyciężą. [Taki wyrok losu.
Kogo w dzieciństwie Muzy wzrokiem swym wypatrzą,
i później nie odrzucą, z przyjaźni, siwego!]

przeł. Agnieszka Kotlińska-Toma

Hymny²⁷

3. HYMN NA ARTEMIDĘ

Artemidę (bo o niej niełatwo pieśniarzom zapomnieć)
opiewajmy! Łuk ją zajmuje i łowy zajęcze,
tańce na wielkich przestrzeniach, wśród górskich szczytów zabawa.
Zacznę od tego, jak kiedyś, siedząc na ojca kolanach
5 jako mała dziewczynka, tak do rodzica mówiła:
„Daj mi, tatusiu, zachować swoje dziewictwo na wieki!
Daj tyle imion, by Fojbos nie mógł mnie w tym przewyższyć!
Daj mi strzały i łuk... nie, ojczu, ani o kołczan,
ani o łuk cię nie proszę, Cyklopi mi groty wykują
10 chętnie i łuk mi sporządzą, mocny, kunsztownie wygięty,
ale daj mi pochodnię i chiton krótki, do kolan,
z kolorową przepaską, bym dzikie zwierzęta ścigała!
Daj mi sześćdziesiąt tancerek, córek Okeanosa,
dziewięcioletnich dziewczynek, jeszcze nieprzepasanych!
15 Daj mi na służbę dwadzieścia nimf znad rzeki Amnisos,
aby o buty me dbały, a kiedy już ścigać przestanę
rysie oraz jelenie, by chyże psy nakarmiły!
Daj mi wszystkie góry, a miasto daj jakiegolwiek,
jakie zechcesz, bo rzadko Artemis zejdzie do grodu –

²⁷ Numeracja za: *Callimachus*, edidit R. Pfeiffer, vol. 2: *Hymni et Epigrammata*, Oxonii, 1953.

20

w górach zamieszkać, a ludzkie osiedla będę odwiedzać
tylko, kiedy kobiety, strasznymi bólami porodu
udręczone, na pomoc będą mnie wzywać, bo Mojry
tak wywróżyły wówczas, kiedy się urodziłam,
matka ma bowiem bólów w czasie porodu nie znała
ani podczas ciąży: lekko na świat mnie wydała”.

25

Tak mówiła dziewczynka i chciała ojca za brodę
ująć – długo na próżno rączki swe wyciągała,
aż jej wreszcie dotknęła. Ojciec przytaknął z uśmiechem;
głaszcząc dziecko, tak odrzekł: „Gdyby mi zawsze boginie
takie dzieci rodziły, za nic bym miał zazdrość Hery
rozgniewanej. Dziecko, chętnie ci dam, o co tylko
prosisz... i więcej jeszcze ojciec ci podaruje.
Miast dostaniesz trzydzieści, bo czym dla ciebie gród jeden?
Miast dostaniesz trzydzieści – te innych bóstw czcić nie będą,
tylko ciebie jedyną i twymi się będą nazywać.

35

Wiele innych miast podzielił z innymi bogami
i na lądzie, i wyspach: we wszystkich będą ołtarze
Artemidy i gaje jej poświęcone. Ulice
oraz porty ochronisz”. Wypowiedziawszy te słowa,
głową skinął – potwierdził. A córeczka pobiegła
gdzie Biała Góra Krety lasami się kędzierzawi,
stąd na Ocean. Tam wiele nimf dla siebie wybrała,
wszystkie dziewięcioletnie dziewczynki nieprzepasane.
Cieszył się wielki Kajrat, cieszyła się Tethys bogini,
dając za towarzyski córki swe córce Latony.

45

Stąd do Cyklopów pobiegła. [...]

[...]

Jeśli któraś z dziewcząt matce jest nieposłuszna,
matka Cyklopów na pomoc przeciwko córce zawoła,
czy to Argesa, czy Steropesa, i z kąta wyskoczy
Hermes, twarz umazaną mając sadzą, popiołem –
straszyć zacznie dziewczynkę, a ta ucieka do matki,
chowa się za jej spódnice, rączkami oczy zasłania.

70

Ty zaś, dziewczynko, już dawniej, gdy miałaś zaledwie trzy latka –
kiedy to matka Leto, ciebie trzymając w ramionach,
poszła do Hefajstosa po dar na twe urodziny;
Cyklop cię, Brontes, posadził na swoich potężnych kolanach –
tyś mu z piersi włochatej, ogromnej, kudły skubała,
drąc z całej siły. Do dzisiaj mu jeszcze została pośrodku
piersi świecąca łysina jak u człowieka na skroni,
kiedy mu „lisia choroba” siadła i włosy wygryzła.

75

przeł. Janina Ławińska-Tyszowska

Emilia Żybert-Pruchnicka | Filolog klasyczna, tłumaczka, pracownik naukowy Uniwersytetu Wrocławskiego.

Agnieszka Kotlińska-Toma | Filolog klasyczna, Adiunkt na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Tłumaczka.

Janina Ławińska-Tyszowska | ur. 1934, zm. 2013. Filolog klasyczna, hellenistka, tłumaczka, profesor na Uniwersytecie Wrocławskim.



**w niebotycznym chaosie
pcham się do światła.
chcę stać się raz jeszcze.
wzbudzam w sobie na nowo
mocne postanowienie wyprawy.**

Joanna Pawlik

ULICA
BRACKA

Już od 15 lat na murach
przy ul. Brackiej 2 w Krakowie
wyświetlany jest codziennie
jeden nowy wiersz po polsku
i po angielsku.
Aby złożyć swoją propozycję,
zarejestruj się na portalu
emultipoetry.eu

ANNA MARCHEWKA

Cały świat z Oddziału Drugiego

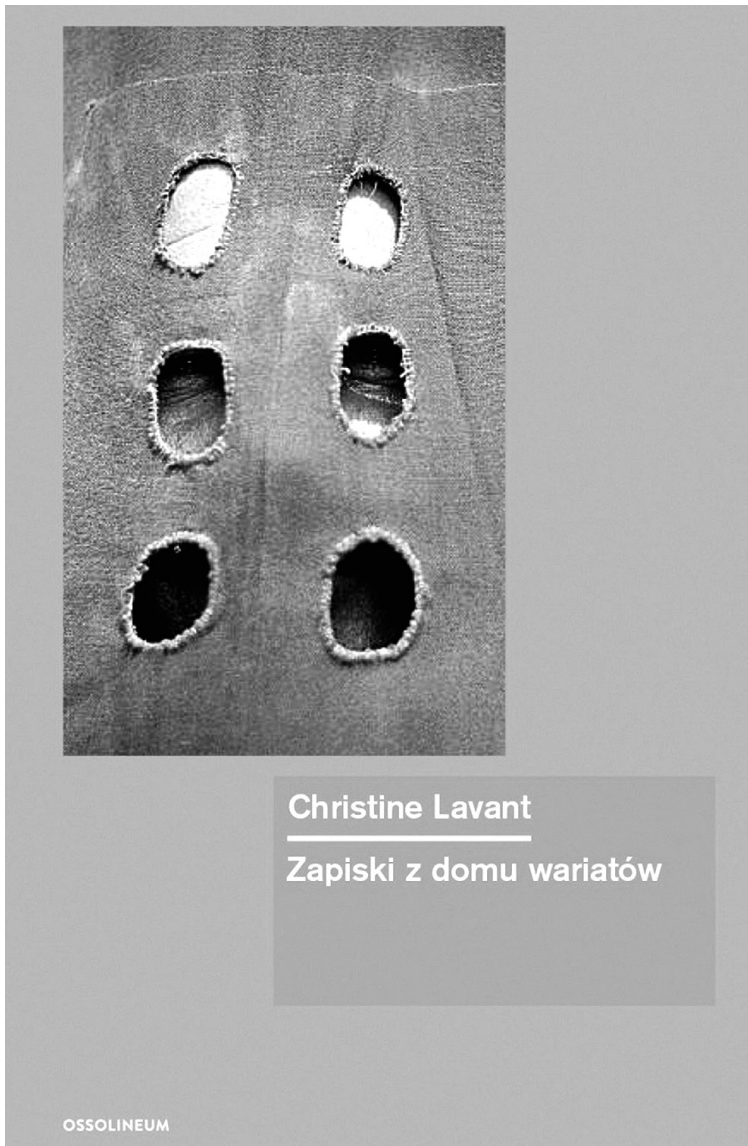
Christine Lavant, „Zapiski z domu wariatów”

Christine Lavant, czyli Christine Haberling (z domu Thonhauser, 1915–1973) jest legendą, która funkcjonuje jako jeden z ważnych punktów odniesienia dla współczesnej literatury austriackiej – na inspirację jej twórczością powoływali się choćby Thomas Bernhard (zaprzysiężnił się z pisarką i poetką, przyłożył się również do popularyzowania jej dorobku) czy Elfriede Jelinek. Polskim czytelnikom i czytelnikom, niestety, jest znana słabo: do tej pory ukazał się tylko jeden wybór poezji Lavant pt. *Nocny krzyk pawia* (2000), w znakomitym przekładzie Ryszarda Wojnakowskiego i ze wstępem Karla Matthäusa Woschitz. Mała i olbrzymia, z zaszyfrowanymi autobiograficznymi elementami, wyrastająca z osobistego doświadczenia, proza Lavant przychodzi do nas dopiero teraz, ale za to wsparta krytycznym opracowaniem oraz postawieniem Adama Lipszyca, który prezentuje niezwykle sylwetkę pisarki i losy *Zapisków*: książka nie tylko nie ukazała się za życia autorki, ale i na jej prośbę miała zostać zniszczona, by nie zranić uczuć sióstr Lavant, ocalała dzięki nieposłuszeństwu tłumaczki i pisarki Nory Purtscher-Wydenbruck.

„Jestem na Oddziale Drugim” brzmi pierwsze zdanie *Zapisków* i wrzuca nas w sam środek piekła szpitalnego świata. Poznajemy pacjentki oraz personel: znajdujące rozkosz w skrytej przemocy pielęgniarki i niezdolnych do zrozumienia podopiecznych lekarzy. Historie każdej z zamkniętych na oddziale kobiet (narratorka jest jedyną dobrowolnie poddającą się leczeniu) opowiedziane z przejmującą precyzją wykraczają poza ramy portretu jednostki. Co poradzić na takie nieszczeście, co zrobić z taką rozpaczą, jakie opowieść za sobą pociąga? Berta wyśpiewuje „A e i o u, czym będę jutro? Najpierw

byłam ziemią, potem kamieniem, potem drzewem i kwiatem... A potem otworzyło się okno, wielkie cudne okno. A e i o u, ogarnęło mnie ze wszystkich stron i byłam już jak szumiący las... Ale zamknęli mi okno, zamknęli je ciężkimi czarnymi skrzydłami. A e i o u, ziemia, kamień i drzewo i nikt nie pojmie słowa pod niemyimi skrzydłami.... Aeiou”, od których zaczyna się nauka poprawnej wymowy, rozszyfrować można (co podpowiada jeden z przypisów) jako skrót od *Alles Erdreich ist Österreich untertan* (Cała ziemia poddana jest Austrii), *Austria erit in orbe ultima* (Austria przetrwa do końca świata), *Austriæ est imperare orbi universo* (Powołaniem Austrii jest rządzić całym światem).

Jak nieznośnie posępnie musiały brzmieć te słowa spisywane po 1945 r., gdy wiadomo już było, jakich zbrodni dokonano na chorych z takich jak ten zakładów. Majorowa, owdowiała arystokratka o siwych, skudlonych włosach, wykrzykuje z kolej przekleństwa na Austrię i Rosję. Wygląda jak upiór lub bogini, dla niej (i nie tylko dla niej) wojna nigdy się nie kończy: wie, że trzeba zabijać, że zawsze dzieje się tak w jakiejś imię (i nigdy nie jest jej własne); poznamy ją nawet w funkcji oszalałej żony, jest też matką oficera. Świat jest wojkiem albo szpitalem, w których panuje dryl i przymus. Hansi ma dwadzieścia lat i próbuje zagłodzić się na śmierć, zmieniona w żywy szkielet podtrzymywana



Christine Lavant
Zapiski z domu wariatów

OSSOLINEUM

jest przy życiu wbrew jej woli, karmiona rurką. Z urody zostały jej tylko długie, czarne włosy, spływające aż na podłogę; odwiedzający ją matka i mąż, oficer, zdają się nadal widzieć tamto piękno. Co znaczy niezgoda tej dziewczyny, wobec czego ta młoda mężatka stawia odpór, odmawiając kontaktu i jedzenia?

Christine Lavant prezentuje ludzi w sytuacji bez wyjścia, jej bohaterki utknęły w tym świecie, w tej sali – chorych? Pytanie o normę (co to znaczy: być normalną?) jest jednym z pierwszych, jakie *Zapiski* wywołują. Sala, w której zostały zgromadzone kobiety, jest swego rodzaju lustrem dla spraw, które rozgrywają się na zewnątrz, w tak zwanym świecie zdrowych. Tutaj niby nic się nie dzieje, ale w tym (pozornym) braku akcji zawarła Lavant niepokojąco aktualne przesłanie. Katastrofa już się wydarzyła, jeszcze tego może nie widzimy lub raczej nie chcemy widzieć. Ta gra w niewrażliwość to gra o władzę, o pozycję w świecie: kto regułą świata przytakuje, ten nie zginie; kto w drobny choćby sposób nie zgodzi się z nim, ten od fasady świata odpadnie i runie w piekło zakładu, z którego nie ma powrotu – oznaczenie piętnem nienormalności to wyrok niewymazywalny.

Choć *Zapiski* powstały tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, to odnoszą się do doświadczenia z 1935 r., gdy Lavant, dotknięta zakazaniem uczuciem, zapadła na depresję, targnęła się na własne życie, a potem sama zgłosiła się na leczenie. Książka o chorobie nerwowej, o kryzysie czy załamaniu nabiera przez to szczególnego, dodatkowego wydźwięku. „Słabsi”, „wrażliwi”, „nienormalni” mordowani byli dla uzyskania silnego społeczeństwa, odpornego na wszelkie wstrząsy, zdolnego do podejmowania wyzwań, godzącego się na wykonywanie wyznaczonych zadań bez podważania ich zasadności. Lavant pisze o kondycji kogoś, dla kogo nie ma miejsca: nie pasuje do żadnej z istniejących form. Naruszona przez doświadczenie choroby, edukacji i kultury dziewczyna, a potem kobieta jest „nienormalna”, wynaturzona, jest monstrum, z którym nie bardzo wiadomo co począć – więcej, ona sama do końca nie wie, co zrobić. Zdaje sobie sprawę, że dobrowolne przyjscie do lecznicy to ekstrawagancja, ale trzeba uważać, by nie była to

podróż w jedną stronę. Relacje między pacjentkami a personelem są okropne, pisze Lavant: „Wiem, mogłabym to jednym ruchem zmienić, wystarczyłoby na przykład, gdybym raz przy wydawaniu jedzenia poszła za odruchem wstrętu i cisnęła miską o ścianę, ale wciąż zaudałoby mi na tym, by siostry zwracały się do mnie per „pani”, a lekarze dodawali ciut człowieczeństwa do dyżurnego uśmiechu, kiedy do mnie przychodzą. Póki człowiek traktują tu jeszcze jako przelotnego gościa, i póki sama przed sobą zachowuję tę postawę, ostatnia granica nie została jeszcze przekroczona”. Próbuje początkowo pozostać tylko „znękaną pacjentką potrzebującą oddechu”, nie zwykłą wariatką, na którą nikt nie będzie zważał, która nie ma żadnych praw ani głosu. „Zdrowi” i „chorzy” mierzą się ze sobą, ścierają w zapasach: w czasie wizyt sprawdzają swoją moc. Czy misja „miłość przeciw rozpacz” może przynieść skutki? Czy kochając mimo pokusy nienawiści, można zbawić pokutujących, czy choćby ulżyć w cierpieniu? Lavant kończy opowieść o sześciu tygodniach w piekle mocną deklaracją: nie wmawiać już sobie miłości, a po wyjściu zostać zawodową wariatką. Trudno o bardziej radykalną formę nieposłuszeństwa wobec opartych na zasadzie przemocy reguł: cud się nie zdarzy, czas na bunt.

Christine Lavant, *Zapiski z domu wariatów*, przeł. Małgorzata Łukasiewicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2017

Dyspozycyjność nie równa się wolność

Agneta Pleijel, „Zapach mężczyzny”

Po znakomitej *Wróżbie*. Wspomnieniach dziewczynki to druga już autobiograficzna powieść Agnety Pleijel wydana przez wydawnictwo Karakter w tłumaczeniu Justyny Czechowskiej. Dorobek pisarki dobrze okrzepł w polskim języku, bo wcześniej – dla przypomnienia – ukazały się *Kto zważa na wiatr*

(w przykładzie Haliny Thylwe, 1999), *Zima w Sztokholmie* (w przekładzie Grażyny Wąsowicz-Ludvigsson, 2002) oraz *Lord Nevermore* (w przekładzie Iwony Jędrzejewskiej, 2003). Można *Zapach mężczyzny* potraktować jak kontynuację *Wróżby* (bo i trochę też tak jest), ale wcale nie trzeba tej pierwszej znać, by zrozumieć drugą. *Zapach* jest osobną i dojrzałą książką, napisaną w wyrazisty, przejmujący sposób. Jeśli *Wróżba* była, co podpowiada tytuł, powieścią o dzieciństwie, czy może raczej „dziewczynkowstwie” (zdecydowanie zbyt mało mamy literackich wypowiedzi doświadczenia „bycia dziewczynką” – innych niż dydaktyczne, zinfantylizowane czy pchające w kulturowy schemat), to *Zapach mężczyzny* jest zapisem długiego procesu dojrzewania, wykraczającego poza metrykalną „dorosłość”. Na ten proces składa się wiele etapów – pierwszym z nich jest fizyczne wyjście z domu rodzinnego (bo emocjonalne zabiera znacznie więcej czasu), wyjazd do innego miasta i rozpoczęcie studiów: własna przestrzeń wynajmowanego mieszkania i czytanie to pierwsze kroki w tej drodze „ku sobie”. Wszystkie etapy pełne są pułapek: bohaterka w relacjach z mężczyznami „czuje się nienaturalna. Ma wrażenie, że nigdy nie wolno jej być sobą. Gra różne role, żeby nie przynieść zawodu”, czyli odpowiada na wezwania wszystkich poza sobą. Owszem – wyjechała; owszem – czyta; owszem – uczy się, ale przecież – chcąc w zasadzie czegoś innego – związkami z kolejnymi mężczyznami ogranicza sobie pole manewru. Pleijel jasno wskazuje różnicę między wolnością a dyspozycyjnością; w *Zapachu* widać bolesne konsekwencje pomieszania tych dwóch spraw. Wolność jest radykalna, wymaga samoświadomości i odwagi, kłamstwo w imię jakiegoś mglistego i czyjegoś bliżej nieokreślonego dobra wykańcza. Czytamy: „wręcz cuchnę od tego, że nie mówię prawdy”. Tchórzostwo i przymilność są odruchowe, zdają się bezpieczniejszym (a na pewno wyuczonym) rozwiązaniem, a uzależnienie od drugiego człowieka łatwo pomylić z porozumieniem czy miłością. Jak zatem zobaczyć siebie? Co naprawdę robię, jak się zachowuję i czego chcę? Jak wybić się z ram wyznaczonych przez rodziców (a wcześniej: ich rodziców,

a wcześniej...), jak nie dać się zniewolić przez wzorce? Jak z dziedzictwa nieszczęścia wykuć siłę do stawiania wymagań, często sprzecznych z oczekiwaniami świata? Na pewno zajadłe czytanie i pisanie we własnym pokoju to dobry początek.

Pisać to znaczy pamiętać, pamięć właściwie rodzi się dopiero w piśmie. Trzeba pamiętać te niekomfortowe wydarzenia nie dla udręki, ale by dzięki wypracowanemu językowi przełamać nakaz milczenia. „Płeć ma swoją historię. Wstyd ma swoją” – i to ją właśnie czytamy w *Zapachu*. Niewypowiedziany, a wcześniej jeszcze nieuświadomiony czy nieodczuty (w powieści śledzimy też batalię o emocje: uniwersytet stawia na intelekt, ale

wyłączenie „czucia” to utrata systemu obronnego i utrata drogowskazów) wstyd utrwała się na zawsze w formie blokady, oddala od „siebie” samej, a pragnienie, by „stać się sobą” jest stawką dla bohaterki i całej powieści. Miejsca wstydu są punktami orientacyjnymi w podróży do wolności. „Zalewa ją fala wstydu. Nie z powodu jego, ale siebie. Ponieważ nie chce, żeby on tam siedział. Chce być sama z tym, co teraz odkrywa. Nie wie, dlaczego pragnienie dzikości jest tak silne [...] z przerażeniem uświadomiłam sobie, że byłam tchórzem. Niektóre osoby ciągną za sobą uzależnienia. Byłam jedną z nich. Nienawidziłam siebie za to [...]” czytamy. Jak użyć tych uczuć, by przejść na kolejny

etap dojrzewania? Jak nie dać się im unieruchomić? „Nigdy się nie lekceważy, zajmą się tym inni” pisze Agneta Pleijel i podobnie jest z nienawiścią. Świat, który poznajemy w *Zapachu*, zbudowany jest na nienawiści, degradacji i pogardzie względem kobiet, wobec czego bohaterka powieści ma obowiązek dać im odpór, nie przejmować ani nie wchłaniać ich. Jeśli stawką jest „być sobą”, to gra w samoudrękę musi zostać przerwana, nie tylko we własnym imieniu, ale i w imieniu kobiet, które żyły wcześniej (wydobyta z milczenia historia babki, ślady kolonialnych przemocy i nienawiści wobec tak zwanych „innych”) i dopiero się urodzą. Poród, narodziny córki, pozwalają bohaterce dokonać tego ostatecznego, radykalnego uwewnętrznienia tożsamości. Miłość bezwarunkowa, nieobliczona na zyski, niewymuszająca spełniania oczekiwań mężczyzn – nie bez powodu opis tego doświadczenia znalazł się, wbrew porządkowi chronologicznemu, w epilogu. Powieść Pleijel mierzy się z odpowiedzią na to potężne pytanie: jak zdobyć prawo do bycia sobą? Wygląda na to, że trzeba je sobie wziąć i zrobić – czekanie na nic się nie nada poza wytracaniem energii – narażając się na posądzenia o bycie niemiłą, rozwydrzoną, przeceniającą się, żądającą zbyt wiele, poczynawszy od ustalania zasad w relacjach prywatnych do wynagrodzenia za pracę; już nie być widmem, aniołem, cudzą fantazją.

Agneta Pleijel, *Zapach mężczyzny*, przeł. Justyna Czechowska, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2016

Anna Marchewka | Krytyczka literacka, doktor nauk humanistycznych, związana z Uniwersytetem Jagiellońskim. Wydała *Ślady nieobecności*. Poszukiwanie Ireny Szelburg (2014).

PREMIERA: MAJ 2018

W przekładzie literackim chodzi o to, by powiedzieć to samo, ale w innym języku, czyli inaczej. To samo, ale inaczej. Tymczasem w literaturze to, jak się mówi, jest tym, co się mówi. Kiedy się mówi inaczej, mówi się co innego.

[fragment]

SERIA SZTUKA CZYTANIA

- Jacek Gutorow
Życie w rozproszonym świetle. Eseje (2016)
- Stanisław Barańczak
Język poetycki Mirona Białoszewskiego. Wydanie drugie, rozszerzone (2016)
Odbiorca ubezwłasnowolniony. Teksty o kulturze masowej i popularnej (2017)

Tłumacz między innymi

Szkice o przekładach, językach i literaturze



Jerzy Jarniewicz

Ossolineum

- Edward W. Said
O stylu późnym. Muzyka i literatura pod prąd (2017)
- Marjorie Perloff
Ostrze ironii. Modernizm w cieniu monarchii habsburskiej (JESIEŃ 2018)

wydawnictwo.ossolineum.pl
fb.com/wydawnictwoossolineum



WYDAWNICTWO
OSSOLINEUM

Jak może widzieć świat ktoś, kogo obojętnie mijamy na ulicy? Jakie są jego lęki i tęsknoty? Makis Tsitas oddaje głos bohaterowi, który dotąd pozostawał niesłyszalny, a my mamy szansę zatrzymać się i go wysłuchać. Jeśli tego nie zrobimy, nie uda nam się zrozumieć zmieniającej się rzeczywistości.



Powieść została wyróżniona Nagrodą Literacką Unii Europejskiej.

Jedna z najlepszych i najbardziej wnikliwych greckich powieści ostatnich lat

| Joytv.gr

Już w kwietniu zapraszamy na spotkania z Makisem Tsitasem. Autor odwiedzi Warszawę, Kraków, Kutno, Poznań i Wrocław. Więcej informacji na www.ksiazkoveklimaty.pl



SIEJEMY LITERACKI FERMENT – RUSZA SERIA Z WINNICĄ!

W Serii z winnicą ukaże się 9 książek. Każdej z nich przyporządkowany będzie jeden z podstawowych kolorów wina – biały, różowy lub czerwony, tak by zasugerować charakter lektury oraz zaintrygować i miłośników wina, i literatury. Dziewięć książek, trzy kolory – szansa na mnóstwo inspiracji i rozmów.



 SERIA Z WINNICĄ: KOLOR RÓŻOWY

Serii z winnicą patronują:



www.powinowaci.pl

Literacki Butelki Kilometry

<https://literackibutelkikilometry.blogspot.com/>

Blurppp
Zapiski z pustyni

Włoskie podróże
fotografias
książki



Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”



TOWARZYSTWO PRZYJACIEL GRECJI



SYNOPSIS: TON MAKIS TSITAS



POWIEDZ TO
PO GRECKU

Kraina Książek

bonito.pl

Zapraszamy na facebook.com/ksiazkiiwino/ a także na:

WWW.KSIAZKOWEKLIMATY.PL